tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 4 (1255)
22-28.01.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

RYSZARD KALISZ Zażarta obrona układu Kaczyńskiego

JAKUB DYMEK Dziennikarstwo a sztuczna inteligencja

TOMASZ MIŁKOWSKI To, co najlepsze w teatrze

Pułapka sklepowych promocji

Milionerzy przeciwko Bodnarowi

BUNTOWNICY ZIOBRY

Od lewej prokuratorzy: Krzysztof Sierak, Dariusz Barski, Robert Hernand, Tomasz Janeczek

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311409 04

FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ
Czy wiesz, że
od 15.02.2024 wszystkie podmioty pracujące z dziećmi **będą zobowiązane do wprowadzenia standardów ochrony małoletnich?**
Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę jest ekspertem w obszarze Standardów Ochrony Dzieci
Od ponad 15 lat promujemy i wdrażamy je w Polsce. **BEZPŁATNIE pomożemy także Twojej organizacji.**
standardy.fdds.pl

Jerzy Domański

Profesorze, rób swoje

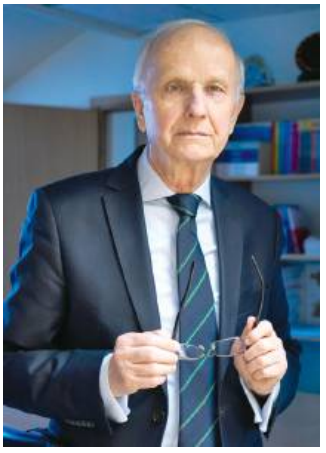

Polacy bardzo lubią, kiedy świat o nas pisze. Oczywiście, jeśli są to dobre oceny. Zbyt wielu powodów do tego jednak nie dajemy. Tym chętniej korzystam z jubileuszu prof. Grzegorza W. Kołodko i przypadającej na 28 stycznia 75. rocznicy urodzin tego najczęściej na świecie cytowanego polskiego ekonomisty. Doktora honoris causa kilkunastu zagranicznych uniwersytetów.

„Teraz Kołodko" – taki był tytuł okładki w PRZEGLĄDZIE w lipcu 2002 r. Na zdjęciu widzimy profesora głaszczącego okazałego tygrysa. Właśnie wtedy przejął pałeczkę sternika finansów państwa i wrócił na fotel wicepremiera i ministra finansów. Pełnił te funkcje czterokrotnie, i to z efektami, które wpisują go w poczet szczególnie zasłużonych dla Polski.

W III RP trudno by znaleźć kogoś bardziej niezależnego. Doświadczali tego dość boleśnie kolejni premierzy i ministrowie rządów Pawlaka, Oleksego, Cimoszewicza i Millera. Przekonany o swojej racji prof. Kołodko nie wahał się zderzać ze środowiskami finansowymi i mediami. Pryncypialny do bólu.

Od czasów Oskara Langego i Michała Kaleckiego nie mieliśmy ekonomisty światowego formatu. Prof. Kołodko jest autorem kompleksowej i spójnej koncepcji odnoszącej się do zasadniczych problemów ekonomicznych współczesności i przyszłości. Nowy pragmatyzm zbudował na przekonaniu, że musi się znaleźć inna droga niż ta neoliberalna czy populistyczno-nacjonalistyczna. W „Strategii dla Polski" apeluje o nową kompleksową strategię państwa opartego na społecznej gospodarce rynkowej.

Jeśli się do czegoś bierze, to całym sobą i musi być najlepszym. Ma do tego solidne podstawy. Do niezwykłego talentu i inteligencji dokłada niesamowitą pracowitość. Jest autorem wielu ważnych książek. W ostatniej, „Wojna i pokój", zderza się z wyświechtaną maksymą polityków: „Chcesz pokoju, szykuj się do wojny". Prof. Kołodko dedykuje im słowa: „Tym, którzy walczą o pokój, nie szykując się do wojny".

Perfekcyjny intelektualista. I praktyk z sukcesami. Z niezwykłą kreatywnością i niegasnącą ciekawością świata. Ciągle tworzy coś nowego. A przy tym znakomity pływak, uwielbiający długie dystanse. I maratończyk, który biegał – z powodzeniem – na wszystkich kontynentach.

Bardzo cenię życzliwość prof. Kołodko wobec naszej redakcji. I cierpliwość, z jaką prowadzi wielogodzinne rozmowy z Robertem Walenciakiem. Wierzę, że jeszcze nie raz pojawi się na tych łamach. A z okazji jubileuszu, Drogi Profesorze: rób po prostu swoje. Masz w tym wielu, wielu zwolenników, którym pomagasz zrozumieć ten tak skomplikowany świat. Ad multos annos.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7642fd1618

W NUMERZE

KRAJ

8 **Buntownicy Ziobry**
Kto nie uznaje władzy Adama Bodnara

12 **Tajna strona państwa PiS**
Kaczyński boi się komisji ds. Pegasusa

14 **Zażarta obrona układu Kaczyńskiego**
– rozmowa z Ryszardem Kaliszem

16 **Cenowy labirynt zniżek**
Pułapki promocji

18 **Mieszkać na poniemieckim**
Na Śląsku Niemców się nie boją

40 **Badanie pośmiertne Stanisława Pyjasa**

MEDIA

22 **Bunt maszyn czy tyrania monopoli**
Zagrożenia dla dziennikarstwa

HISTORIA

24 **Szura**
Czteroletnia więźniarka Auschwitz

26 **Mróz i morze ruin**
Wyzwolenie Warszawy

ZAGRANICA

28 **Producenci broni pod ostrzałem**
Korespondencja z USA

32 **Na ratunek nieuprzywilejowanym**
Lekarze bez Granic

36 **Ofiary gwałtów wojennych**
Tragedie kobiet na Bałkanach

KULTURA

44 **Jak nie zabiłem**
Olśnienia teatralne 2023

48 **Zbuntowana klasa**
– rozmowa z Sarą Bustamante-Drozdek

50 **Edward Dwurnik. Malarstwo**

52 **Qulturalia**

66 **Przestrzenie ożywione**

EKOLOGIA

54 **Spalanie świata**
Nierealistyczne cele klimatyczne

OBSERWACJE

58 **Stymulanty i depresanty**
Sierżant Bagieta kontra narkotyki

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Profesorze, rób swoje

27 **Jan Widacki**
Państwo prawa?

35 **Andrzej Romanowski**
Prawo i racja stanu

39 **Stanisław Filipowicz**
Światło i cień

43 **Roman Kurkiewicz**
„Terror praworządności”
– serial na faktach autentycznych

53 **Tomasz Jastrun**
Terror demokracji

57 **Wojciech Kuczok**
Trajektoria melancholii

16
KRAJ

CENOWY LABIRYNT ZNIŻEK
Pułapki promocji

32
ZAGRANICA

NA RATUNEK NIEUPRZYWILEJOWANYM
Lekarze bez Granic

44
KULTURA

JAK NIE ZABIŁEM
Olśnienia teatralne 2023

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS (2), GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

eprasa.pl 7642fd1618

Zlecenie na Leppera

Zastanawiam się i chyba nigdy tego nie ogarnę, jak to się mogło stać, że PiS w ogóle wygrało wybory w Polsce – zaczynając od tych osiem lat temu. Następna wygrana to już w ogóle abstrakcja. No jak???

Emilia Przygórska

•

Odpowiedź jest prosta – to niestety skutek ośmiu lat rządów PO, polityki zaciskania pasa i robienia dobrze tylko najbogatszym. Szczaw i mirabelki z nasypu kolejowego dla głodnych oraz kredyt hipoteczny i zmiany pracy jako remedium na wszelkie problemy biedy do dziś są pamiętane. Ludzie chcą socjalizmu ze szczególnym uwzględnieniem rozdawnictwa. Niech sobie pislamiści kradną w spokoju, bo nam coś dali. Tylko tyle i aż tyle.

Michał Czarnowski

Dlaczego PiS czuje się bezkarne

Całkowita bezkarność dotyczy nie tylko pisowców, ale też innych ekip rządzących – zauważa pan Andrzej Tomasik, komentując tekst „Dlaczego PiS czuje się bezkarne" (PRZEGLĄD nr 1/2024). Bardzo słusznie. A dlaczego tak się dzieje? O to trzeba zapytać panów Cimoszewicza i Czarzastego, co czują dziś, gdy lewica współrządzi z ludźmi, którzy jeszcze niedawno o politykach lewicowych myśleli w kategoriach „komuchy" i „lewaki", nie stroniąc od podziałów na „my" i „oni".

Jednym z przejawów tej politycznej nienawiści była sprawa utrącenia kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach prezydenckich. Ale nie tylko. Media sprzyjające postsolidarnościowej narracji przez lata obrzucały błotem dawnych wrogów politycznych. Nawet gdy przedstawiali oni całkiem racjonalne postulaty, rozwiązania. Ileż było jadu, kąśliwych uwag, gdy np. minister Pol zaproponował winiety na autostradach. Śmiechom i kpinom nie było końca. Według mnie szeroko rozumiany obóz postsolidarnościowy, zajmujący się od lat polityką (rozsądni działacze niegdysiejszej Solidarności dawno temu zrezygnowali z polityki lub zmarli) do dzisiaj nie wyszedł z okopów. To słychać w narracjach nie tylko Kaczyńskiego i jego dworu, ale również tej strony sceny politycznej, która aktualnie postrzega polityków PiS jako „komuchów", tych, którzy są po stronie ZOMO lub to odtwarzają. Innego języka nie znają.

A przecież obydwa środowiska, wywodzące się ze wspólnego pnia, przez lata zmierzały do restauracji II RP, robiąc z PRL czarną dziurę w naszej historii. W PO jest wielu historyków. Wierzyć się nie chce, że nie wiedzą o tym, że we wrześniu 1939 r. uciekał z kraju autorytarny rząd. Chociaż po wyskokach pana Schetyny wszystkiego już można się spodziewać. Czy takie zaplecze polityczne w obecnym obozie rządowym może gwarantować długo oczekiwane zmiany? Ludzie ponoć się zmieniają. Nie chcę odbierać rodakom nadziei swoimi subiektywnymi prognozami.

Michał Błaszczak

ZDJĘCIE TYGODNIA

Pośród szaleństwa wojny życie nie daje za wygraną. W obozie dla uchodźców na południu Strefy Gazy Palestynka szykuje się do ślubu. Rafah, 18 stycznia 2024 r.

FOT. MOHAMMED SALEM/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7642fd1618

Wybory samorządowe odbędą się **7 i 21 kwietnia**.

•

Paszporty tygodnika „Polityka” otrzymali: **Paweł Maślona** (film), **Katarzyna Szyngiera** (teatr), **Jacek Świdziński** (książka), **Hania Rani** (muzyka popularna), **duet Karolina Mikołajczyk & Iwo Jedynecki** (muzyka poważna), **Marta Nadolle** (sztuki wizualne) oraz **Starward Industries** (kultura cyfrowa). **Tytuł Kreatora Kultury** trafił do pisarza **Józefa Hena**. Po raz pierwszy przyznano **Paszport Czytelników „Polityki”** – otrzymał go **Łona (Adam Zieliński)**.

•

Około **1,4 mln osób skorzystało w 2022 r. z pomocy Banków Żywności**. Najczęściej seniorzy, dzieci, osoby z niepełnosprawnością i rodzice samodzielnie wychowujący dzieci.

•

Wyjaśniła się tajemnica gorliwości, z jaką grupa pracowników mediów prawicowych atakowała w latach 2016-2023 opozycję i broniła polityki PiS. Nie chodziło o ideologię. **Za każdy występ dobrze płacono.** Rekordzista za te haniebne występy zarobił w ciągu roku 298 tys. zł. Na liście wypłat są m.in. **Jacek i Michał Karnowscy, Jerzy Jachowicz, Karol Gaca, Marek Formela, Miłosz Manasterski, Piotr Nisztor i Jan Pietrzak.**

•

Adam Michnik otrzymał Order Podwójnego Białego Krzyża, najwyższe odznaczenie państwowe Słowacji przyznawane cudzoziemcom.

•

1,52 mln Polaków przebywało za granicą ponad rok. Najwięcej w Wielkiej Brytanii (446 tys.), Niemczech (411 tys.), Holandii (116 tys.), Irlandii (87 tys.), Norwegii (77 tys.), Belgii (46 tys.) oraz Austrii i Hiszpanii (po 32 tys.).

•

Małgorzata Bogajewska została laureatką dorocznej **Nagrody im. Tadeusza Żeleńskiego-Boya** za osiągnięcia w sztuce reżyserii, a szczególnie inscenizacji klasyki.

•

Agnieszka Szydłowska została dyrektorką radiowej Trójki. Pracowała w Programie III Polskiego Radia od 2003 r. do maja 2020 r. Prowadziła m.in. audycje „Radiowy dom kultury” i „Program alternatywny”.

•

Weronika Marczuk, która w 2009 r. padła ofiarą prowokacji zorganizowanej przez CBA, a później została oczyszczona ze wszystkich zarzutów, uważa, że Kamiński i Wąsik trafili do więzienia, bo popełnili przestępstwa. Złamali życie jej i tysiącom ludzi niesłusznie pokrzywdzonych.

•

Kogo zatrudniano na kierowniczych stanowiskach w czasie rządów PiS? U wojewody mazowieckiego Tobiasza Bocheńskiego na stanowisku kierowniczym najwyższego szczebla od czerwca do grudnia 2023 r. pracowała osoba skazana dwoma wyrokami karnymi, które nie uległy zatarciu.

•

Ks. Krzysztof Dobrogowski z Narwi (woj. podlaskie) ustalił **cennik za wizyty duszpasterskie.** 500 zł rodzina i 250 zł osoby mieszkające samodzielnie. A wszyscy po 75 zł dla kościelnego organisty **(„Nie”)**.

•

Według amerykańskich naukowców, którzy nowatorską metodą sprawdzili, ile drobinek nanoplastiku zawiera butelkowana woda sprzedawana w USA, jest ich od 10 do 100 razy więcej, niż wynikało to z wcześniejszych badań.

PRZEBŁYSKI

Spalili muzeum Szuchewycza

Mer Lwowa Andrij Sadowy nie będzie mógł się szczycić muzeum Romana Szuchewycza (Tarasa Czuprynki). Przynajmniej na razie. Rosyjski dron spalił to obrzydlistwo. I pamiątki po jednym z najgorszych katów Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Szuchewycz w czasie II wojny światowej był naczelnym dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Osobiście odpowiada za rzeź 120 tys. Polaków. Przed tymi mordami Szuchewycz był dowódcą w batalionie „Nachtigall” i kapitanem 201. batalionu Schutzmannschaft. Z odbudową muzeum mer nie będzie miał problemu. W wielu domach zachodniej Ukrainy są jeszcze pamiątki po tym zbrodniarzu.

Obsesje Marcina Kąckiego

Ostatnio głośno było o tym, jak Marcin Kącki, reporter „Gazety Wyborczej”, molestował absolwentkę Polskiej Szkoły Reportażu, w której nauczał. Masturbacja przed dziewczyną i chamskie odzywki zostały przez nią nagrane. Tuż przed ujawnieniem tego skandalu „GW” wydrukowała ogromny, megalomański tekst Kąckiego.

Agnieszka Wołk-Łaniewska („Nie”) przypomniała równie obrzydliwy numer, jaki wywinął Kącki przed 18 laty. Tekst „Praca za seks w Samoobronie” pogrążył Samoobronę i Andrzeja Leppera. Oskarżająca liderów ugrupowania Aneta Krawczyk kłamała, a Kącki łykał to jak pelikan i wydrukował te łgarstwa. Bez kontaktu z Lepperem. Agnieszka Wołk-Łaniewska błyskotliwie i boleśnie rozjechała Kąckiego. Należało mu się. Za wymuszanie seksu od studentki. I za paszkwil o Lepperze.

„Akademia” Ziobry

Można by się z tego śmiać, gdyby nie Wasza, Drodzy Czytelnicy, kasa, która idzie na ten wynalazek Ziobry. Człowiek, na którego nie bez powodu czeka wielu prokuratorów, miał imperialne plany. Powołał Akademię Wymiaru Sprawiedliwości (AWS). Na posadę jej rektora trafił dr Michał Sopiński. Akademia ma tyle wspólnego z uczelniami, co cebula z pomarańczą. A rektor? Gorliwy, poza granice śmieszności, apologeta najgłupszych decyzji prezydenta i PiS. Oraz oczywiście Kamińskiego i Wąsika, przestępców czekających na przesłuchania w sprawie Pegasusa. Sopińskiego z kolei czeka kontrola „akademii”. I duże kłopoty.

Zdradliwe lustro

Jak trzeba uważać na lustro w łazience, przekonał się ks. Andrzej Jarosiewicz, proboszcz parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Mikołaja w Bolesławcu. Na filmach na YouTubie parafianie zobaczyli odbicie swojego księdza w lustrze – w jacuzzi, golusieńkiego i nie samego. Towarzyszył mu Adrian Drankowski, 27-letni młodzian ze wsi Henryków, znany z występów w „Top Model” (TVN). Zdeklarowany gej często nocował na plebanii i robił filmy. Parafianie próbowali interweniować u biskupa legnickiego Zbigniewa Kiernikowskiego, ale bez skutku. Później u jego następcy, bp. Andrzeja Siemieniewskiego. Wreszcie sam ksiądz Jarosiewicz poczuł się wypalony zawodowo i zrezygnował. Trafił do parafii w Węglińcu, a stamtąd na roczny urlop. A mógł sobie siedzieć na tłustej parafii, gdyby nie zdradliwe lustro.

FOT. DOMENA PUBLICZNA, YOUTUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7642fd1618

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

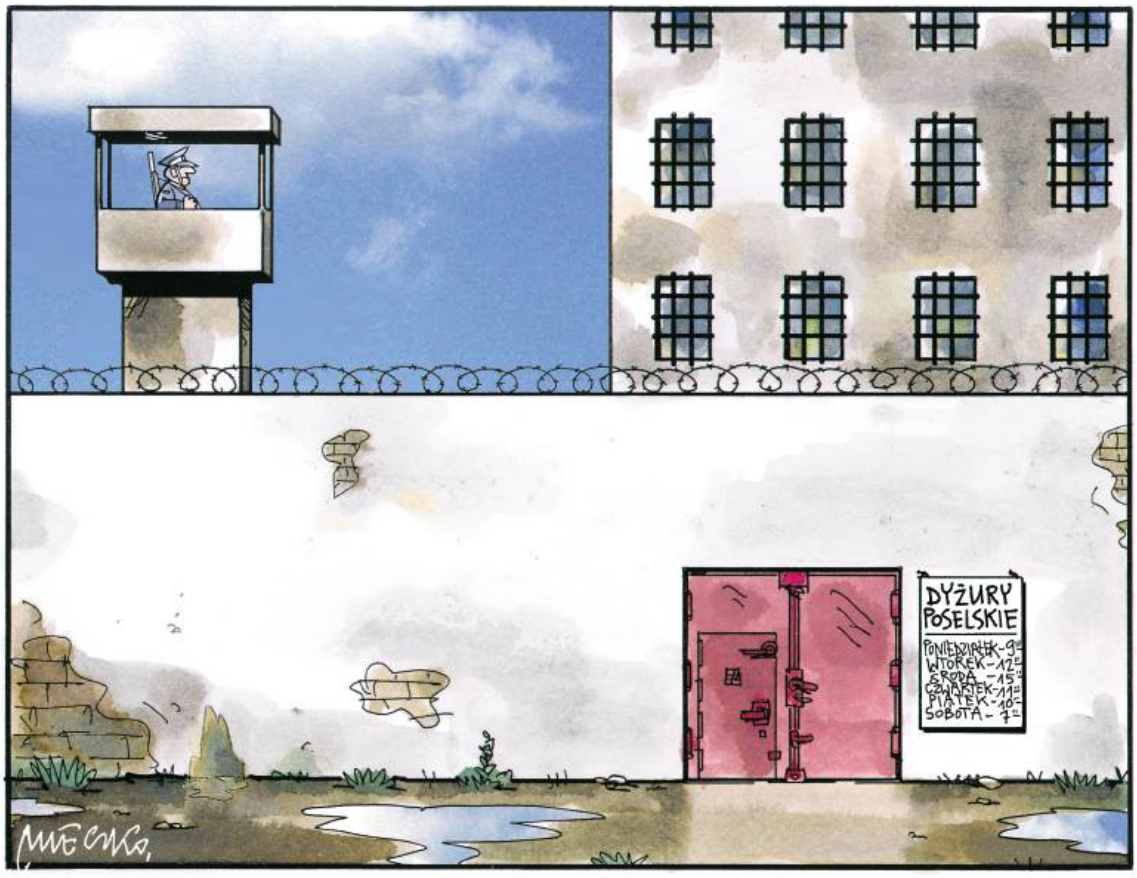

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co to znaczy wolne media?

PAWEŁ SITO,
redaktor programowy Radiospacji

Nie ma czegoś takiego jak wolne media, nie rozumiem takiej kategorii. To coś jak wolne drzewo czy wolny płot? Media to media i oczywiście z drzewem można zrobić coś nie OK, a płot oblepić plakatami. Zasadniczą formułą mediów powinna być wolność i przymiotnik stawiałbym dopiero przy wynaturzeniu. Jednak określenie „wolne" sugeruje, że czai się wróg. I tak – w chorej sytuacji – było „przez ostatnich osiem lat". Naprawdę mam nadzieję, że nie będzie powodów, by pisać, że my, wolni ludzie, w wolnym kraju korzystamy z wolnych mediów.

WOJCIECH KRZYŻANIAK,
medioznawca

Fraza „wolne media" to zaklęcie banalne i bardzo wygodne. Skupiając naszą uwagę na kwestiach politycznych, odwraca ją od kwestii ważniejszych. Ot, choćby od uczciwości czy przyzwoitości. Uczciwe media byłyby prawdziwym wyzwaniem. Możemy mówić o nielicznych wolnych dziennikarzach, ale „wolne media" to bajka o żelaznym wilku. Nie chodzi o uwikłania polityczne, bo te można łatwo zidentyfikować. Gorsza i mająca większy wpływ na nas jest „wolność" finansowa. Konieczność pozyskania pieniędzy z rynku to konieczność godzenia się na kompromisy. W tym uczestnictwo w praktykach lobbystycznych mających wpływ na nasze życie i prawo. W pogoni za pieniądzem media stają się wolne od rozumu, umiaru i powagi. Czy w pojęciu „wolne media" zawiera się uczciwość? Niekoniecznie. W mediach panują kolesiostwo, konformizm, krycie swoich i hipokryzja, które mieszczą się w zbiorze „wolność". Wolałbym, żeby redakcje, zamiast wolnością, chciały się chwalić uczciwością.

DR KATARZYNA BĄKOWICZ,
medioznawczyni, Uniwersytet SWPS

Wolne media to przede wszystkim media pluralistyczne. Takie, które próbują, bo to nie jest w 100% możliwe, w miarę bezstronnie opisać rzeczywistość. Odbiorca ma otrzymać informacje, żeby na ich podstawie wyrobić sobie własną opinię. Wolne media to też takie, które pokazują nie tylko dwie strony danej sprawy, ale wszystkie jej wymiary. Dziennikarze w wolnych mediach odróżniają fakty od opinii i skupiają się na przekazywaniu tych pierwszych. Jeśli przekazują te drugie, zaznaczają, że to opinia. W wolnych mediach wolno powiedzieć wszystko, z zaznaczeniem, że nie może to być mowa nienawiści ani nawoływanie do niej. Nie może to polaryzować ani krzywdzić i musi szanować granice wolności jednostki. Wolne media to wreszcie takie, w których znajdują się wszystkie tematy. Takie media nie wykluczają żadnego odbiorcy i dostosowują ofertę programową tak do tych, którzy mają potrzebę prostych przekazów, jak i do tych, którzy wolą treści trochę bardziej rozbudowane.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 7642fd1618

BUNTOWNICY ZIOBRY

Kto nie uznaje władzy ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara

Dariusz Barski na czele Prokuratury Krajowej miał gwarantować utrzymanie wpływów Zbigniewowi Ziobrze.

Andrzej Sikorski

Wypowiedzenie posłuszeństwa ministrowi sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu przez jego zastępców nie powinno nikogo dziwić. Mianowani przez Zbigniewa Ziobrę członkowie kierownictwa Prokuratury Krajowej to ludzie mu oddani, którzy nie będą mieli żadnych hamulców w stosowaniu brudnych zagrywek wobec Adama Bodnara. A stać ich naprawdę na wiele.

Dariusz Barski

Dariusz Barski jest jednym z najbliższych i najwierniejszych ludzi Ziobry. Był świadkiem na jego ślubie, jest ojcem chrzestnym jego dziecka. Za pierwszych rządów PiS został szefem Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi, a potem prokuratorem krajowym.

Barski firmował śledztwo w sprawie Mieczysława Wachowskiego, oskarżonego o szereg przestępstw, jak później się okazało, bezpodstawnie, co potwierdził sąd, prawomocnie oczyszczając byłego ministra prezydenta Lecha Wałęsy z zarzutów.

Jako prokurator krajowy Barski chronił Tadeusza Rydzka, gdy na jaw wyszły nagrania z wykładu dla studentów Rydzykowej uczelni, podczas którego redemptorysta nazwał Marię Kaczyńską czarownicą, a prezydenta Lecha Kaczyńskiego oszustem ulegającym lobby żydowskiemu. Rydzyk mówił też, że sprawa Jedwabnego służyła tylko temu, by środowiska żydowskie mogły wyłudzić od Polski 65 mld dol. Odpowiadając na pytania posłów w Sejmie, Barski twierdził, że zarzut znieważenia nie może dotyczyć członków rodziny głowy państwa, a zachowanie znieważające „musi być na tyle wyraźne, by mogło być uznane za przejaw poniżenia, pogardy, a nie jedynie za przejaw lekceważenia". O zarzucie znieważenia Żydów powiedział: „Słowa stanowią komentarz obrazujący pogląd ich autora na otaczającą go rzeczywistość i nie dają uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa".

Głośno o Barskim zrobiło się, gdy w 2007 r. urządził razem z prokuratorem Jerzym Engelkingiem konferencję multimedialną, na której ujawnione zostały materiały operacyjne

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 7642fd1618

(m.in. nagrania z podsłuchów) ze śledztwa w sprawie przecieku w tzw. aferze gruntowej, mające udowodnić tezę, że to Janusz Kaczmarek, były szef MSWiA, zdradził akcję CBA wymierzoną w Andrzeja Leppera. Kaczmarek zdradził, ale Jarosława Kaczyńskiego i Ziobrę, ujawniając opinii publicznej kulisy ich rządów, i za to spotkała go zemsta. Przed sejmową komisją śledczą ds. nacisków Konrad Kornatowski, komendant główny policji za czasów PiS, zeznał, że gdy w mieszkaniu służbowym Kaczmarka zainstalowano podsłuchy, Barski z Engelkingiem przyszli na suto zakrapianą imprezę. „Engelking nie był w stanie dojść do domu. Powiedział, że całe społeczeństwo powinno być inwigilowane. To nie był żart. To było memento tych czasów", powiedział Kornatowski.

Po utracie władzy przez PiS i reorganizacji prokuratury Barski próbował załapać się do nowego rozdania. Prezydent Lech Kaczyński, który wybrał na prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, miał podobno naciskać na niego, by jednym ze swoich zastępców zrobił Barskiego. Gdy Seremet odmówił, Barski, mając ledwie 42 lata, przeszedł w stan spoczynku z emeryturą w wysokości 100% pensji, tj. ok. 14 tys. zł miesięcznie.

Wypłynął ponownie jesienią 2011 r., jako kandydat PiS do Sejmu. Dzięki agitacji Ziobry zdobył mandat, ale pojawiły się wątpliwości, czy może łączyć mandat poselski ze stanowiskiem prokuratora krajowego w stanie spoczynku. Ówczesny marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna uznał, że nie może, i dał Barskiemu wybór: jeśli chce zachować mandat poselski, musi zrezygnować ze stanu prokuratorskiego i emerytury. Barski nie skorzystał z propozycji, a Schetyna wygasił mu mandat. Sąd Najwyższy podtrzymał decyzję marszałka.

Dariusz Barski jest jednym z najbliższych i najwierniejszych ludzi Ziobry. Był świadkiem na jego ślubie, jest ojcem chrzestnym jego dziecka.

Robert Hernand

Pierwsze skrzypce wśród puczystów gra Robert Hernand. To on nagrał telefonem komórkowym rozmowę z Bodnarem, podczas której łajał przełożonego i groził mu odpowiedzialnością karną. Hernand nadzoruje departament postępowania sądowego.

Jego kariera zaczęła się za pierwszych rządów PiS. Wtedy został prokuratorem okręgowym w Gliwicach, a później prokuratorem apelacyjnym we Wrocławiu – przy sprzeciwie samorządów prokuratorskich. Zasłynął z czystek kadrowych. Usuwał doświadczonych funkcyjnych prokuratorów, a na ich miejsce powoływał osoby bez wymaganych kwalifikacji.

Nazwisko Hernanda przewija się w tzw. śledztwie naciskowym dotyczącym szykanowania prokuratorów, inspirowania prowokacji wobec nich, wszczynania bezpodstawnych postępowań karnych i dyscyplinarnych przez Zbigniewa Ziobrę i jego ludzi w latach 2005-2007.

W lipcu 2007 r. nieoczekiwanie odwołany ze stanowiska został prokurator okręgowy w Opolu Józef Niekrawiec. „Były dwa powody takiej decyzji. Po pierwsze, prokurator Niekrawiec bardzo długo nie kierował jednostką z powodu choroby i nie była tak zdynamizowana, jak powinna.

UPOLITYCZNIONA PROKURATURA

Gdy PiS doszło do władzy, jedną z pierwszych decyzji było przejęcie kontroli nad niezależną prokuraturą. W marcu 2016 r. zaczęła obowiązywać nowa ustawa o prokuraturze. Połączono funkcję prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości, w miejsce Prokuratury Generalnej utworzono Prokuraturę Krajową, prokuratury apelacyjne przekształcono w prokuratury regionalne.

Stanowiska kierownicze wszystkich szczebli objęli prokuratorzy lojalni wobec Zbigniewa Ziobry, często młodzi, niedoświadczeni, z krótkim stażem, a tych, których uznano za wrogów nowej władzy, zdegradowano. Spotkało to najwyższych rangą i najbardziej doświadczonych prokuratorów. Zostali skierowani do prokuratur rejonowych, nieraz oddalonych o setki kilometrów od ich miejsca zamieszkania.

Na czele prokuratury stoi minister sprawiedliwości prokurator generalny, który ma dziewięciu zastępców – członków kierownictwa Prokuratury Krajowej, w tym I zastępcę prokuratora krajowego.

Prokuratura Krajowa składa się z kilkunastu biur i departamentów. Jednym z najważniejszych jest owiany złą sławą Wydział Spraw Wewnętrznych, który zajmował się ściganiem niepokornych prokuratorów i sędziów, m.in. tych, którzy krytykowali PiS za zawłaszczanie wymiaru sprawiedliwości albo wydawali orzeczenia niezgodne z punktem widzenia PiS. To prokuratorzy tego wydziału chcieli siłowo zatrzymać sędziego Igora Tuleyę i postawić mu zarzuty za wpuszczenie dziennikarzy na salę sądową na ogłoszenie krytycznego dla PiS orzeczenia, dotyczącego głosowania nad budżetem w Sali Kolumnowej Sejmu w grudniu 2016 r. Wydział Spraw Wewnętrznych prowadził również śledztwa wobec sędzi Beaty Morawiec – szefowej Stowarzyszenia Sędziów Themis, sędziego Waldemara Żurka – rzecznika starej, legalnej Krajowej Rady Sądownictwa, sędziego Krystiana Markiewicza – szefa Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, sędziego SN prof. Włodzimierza Wróbla, sędziego Macieja Czajki i 14 krakowskich sędziów za decyzje procesowe w sprawie prokuratora Mariusza Krasonia.

Szefem Wydziału Spraw Wewnętrznych jest prokurator Paweł Wilkoszewski, były asystent Zbigniewa Ziobry delegowany jako asesor za czasów pierwszego rządu PiS do Prokuratury Okręgowej w Warszawie, gdzie zajmował się tzw. aferą gruntową. W marcu 2016 r. Wilkoszewski został powołany na prokuratora okręgówki, a po kilkunastu miesiącach był już prokuratorem Prokuratury Regionalnej w Warszawie i oddelegowany do Prokuratury Krajowej. Pod koniec 2023 r. trafił do korpusu najważniejszych prokuratorów w Polsce.

eprasa.pl 7642fd1618

Powód drugi to nieprawidłowości w funkcjonowaniu namysłowskiej prokuratury, gdzie jeden z tamtejszych prokuratorów przetrzymywał w domu akta, które nie trafiały do sądu", mówił wówczas rzecznik prokuratora apelacyjnego we Wrocławiu Krzysztof Schwartz (w 2016 r. został powołany do zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, a potem dostał awans na prokuratora Prokuratury Krajowej).

Schwartz mijał się z prawdą. Otóż Hernand próbował na Niekrawcu wymusić czystki kadrowe w okręgu opolskim. Niekrawiec zeznał: „Po jednej z rozmów w sprawie zmian kadrowych, kiedy prokurator Hernand namawiał mnie do tych czystek kadrowych, zwierzyłem się swoim dwóm zastępcom, ale nie wykluczam, że mogłem powiedzieć to i innym, bliskim mi prokuratorom, że są wywierane na mnie naciski w sprawie zmian kadrowych".

Robert Hernand próbował wymusić na prokuratorze okręgowym Józefie Niekrawcu czystki kadrowe w okręgu opolskim.

Informacja o naciskach Hernanda przedostała się do mediów, a prokurator okręgowy został zdymisjonowany. Gdy Niekrawiec zapytał Hernanda o powód odwołania, usłyszał, że ujawnił mediom treść ich rozmowy. Niekrawiec oświadczył Hernandowi, że chce zorganizować konferencję prasową, aby się pożegnać, na co ten poradził, „aby się zastanowił, gdyż może się narazić na odpowiedzialność".

Konferencja się odbyła, a niepokorny prokurator powiedział wówczas m.in.: „Można to potraktować jako życzliwe ostrzeżenie, bym na konferencji nie ujawniał informacji o charakterze służbowym, albo jako sugestię, bym w ogóle się z wami nie spotykał. W najgorszych czasach mojej kariery zawodowej, w PRL, gdy grozili mi wyrzuceniem z pracy i nieznalezieniem pracy w żadnym zawodzie prawniczym, się nie ugiąłem, więc tym bardziej w wolnej Polsce nie dam się wystraszyć. (…) Z wieloma sprawami, które mają obecnie miejsce w prokuraturze, nie zgadzałem się. Są pewne granice, których nie przekroczyłem. Prokurator nie ma służyć żadnej partii politycznej, żadnej formacji, nie ma realizować żadnego programu partyjnego, prokurator ma być apolityczny".

Niekrawiec to prokurator z mocnym kręgosłupem moralnym. W stanie wojennym na znak protestu przeciwko masakrze w kopalni Wujek rzucił legitymacją partyjną, za co został wyrzucony z pracy i poddany represjom. Do pracy w prokuraturze wrócił po przemianach ustrojowych dzięki poparciu działaczy opozycji antykomunistycznej i Solidarności. Gdy kierował opolską prokuraturą, jego podwładni rozpracowali tzw. aferę ratuszową. Na ławie oskarżonych zasiedli politycy SLD, m.in. wojewoda, marszałek województwa, prezydenci Opola, którzy zostali skazani na długoletnie więzienie za przestępstwa korupcyjne. Mimo że działo się to za rządów SLD, gdy prokuratorem generalnym był wpływowy polityk lewicy Grzegorz Kurczuk, i mimo pogróżek ze strony ówczesnych lokalnych notabli, że utrącą Niekrawca ze stanowiska, prokurator okręgowy nie ugiął się.

Postawienie się Hernandowi miało dla Niekrawca o wiele bardziej dotkliwe konsekwencje niż tylko utrata stanowiska. Wobec prokuratora przeprowadzono akcję hejtu i szkalowania. W „Naszym Dzienniku" ukazał się paszkwil – jak wiele na to wskazuje, inspirowany przez Hernanda lub jego otoczenie – z którego wynikało, że Niekrawiec to złodziej i wkrótce trafi za kratki. Jako prokurator okręgowy miał bowiem akceptować faktury za usługi, które nigdy nie zostały wykonane, a wyprowadzono w ten sposób setki tysięcy złotych. W publikacji powoływano się na informacje z Ministerstwa Sprawiedliwości, wypowiadał się też anonimowy informator związany z Prokuraturą Krajową. Śmierdzącą atmosferę wokół Niekrawca zagęszczali prawa ręka Ziobry, prokurator Jerzy Engelking, który na posiedzeniu sejmowej Komisji Sprawiedliwości wmawiał posłom, że powodem odwołania opolskiego prokuratora były m.in. faktury bez pokrycia, powtarzająca te same brednie rzeczniczka Ziobry Edyta Żyła, a nawet Andrzej Duda, który był wtedy wiceministrem sprawiedliwości.

Tomasz Janeczek

Tomasz Janeczek jest zastępcą prokuratora generalnego ds. wojskowych. Podobnie jak Hernand zaczął robić karierę za pierwszych rządów PiS. W 2005 r. z szeregowego prokuratora Prokuratury Okręgowej w Katowicach awansował na szefa Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach.

Janeczek nadzorował śledztwo w sprawie tzw. mafii węglowej i jest współodpowiedzialny za śmierć Barbary Blidy, którą na podstawie sfabrykowanych dowodów PiS wrobiło w dętą aferę. To on wydał nakaz zatrzymania polityczki lewicy. A do prokuratorów, którzy się temu sprzeciwili, wykrzykiwał, że nie dorośli do bycia prokuratorami. Była posłanka SLD i minister budownictwa zginęła postrzelona w trakcie szamotaniny z funkcjonariuszką ABW, a PiS ogłosiło kłamliwie, że było to samobójstwo.

Janeczek nadzorował też śledztwo dotyczące lobbysty Marka Dochnala, od którego politycy lewicy mieli brać łapówki. W trakcie śledztwa przesłuchano Aleksandra Kwaśniewskiego, a Janeczek nakazał prokuratorowi prowadzącemu sprawę, aby przesłuchanie byłego prezydenta zarejestrował kamerą. Taką procedurę stosuje się wobec niewiarygodnych świadków, których chce się przyłapać na kłamstwie, albo wobec gangsterów sypiących wspólników. Prowadzący przesłuchanie prokurator Sebastian Rohm sprzętu nie włączył. Z tego powodu Janeczek zrobił mu karczemną awanturę i ukarał go pisemnym wytykiem, że nie wykonuje poleceń służbowych. Potem Rohma odsunięto od śledztwa.

Janeczek nadzorował także śledztwo wymierzone w Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich. Chodziło o rzekome ukrywanie majątku przez byłą parę prezydencką (o sprawie pisaliśmy w artykule „Wszystkie grzechy Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika", PRZEGLĄD nr 3/2024). Mimo że

eprasa.pl 7642fd1618

nie było ku temu żadnych podstaw, do akcji przeciwko Kwaśniewskim zaprzęgnięto potężną machinę śledczą złożoną z prokuratorów, agentów CBA i służb skarbowych. W 2010 r. śledztwo zostało umorzone. W postanowieniu o umorzeniu prokuratura wyczerpująco opisała wszystkie analizowane wątki, nie znajdując niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Kwaśniewscy wzbogacili się w sposób nielegalny. Jednak w 2016 r., gdy PiS wróciło do władzy, a Janeczek został prokuratorem regionalnym w Katowicach, ponownie wszczęto w tej sprawie śledztwo, które zostało umorzone w 2022 r.

Janeczek przyłączył się też do prywatnej wojny Ziobry, toczonej przeciw sędziom, którzy zajmowali się wyjaśnieniem okoliczności śmierci ojca ministra. Represjom poddana została m.in. sędzia Agnieszka Pilarczyk. Matka Ziobry złożyła na nią donos do prokuratury za to, że przyjęła opinię biegłych, której wycena rzekomo była zawyżona. Natychmiast wszczęto śledztwo, a Janeczek poinformował w specjalnym komunikacie, że sędzia Pilarczyk mogła się dopuścić przestępstwa. Takie postępowanie było złamaniem wszelkich zasad i miało na celu poniżenie Agnieszki Pilarczyk. Gdy prokuratorzy ze stowarzyszenia Lex Super Omnia stanęli w obronie sędzi, argumentując, że działanie Janeczka było bezprawne, i oni znaleźli się na celowniku. Wobec członków zarządu LSO, prokuratorów Krzysztofa Parchimowicza, Dariusza Korneluka i Katarzyny Gembalczyk, wszczęto postępowania dyscyplinarne.

Tomasz Janeczek nadzorował śledztwo w sprawie tzw. mafii węglowej i jest współodpowiedzialny za śmierć Barbary Blidy.

Krzysztof Sierak

Krzysztof Sierak nadzoruje departament postępowania przygotowawczego. Pochodzi z Tychów i skrzydła rozwinął także za pierwszych rządów PiS. To wtedy awansował z zastępcy prokuratora rejonowego w Katowicach na szefa Prokuratury Okręgowej w Katowicach, do której kierowane były najważniejsze śledztwa polityczne. Po pół roku urzędowania zgromadzenie katowickich prokuratorów w tajnym głosowaniu wydało negatywną opinię o Sieraku. Zarzucano mu arogancję i ręczne sterowanie śledztwami. Ziobro ściągnął go do Warszawy i mianował dyrektorem Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej.

Sierak nadzorował śledztwo w sprawie Barbary Blidy, choć zarzekał się, że nie miał z nim nic wspólnego. Mówił tak przed sejmową komisją śledczą badającą okoliczności śmierci byłej posłanki SLD. Tymczasem prokurator Jacek Krawczyk, który jako pierwszy badał powiązania Barbary Kmiecik, bizneswoman i szarej eminencji branży górniczej, z Barbarą Blidą i nie znalazł dowodów wskazujących na to, że polityczka lewicy brała od Kmiecik łapówki, zeznał, że Sierak był bardzo zaangażowany w sprawę. Podpisał pismo adresowane do Kmiecik. Dokument ten był odpowiedzią na jej skargę skierowaną do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w której żaliła się na prokuraturę i policję oraz zapewniała o swojej niewinności.

„Sierak wbrew temu, co powiedział przed komisją (...), podpisał to pismo, ale chwilę później polecił, abym je zostawił i przyniósł akta podręczne i kserokopie akt głównych. Po dwóch-trzech dniach te akta z pismem zostały mi zwrócone. Na piśmie była odręczna adnotacja

MILIONERZY Z PROKURATURY

Zaplanowany budżet prokuratury na 2024 r. to ponad 4,6 mld zł, z czego około połowy pochłaniają wynagrodzenia, obowiązkowe ubezpieczenia społeczne i uposażenia prokuratorów w stanie spoczynku. W prokuraturze zatrudnionych jest ponad 14,6 tys. osób, a prokuratorów jest ok. 6 tys., większość pracuje na pierwszej linii, w prokuraturach rejonowych, gdzie wynagrodzenia są najniższe i wynoszą ok. 10 tys. zł.

Za to najbardziej zaufani współpracownicy Zbigniewa Ziobry – członkowie kierownictwa Prokuratury Krajowej, zarabiają gigantyczne pieniądze. Jak ujawniła prokurator Ewa Wrzosek z Lex Super Omnia, w latach 2022-2023 m.in. Dariusz Barski, Krzysztof Sierak i Robert Hernand otrzymali prawie 1 mln zł wynagrodzenia i nagrody po 26-32 tys. zł. Każdy z nich dostał też comiesięczny ryczałt mieszkaniowy, diety, zwrot kosztów przejazdów itp. w wysokości ok. 5 tys. zł.

Zarobki prokuratora krajowego i zastępców prokuratora generalnego (kwoty brutto):

- **Dariusz Barski** (16 lutego 2022-31 grudnia 2023) – 974 693 zł wynagrodzenia + 32 900 zł nagród.

Zastępcy prokuratora generalnego:

- **Robert Hernand** (2022-2023) – 996 579 zł wynagrodzenia + 26 900 zł nagród.
- **Krzysztof Sierak** (2022-2023) – 997 579 zł wynagrodzenia + 26 900 zł nagród.
- **Beata Marczak** (2022-2023) – 884 371 zł wynagrodzenia + 26 900 zł nagród.
- **Krzysztof Urbaniak** (14 lipca 2022-31 grudnia 2023) – 666 066 zł wynagrodzenia + 19 400 zł nagród.
- **Michał Ostrowski** (21 listopada-31 grudnia 2023) – 48 321 zł wynagrodzenia.
- **Przemysław Funiok** (1 stycznia 2022-22 października 2023) – 885 560 zł wynagrodzenia + 26 900 zł nagród.
- **Tomasz Janeczek** (21 listopada-31 grudnia 2023) – 48 321 zł wynagrodzenia.

Oprócz tego ok. 40 prokuratorom Prokuratury Krajowej wypłacono łącznie niemal 4,2 mln zł tzw. dodatków specjalnych, w wysokości do 40% wynagrodzenia.

eprasa.pl 7642fd1618

prokuratora Sieraka do mnie, abym (…) uzupełnił pismo do Kmiecik o następujące informacje: że zgromadzony materiał dowodowy jest w dalszym ciągu uzupełniany, jej działania znajdują odzwierciedlenie w materiale dowodowym, środki zapobiegawcze były kontrolowane przez sąd. Gdy przyniosłem Sierakowi te akta, omawialiśmy też materiał dowodowy – co jest jeszcze do uzupełnienia", ujawnił prokurator Krawczyk.

Sierak miał również kazać przynieść sobie projekt wniosku w sprawie przedłużenia śledztwa przeciwko Kmiecik. „Dopytywał także o Barbarę Blidę, czy tam już nic nie da się zrobić. Chodziło o wątki korupcyjnego powiązania Barbary Blidy z Barbarą Kmiecik. (...) Sugerował, żebym jeszcze raz przyjrzał się sprawie Blidowej. Powiedziałem wówczas, że nie interesuje mnie polityka i że nie będę się podłączał pod rozliczanie lewicy, tak jak zapowiedzieli panowie Kaczyńscy i Ziobro", zeznał Krawczyk.

Gdy zeznania Jacka Krawczyka złożone w prokuraturze wyszły na jaw, Sierak stwierdził, że nie kłamał, tylko zapomniał o sprawie, ale już pamięć mu się odświeżyła (sic!).

Okazało się też, że Sierak do nacisków na Krawczyka, aby ten postawił zarzuty Barbarze Blidzie, wykorzystał jego wypadek drogowy. Jadąc samochodem, Krawczyk potrącił śmiertelnie kobietę, która wtargnęła na jezdnię. Sprawa wydawała się jasna, wersję prokuratora potwierdzili świadkowie, a także biegli, ale śledztwo nie zostało zamknięte. Było przedłużane, a gdy Krawczyk nie znalazł nic na Blidę, został oskarżony o spowodowanie wypadku. Na pytanie dziennikarza „Gazety Wyborczej", kto stoi za tym, że jednak został oskarżony o śmiertelne potrącenie pieszej, Krawczyk odpowiedział: „Myślę, że w głównej mierze prokurator Sierak – ten sam, który wcześniej mówił mi, że sprawa powinna być umorzona. Ale on nie działał samodzielnie. Moim zdaniem konsultował się z prokuratorem apelacyjnym Janeczkiem, a przede wszystkim z Warszawą, z ministrem Ziobrą".

Śledztwo przeciw Krawczykowi prowadził prokurator Emil Melka, ten sam, który w Prokuraturze Okręgowej w Katowicach zajmował się sprawą mafii węglowej, a potem był wśród czterech prokuratorów, którzy zadecydowali o postawieniu zarzutów Barbarze Blidzie. Janeczek nie ufał Melce, bał się, że ten zacznie mówić o naciskach wywieranych na śledczych w związku ze sprawą Blidy. Wezwał do siebie prokuratora na rozmowę, którą ukradkiem nagrał. Janeczek namawiał Melkę, by w oświadczeniu napisał, „jak było naprawdę". Melka się bronił, że prawdy napisać nie może: „Ja się mam wypstrykać z nabojów teraz? (...) Powystrzelam cały magazynek i będę do odstrzału (...). Jak chcesz, żebym napisał fakty, skoro ktoś, kto potencjalnie (...) mógł mnie naciskać, dalej jest prokuratorem i jest wyżej, i nadzoruje to śledztwo. (...) Musiałbym być już poza tą firmą, żeby napisać wszystko", odpowiedział Melka. Gdy Janeczek wciąż nalegał, aby „napisał, jak było", Melka wybuchnął: „No, jak było! Przecież nie będę cytował słów, jak było. Mam cytować słowa, a potem odejść z firmy?!".

Krzysztof Sierak pochodzi z Tychów i podobnie jak jego kompani skrzydła rozwinął za pierwszych rządów PiS.

Poruszenia nagraniem nie krył mecenas Leszek Piotrowski, pełnomocnik męża Barbary Blidy i były wiceminister sprawiedliwości w rządzie AWS, który stwierdził, że „to zapis próby matactwa i świadectwo ordynarnych nacisków", „pokazuje też atmosferę nieufności i podejrzeń panującą w resorcie sprawiedliwości kierowanym przez Zbigniewa Ziobrę".

Tacy właśnie ludzie jak Barski, Hernand, Janeczek i Sierak, pozbawieni zasad moralnych, uwikłani w afery, lojalni nie wobec państwa, ale w stosunku do politycznej grupy interesu, będą zaciekle walczyć o zachowanie swoich wpływów w prokuraturze, która przez ostatnie osiem lat stała na straży interesów PiS.

Andrzej Sikorski

Robert Walenciak

To będzie najgroźniejsza dla PiS komisja śledcza, ale i najtrudniejsza sprawa dla tych, którzy będą chcieli dotrzeć do prawdy. Chodzi o sejmową komisję śledczą ds. Pegasusa. Jej powołanie się przewleka. Przeszkoda, jak mówił marszałek Hołownia, jest jedna – nie ma zgody koalicji na kandydatów PiS.

Otóż PiS zgłosiło do komisji czwórkę fighterów, którzy mają za zadanie ją zdominować – Sebastiana Kaletę, Michała Wójcika, Janusza Cieszyńskiego i Jana Kanthaka. Dwóch ziobrowych wiceministrów, byłego wiceministra zdrowia i byłego wiceministra aktywów państwowych. Sęk w tym, że oni sami być może staną przed komisją w charakterze świadków, a nawet osób, wobec których formułowane będą zarzuty. Jak więc to pogodzić z rolą śledczego?

W tej sytuacji marszałek Hołownia zwrócił się do władz PiS o wyznaczenie innych kandydatów. I spotkał się z odmową. Komisja zatem jeszcze nie powstała, a już toczy się wokół niej potężna walka. I nie miejmy złudzeń – łatwiej nie będzie.

•

Warto pamiętać: Pegasus to izraelskie oprogramowanie, stosowane przeciwko najniebezpieczniejszym terrorystom. Infekuje ono komputery i smartfony osób inwigilowanych – można więc za jego pośrednictwem śledzić pocztę, rozmowy telefoniczne, a także podsłuchiwać i podglądać. Program może też pobierać ze smartfona treści i może je wpisywać.

W Polsce używało go, jak ustaliła w roku 2018 Najwyższa Izba Kontroli, Centralne Biuro Antykorupcyjne. Na jego zakup przeznaczono 25 mln zł ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś, zabiegając o te pieniądze jesienią 2017 r., mówił w sejmowej Komisji Finansów Publicznych, że chodzi o „zapobieganie przestępczości". W efekcie służby specjalne otrzymały narzędzie, którym zaczęły szpiegować ludzi niewygodnych dla władzy.

eprasa.pl 7642fd1618

Tajna strona państwa PiS

Pegasus: tej komisji Kaczyński boi się najbardziej

Kto miałby odpowiadać za używanie Pegasusa do inwigilacji opozycji? Tropy wiodą w stronę Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i Zbigniewa Ziobry.

•

Jak ujawnił później kanadyjski ośrodek badawczy Citizen Lab, w Polsce miało miejsce przynajmniej pięć przypadków stosowania Pegasusa – za jego pomocą inwigilowano Krzysztofa Brejzę, Romana Giertycha, Michała Kołodziejczaka, prokurator Ewę Wrzosek (członkinię stowarzyszenia Lex Super Omnia) oraz dziennikarza Tomasza Szwejgierta (współautora książki o Mariuszu Kamińskim). Inwigilację telefonu Brejzy potwierdziła Amnesty International, dodając, że jej informatycy odkryli również ślady prób infekowania telefonów ojca i asystentki senatora. Jak wskazał Citizen Lab, inwigilacja Brejzy była szczególnie agresywna, jego telefon był hakowany kilka razy dziennie. W 2020 r. dziennikarze „Rzeczpospolitej" podali, że Pegasus został użyty także do namierzenia zatrzymanego przez CBA byłego ministra Sławomira Nowaka.

Dodajmy, że Nowak pracował w sztabie wyborczym Rafała Trzaskowskiego w kampanii prezydenckiej, natomiast Brejza był szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej w roku 2019. Czyli poprzez telefony Nowaka i Brejzy służby miały bezpośredni wgląd w prace sztabów wyborczych opozycji, mogły przysłuchiwać się najbardziej poufnym rozmowom.

•

Przypomnijmy sobie sprawę ministrów Kamińskiego i Wąsika. Zostali oni skazani prawomocnym wyrokiem za to, że fałszowali dokumenty, podżegali do przestępstwa, chcieli zrobić z Andrzeja Leppera, wicepremiera w rządzie Kaczyńskiego, przestępcę. Mamy oto obraz państwa, w którym władza za pomocą służb specjalnych szpieguje i niszczy swoich przeciwników. To atak nie tylko na prawa obywateli, ale i na ustrój państwa, na demokrację.

Nie ma więc co się dziwić, że Jarosław Kaczyński i jego ludzie komisję ds. Pegasusa uważają za szczególnie groźną. Że za wszelką cenę będą chcieli zatrzymać jej działania. Jeżeli bowiem posłom koalicji udałoby się ustalić, jak pisowska władza organizowała inwigilację, jak niszczyła przeciwników, to owa władza musiałaby za takie przestępcze czyny ponieść odpowiedzialność.

Władza, czyli konkretnie kto? Tropy wiodą do Kamińskiego, Wąsika, szefów CBA, Zbigniewa Ziobry… A być może i do osoby w tym układzie kluczowej, czyli Jarosława Kaczyńskiego.

Ale nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość – na razie z cząstkowych informacji wiemy, że Pegasus działał. Tomasz Siemoniak, koordynator ds. służb specjalnych, powiedział, że „trwa audyt w służbach związany z kwestią tego rodzaju narzędzi". Z różnych przecieków możemy się dowiedzieć, że są oficerowie gotowi opowiadać, jak system był stosowany.

Na zakup Pegasusa przeznaczono 25 mln zł ze środków Funduszu Sprawiedliwości.

Ale nie zapominajmy o drugiej stronie medalu. Pegasus, działania operacyjne – wszystko to jest związane z najwyższym stopniem tajemnicy. Powinniśmy zakładać, że Pegasus był wykorzystywany nie tylko przeciw opozycji, ale też przeciwko prawdziwym przestępcom lub służbom państw Polsce nieprzyjaznych. Nie można tego wszystkiego podać do powszechnej wiadomości. Oto materia, przed którą stoją posłowie. Ogromna i niebezpieczna.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 7642fd1618

Zażarta obrona układu Kaczyńskiego

Państwo nie może pozwolić, by funkcjonowały w nim dwa systemy – prawny i barbarzyński

Rozmawia Robert Walenciak

RYSZARD KALISZ
– adwokat, były szef Kancelarii Prezydenta RP, były minister spraw wewnętrznych i administracji.

Czy mamy dwa systemy prawne? Dwie wrogie izby w Sądzie Najwyższym, dwóch prokuratorów krajowych, neo-KRS, sędziów i neosędziów, różne orzeczenia w sprawie Kamińskiego i Wąsika?

– System prawny mamy jeden, oparty na konstytucji. I mamy drugi system – barbarzyński. Jarosław Kaczyński nigdy nie ukrywał, że chce w Polsce wprowadzić system ustrojowy, który nie będzie czymkolwiek ograniczony, w szczególności konstytucją. Że on sam nie będzie w swoich działaniach w żaden sposób ograniczony. Dlatego na samym początku po objęciu władzy, jeszcze w roku 2015, doprowadził do nieuwzględnienia postanowienia ówczesnego Trybunału Konstytucyjnego z końca 2015 r. i na miejscach trzech sędziów trybunału, wybranych zgodnie z prawem, obsadził rękami prezydenta Andrzeja Dudy, w nocy, dublerów.

To było pierwsze zarażenie, systemu ustrojowego w Polsce. Później już poleciało. W ciągu roku 2016 PiS dokonało przejęcia Trybunału Konstytucyjnego, w 2017 r. Krajowej Rady Sądownictwa i po kolei wielu innych instytucji. PiS robiło to za pomocą ustaw, które nie były zgodne z konstytucją. Zjednoczonej Prawicy nigdy nie wystarczyłoby głosów, żeby zmienić konstytucję Rzeczypospolitej, i dlatego zmieniała ustrój RP poprzez zmianę konstytucji ustawami, co samo w sobie jest gwałtem na prawie.

Prezydent Duda te ustawy podpisywał.

– Duda je podpisywał, aż doszło do konfliktu z Unią Europejską, głównie zresztą w sprawach dotyczących obsadzenia sądów i trybunałów osobami, których nie można było uznać za sędziów, oraz w zakresie dyscyplinowania sędziów, tych prawdziwych. W konsekwencji wstrzymanych zostało wiele środków unijnych dla Polski, szczególnie związanych z KPO.

Co teraz z tym zrobić?

– Sytuacja jest jednoznaczna! System prawny musi być zgodny z konstytucją, więc trzeba do takiego stanu wrócić. W dzisiejszej Polsce jest wiele różnego rodzaju ustaw, przepisów, które z konstytucją nie są zgodne.

Zmienić ich się nie da, bo będzie weto prezydenta.

– Dlatego trzeba działać sejmowymi uchwałami, które nie są normotwórcze, tylko stwierdzają, że dane ustawy są niezgodne z konstytucją. Tak zrobiono m.in. w sprawach związanych z radiofonią i telewizją oraz w sprawach związanych z sędziami. Że ci sędziowie, o których powołanie wnioskowała Krajowa Rada Sądownictwa po roku 2017, nie są sędziami w świetle konstytucji.

A ilu ich jest?

– Neosędziów, czyli niesędziów, jest w Polsce ponad 3 tys. Na 10,5 tys. wszystkich. Niemal jedna trzecia. Powołanie tych neosędziów (takiej nazwy używajmy, choć to nie są sędziowie) nie było w każdej sytuacji podobne. Jest grupa osób, które po raz pierwszy stały się sędziami, oni albo ukończyli Krajową Szkołę Sądownictwa i Prokuratury, albo uzyskali uprawnienia do bycia sędzią poprzez kolejne kwalifikacje dzięki pracy w sądach, i akurat co do nich zastrzeżeń nie mam. Nikt nie wybiera sobie momentu urodzenia, a oni prawniczo dorastali w tym, a nie innym momencie. Z kolei ta grupa sędziów, która awansowała decyzją podającej się za KRS pisowskiej instytucji, powinna wrócić do swojej pozycji sprzed „awansu".

PiS mówi, że nie ma między sędziami różnicy, wszyscy są tacy sami, a PO chce to odwracać.

– Są sędziowie i są niesędziowie. A ci niesędziowie to przecież osoby wykształcone prawniczo, więc dlaczego godzili się, żeby niekonstytucyjna instytucja, czyli tzw. neo-KRS, zgłaszała wnioski do prezydenta w ich sprawie? Sami są sobie winni. À propos Krajowej Rady Sądownictwa, przypomnę, że konstytucja wyraźnie stwierdza, iż zasiadających w niej 15 sędziów nie mogą wybierać politycy. Wiem – politycy PiS często podkreślali, że są kraje demokratyczne, w których politycy wybierają

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 7642fd1618

sędziów do tego typu ciał. Nikt tego nie kwestionuje, ale cała rzecz polega na tym, że my mamy naszą polską konstytucję, a ona w tym zakresie jest jednoznaczna.

A co z Sądem Najwyższym?

– W tej chwili w Sądzie Najwyższym większość stanowią neosędziowie. Oczywiście tam również trzeba przywrócić stan zgodny z konstytucją. Wszystkie osoby, które są neosędziami, powinny stracić wszelkie uprawnienia sędziego Sądu Najwyższego. Izby, co do których nikt nie ma wątpliwości, że zostały powołane do celów politycznych, powinny być zniesione. A dopóty, dopóki to będzie niemożliwe ze względu na obstrukcję ze strony prezydenta Andrzeja Dudy, powinny być ignorowane.

W jaki sposób?

– Traktowane jako nieistniejące. Mieliśmy tego przykład niedawno, dokładnie uzasadniony przez sędziego Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego Bohdana Bieńka. Wcześniej w sprawie odwołania Mariusza Kamińskiego od decyzji marszałka Hołowni orzekała Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych i uznała, że skarżący miał rację. A kilka dni później sędzia Bieniek w składzie prawomocnym, z sędziami Sądu Najwyższego, stwierdził, że tamto stanowisko było „orzeczeniem nieistniejącym". Dopiero takie stwierdzenia powodują, że orzeczenia wydane przez tzw. neosędziów są nieistniejące.

Zejdźmy na poziom sądu okręgowego. Jeżeli taki neosędzia skaże przestępcę np. na pięć lat więzienia, wtedy ten przestępca powie: a to jest nieistniejące, ja to ignoruję, dalej sobie chodzę po Warszawie.

– Jak sobie z tym radzić? Dla polskiej konstytucji podstawową kategorią jest ochrona praw i wolności obywatelskich. Obywatel nie jest winny temu, że barbarzyńcy doprowadzili do niezwykłego chaosu. Sądy codziennie pracowały, wydanych jest wiele milionów wyroków: w sprawach rozwodów, w sprawach majątkowych, w sprawach karnych. I nie można automatycznie stwierdzić ich nieważności. W związku z tym koncepcja wykładni na rzecz konstytucji polega na tym, że wszystkie orzeczenia, które wydane były w ramach istniejących struktur sądowniczych, są ważne, dopóki organ, co do którego umocowania nie ma żadnych wątpliwości, nie uchyli ich bądź nie stwierdzi ich nieistnienia.

Jak wyjść z tego chaosu?

– Wyjście z chaosu będzie długie, ale jest możliwie. Dziś mamy do czynienia z wieloma ustawami, które były pisane pod kątem interesów władzy pisowskiej, a nie zgodnie z zasadami demokratycznego państwa prawnego. I żeby doprowadzić do stanu zgodności z konstytucją, te ustawy po kolei powinny być zmieniane.

Ale prezydent Duda już oświadczył, że będzie wetował.

– Uważam, że tego typu ustawy powinny być przez parlament przygotowywane. A tam, gdzie prezydent odmówi podpisu, powinny być przygotowywane uchwały stwierdzające niekonstytucyjność i powrót do stanu prawnego sprzed uchwalenia niekonstytucyjnych aktów prawnych.

Ale to spowoduje, że będziemy mieli przynajmniej przez najbliższe półtora roku wielki spór między prezydentem a premierem, między rządem a opozycją.

– Spór jest cechą demokracji. Obecny zaś jest efektem tego, że osiem ostatnich lat było okresem działań na rzecz zmiany ustroju w Polsce. Teraz chcemy przywrócić stan zgodny z konstytucją, tylko że układ, który Kaczyński stworzył, broni się. A uzyskał w wyborach parlamentarnych na tyle duże poparcie, że ta obrona będzie zażarta.

Czyli mamy zimną wojnę wewnętrzną.

– Rozmawiamy w czasie, gdy rozgorzał spór dotyczący Prokuratury Krajowej. No, ten spór, nie zapominajmy, wziął się z tego, że pan minister Ziobro zniszczył cały system prokuratury sprzed roku 2016. Nową ustawą, na początku 2016 r., zrobił z prokuratury powolny sobie organ, często działający według kryteriów politycznych. Pod koniec 2023 r. kolejną ustawą doprowadził do sytuacji, że szef tego organu, czyli prokurator krajowy, mógł zostać zmieniony tylko za pisemną zgodą prezydenta. Jednakże minister Bodnar zauważył, że Ziobro popełnił błąd, że powołanie pana Dariusza Barskiego było nieistniejące, gdyż Ziobro uczynił to na podstawie przepisu, który już wygasł. Barski wciąż jest więc prokuratorem w stanie spoczynku i tym samym nie może pełnić żadnych funkcji! Pan minister Bodnar ma całkowitą rację.

Prezydencka minister Małgorzata Paprocka non stop powtarza, że Andrzej Duda w roku 2015 skutecznie ułaskawił panów Kamińskiego i Wąsika.

– Każdy ma prawo do swoich opinii, nawet błędnych. A państwo musi sprawnie funkcjonować. Ułaskawienie dotyczy kary, a żeby była kara, musi być prawomocnie stwierdzona wina.

Czyli sprawę wyjaśnił ten policjant, który Kamińskiego i Wąsika zatrzymał i zawiózł ich do więzienia. To było prawo.

– To było zgodne z prawem. I nawet zgodne z prawem było wejście policji do Pałacu Prezydenckiego. Zgodne też z prawem było współdziałanie SOP z policją w zakresie zatrzymania panów Kamińskiego i Wąsika. Widzi pan! Tu państwo pokazało, że realizuje swoje zadania.

Czeka nas więc okres szamotaniny.

– Jak zwał, tak zwał. Państwo polskie musi normalnie funkcjonować, zgodnie z konstytucją. I dlatego nie może sobie pozwolić na to, by działały w nim dwa systemy, prawny i barbarzyński. Tak jak wtedy, gdy mamy raka, który nas atakuje, niszczy – przychodzi chirurg i go wycina.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Naszej Autorce

Małgorzacie Żuber-Zielicz

najszczersze wyrazy współczucia po śmierci

MAMY

składają Jerzy Domański i Joanna Wielgat

eprasa.pl 7642fd1618

Cenowy labirynt zniżek

Sieci handlowe kuszą klientów „promocyjnymi cenami” przy zakupie kilku sztuk jednego produktu. Sprawą zajął się UOKiK

Kornel Wawrzyniak

– W promocje nie wierzę. Traktuję je z wyjątkową podejrzliwością. Pogubiłam się jednak, odwiedzając kilka miesięcy temu Żabkę. Wielka cena krzyczała do mnie, że dziś zapłacę za produkt dużo taniej, jeśli kupię dwa. Pewnie gdybym wzięła do koszyka coś więcej, nie wpadłabym na to, że zapłaciłam regularną cenę za obie sztuki. Okazało się, że promocja, owszem, jest, ale obowiązuje tylko z aplikacją, której nie miałam – opowiada 33-letnia Milena z Warszawy.

Konsumenci gubią się w promocjach dotyczących sprzedaży wielosztukowej. I chociaż sprawa brzmi dość zabawnie, żarty się skończyły. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów przeprowadza postępowania wyjaśniające w większości popularnych sklepów.

Promocja, której nie sposób zrozumieć

Wszystko rozbija się o formę prezentowania cen w sklepach. Najpopularniejszą praktyką jest podkreślenie na karteczce kwoty zniżki „przy zakupie dwóch produktów”. Niestety, na plakietce z ceną pojawia się też masa innych cyferek, z których trudno wywnioskować, ile właściwie zapłacimy za interesujący nas produkt. „Sieci handlowe często wybijają dużą czcionką na etykiecie cenę promocyjną, natomiast mniejszym drukiem informują, że niższa stawka obowiązuje tylko wtedy, gdy klient kupi dwie czy trzy sztuki towaru. Również cena jednostkowa, za pojedynczą sztukę, jest znacznie mniej widoczna dla konsumenta”, informuje UOKiK.

Praktykę tę stosuje większość sieci handlowych na terenie Polski. Na celowniku UOKiK znalazły się: Auchan, Biedronka, Lidl, Kaufland, Żabka, Dino, Netto i Carrefour. Według rankingu najpopularniejszych sieci spożywczych i dyskontów przygotowanego przez firmę Listonic pierwsze trzy z nich są ulubionymi sklepami spożywczymi Polaków. Ponad 35% respondentów jako ulubiony sklep wskazuje Lidla, 34% – Biedronkę.

Jak podkreśla UOKiK, postępowania zostały wszczęte „na podstawie własnej obserwacji rynku, a także sygnałów od konsumentów”. Najważniejszą bowiem informacją, która daje podstawę do decyzji o zakupie wybranego towaru, powinna być cena za jedną sztukę. Każda inna sytuacja staje się dla klienta nieczytelna i może go wprowadzić w błąd.

Weźmy zachętę: „Drugi produkt taniej 44% przy zakupie 2”. Po oczach bije też informacja, że kwota jest z VAT 0%. Na środku kartki widnieje cena 4,49, a dużo mniejszym drukiem dodano, że to cena za jedną sztukę, ale tylko jeśli weźmie się dwie sztuki. Taką plakietkę z ceną margaryny z Biedronki pokazał w swoich mediach społecznościowych ekonomista Rafał Mundry. Podzielił się zarazem historią ze sklepu, która skłoniła go do późniejszego złożenia zawiadomienia do UOKiK w sprawie praktyk cenowych. „Starsza pani podeszła do czytnika cen i zapytała mnie, czy margaryna rzeczywiście kosztuje 4,49 zł. Odpowiedziałem, że tak, ale gdy kupi się dwie sztuki. Pytała, ile kosztuje jedno opakowanie, ale nie mogła znaleźć ceny”, relacjonuje Mundry.

Zakupy z arkuszem kalkulacyjnym

Według ekonomisty „prezentowana cena za jedną sztukę wprowadza w błąd, ponieważ to cena za połowę

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7642fd1618

zestawu". Rzeczywiście na plakietce nigdzie nie znajduje się regularna cena za jedną sztukę. Rafał Mundry w piśmie do UOKiK podał więcej przykładów z Biedronki. Na zdjęciu załączonym do dokumentu mamy informację, że trzy kostki masła będą tańsze o 20%, ale nie wiadomo, od jakiej kwoty te 20% jest odejmowane. Cena? Tłustym drukiem: 3,99 zł. Tylko za co? Za wszystkie trzy kostki czy za jedną, ale w zestawie? I tutaj łapiemy się na całą sztuczkę. Nie znamy ani ceny zestawu, ani ceny kostki masła poza promocją.

W przypadku Biedronki zamieszanie z cenami to nic nowego. Na właściciela sieci, portugalską spółkę Jerónimo Martins, UOKiK w 2020 r. nałożył karę 115 mln zł za naruszanie zbiorowych interesów konsumentów. Wtedy chodziło o sytuacje, gdy ceny przy kasie okazywały się wyższe niż te na sklepowych półkach. W prawomocnym wyroku podkreślano, że obowiązkiem firmy jest prawidłowe oznakowanie ceną wszystkich produktów na półce. Kontrole przeprowadzone wówczas przez Inspekcję Handlową wykazały, że w Biedronkach średnio aż 14% towarów nie miało informacji o cenie.

Nieczytelne ceny to niestety chleb powszedni konsumentów. – Chodzę do Żabki prawie codziennie, bo zawsze zabraknie jakiejś drobnostki, po którą można wyskoczyć. Zauważyłem, że promocje na te tzw. wielosztuki z czasem coraz bardziej się komplikowały. Najpierw po prostu można było kupić dwa-trzy produkty w cenie niższej za sztukę niż pojedynczo. I to wszystko było wyszczególnione na karteczce z ceną. Jednak w pewnym momencie Żabka postanowiła dodać malusieńkim drukiem, że promocja działa wyłącznie z ich aplikacją. Aplikacji można nie mieć lub o niej przy kasie zapomnieć. Wtedy płaci się regularną cenę za produkty. Zamiast po 5 zł za każdy z trzech produktów płaci się za sztukę 7 zł. Wychodzi spora różnica – opowiada 52-letni Adam z Poznania.

Prof. Andrzej Falkowski, kierownik Katedry Psychologii Ekonomicznej i Biznesu na Uniwersytecie SWPS, wskazuje, że „tego typu przekaz totalnie wprowadza konsumenta w błąd". Specjaliści uważają zgodnie, że najważniejsza powinna być cena za jedną sztukę, ponieważ konsument ma prawo do zakupu pojedynczego produktu. „Cena nie może wprowadzać w błąd, musi być czytelna dla konsumenta. Jeżeli uważamy, że tak nie jest, można zgłosić zawiadomienie bezpośrednio do UOKiK, rzecznika konsumentów lub Inspekcji Handlowej", wyjaśnia UOKiK.

Nawet Omnibus nie pomoże

Manipulowaniu promocjami przygląda się również nowy wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak. Lider Agrounii złożył w sprawie rozproszonych cen interpelację. „Najlepszym przykładem stosowania manipulacji w niejednoznacznym wskazywaniu cen artykułów spożywczych są niektóre sieci sklepów. Coraz częstsze są praktyki polegające na umieszczaniu na produktach nawet trzech cen. Na jednej cenówce możemy znaleźć cenę obowiązującą przy zakupie jednej sztuki produktu, cenę obowiązującą przy zakupie dwóch sztuk, cenę obowiązującą posiadaczy wskazanej aplikacji czy cenę za np. 100 g produktu", wyliczył w niej.

Od 1 stycznia 2023 r. obowiązuje w Polsce dyrektywa Omnibus. Przepisy w niej zawarte nakazują przedsiębiorcom uwidacznianie obok ceny towaru lub usługi informacji o najniższej cenie, która obowiązywała w okresie 30 dni przed promocją. Wszystko po to, aby klient mógł w każdym momencie porównać cenę z aktualną obniżką. Tym, którzy zlekceważą zapisy Omnibusa, grożą kary finansowe. Cennik kar za niedopełnienie obowiązku informacyjnego zaczyna się od 5 tys. zł grzywny, jeśli zastosuje się art. 139b Kodeksu wykroczeń. Ukarać może też wojewódzki inspektorat inspekcji handlowej. A to już nawet 20 tys. zł. Recydywiści informacyjni zapłacą zaś według UOKiK nawet 40 tys. za pojedyncze uchybienia. Prezes UOKiK może również nałożyć karę na osoby zarządzające, i to nawet w wysokości 2 mln zł.

Tylko co z tego, skoro sięgające setek tysięcy czy nawet milionów złotych kary nic nie zmieniają w sytuacji konsumentów? Czy można coś z tym zrobić? – Kancelaria prawnicza występuje do sądu, a sąd tworzy zabezpieczenie i blokuje możliwość korzystania z danego rozwiązania do czasu rozprawy. W tym przypadku oznacza to, że dana sieć nie mogłaby korzystać z takiej promocji. Chodzi o powództwo o zabezpieczenie – tłumaczy prof. Falkowski.

Ale nadal jest to co najwyżej robienie sieci sklepów na złość. Według powiatowego rzecznika konsumentów Grzegorza Misia jedyne, co można uzyskać, to zwrot różnicy wynikającej z innego zrozumienia ceny. Z perspektywy klienta taka walka raczej nie jest opłacalna, bo chodzi o kilka złotych. Inną perspektywę ma wielka korporacja, która po zsumowaniu tych złotówek zarabia na procederze gigantyczne pieniądze. Sytuacja jak z żartu o kasjerce, winnej wszystkim grosik, która za te grosiki kupuje w końcu lamborghini.

Nieczytelne ceny to chleb powszedni kupujących.

W całej tej historii najbardziej na oszustwo narażone są osoby starsze. Na plakietkach z ceną trudno się dopatrzyć sensownej informacji. Najważniejsza, czyli cena za sztukę, jest najmniej widoczna. Paradoksalnie dyrektywa Omnibus również nie pomaga. Podawanie ceny sprzed 30 dni pozwala sklepom wprowadzić jeszcze większe zamieszanie informacyjne. Problem z wielosztukami pokazuje nieudolność państwa w egzekwowaniu ustanawianego prawa. Michał Kołodziejczak powołuje się w interpelacji na Ustawę o informowaniu o cenach usług i towarów, która w art. 4 ust. 1 mówi: „W miejscu sprzedaży detalicznej i świadczenia usług uwidacznia się cenę oraz cenę jednostkową towaru lub usługi w sposób jednoznaczny, niebudzący wątpliwości oraz umożliwiający porównanie cen". Jak widać, prawo mamy w tym wypadku jasne. Jednak sieci handlowe z jakiegoś powodu nie boją się konsekwencji jego omijania.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Mieszkać na poniemieckim

Dla wilniuka Śląsk stał się „skarbem polskich ziem", jego krajem. Ten Śląsk, trochę polski, trochę niemiecki, nieco austriacki i czeski, jest domem także dla przybyszów

Beata Dżon-Ozimek

Do dziś na stołach potomków repatriantów/ekspatriantów jada się z poniemieckiego, nawet nabiera do przejętych po kimś naczyń, skorup większej czułości. Ślązacy, Niemcy, Polacy, którym nad głowami zmieniały się granice albo byli przesuwani wraz z nimi do nowych miejsc, nie boją się poniemieckości czy niemieckości. Na Śląskach Górnym i Dolnym, wzdłuż Nysy, Odry z tym się mieszka. I wraz z upływem czasu od 1945 r. to szanuje.

– Demonizowanie i strach wynikają z niewiedzy, a mieszkańcy Śląska moim zdaniem zupełnie inaczej odbierają życie np. z polskimi Niemcami niż reszta Polski. Wielokrotnie spotkałem się z tym, że przybysze z centralnej Polski byli zaszokowani np. dwujęzycznymi tablicami. Tłumaczyłem, że krzywda nikomu tutaj się nie dzieje, tak samo jest np. na Łużycach w Niemczech, w dawnym NRD, gdzie też są tablice dwujęzyczne i Niemcy nie odczuwają lęku. Nie możemy przyjmować takiej postawy jak Litwini wobec nas; oburzamy się przecież, że nie chcą tablic dwujęzycznych polsko-litewskich czy litewsko-polskich u siebie. W Polsce pozwolono na nazwy niemieckojęzyczne sprzed 1936 r., większość to słowiańskie nazwy miejscowości w niemieckiej pisowni, co jeszcze podkreśla polskość, słowiańskość tych ziem. Najzabawniejsza jest tablica w Chrząszczycach: Chrzumczütz. Były zakusy kręgów proniemieckich, by przywracać nazwy, które obowiązywały po 1936 r., wprowadzone przez władze III Rzeszy, oderwane od historii tych miejscowości. Być może dlatego, że większość żyjących już tylko te nazwy pamięta. Kilka przypadków niestety się przemyciło, ponieważ niektóre nazwy zmieniono parę lat wcześniej, jak w Dziergowicach, Oderwalde – opowiada Witold Iwaszkiewicz, który przez 11 lat był kierownikiem Muzeum Czynu Powstańczego w Górze św. Anny.

Inne jest spojrzenie tzw. Warszawy, tej „reszty Polski", a inne ludzi żyjących tutaj, świadomych pewnych rzeczy. Życie na dawnym pograniczu czy terenach poniemieckich, z mniejszością niemiecką u boku, nie jest obarczone konfliktami, jakich można by z perspektywy Warszawy oczekiwać. Nieniemieckie także przez lata wkomponowało się w codzienność.

> Ślązacy, Niemcy, Polacy, którym nad głowami zmieniały się granice, nie boją się poniemieckości, niemieckości.

Nieufny jak autochton

– Mieszkałem z rodziną w miejscowościach, w których żyją wyłącznie Ślązacy, ludność autochtoniczna z dziada pradziada, część określa się jako mniejszość niemiecka. Teraz mieszkam w miejscowości, gdzie właściwie cała ludność przybyła po 1945 r., i jest różnica. Autochtoni są bardzo życzliwi wobec przybyszów, ale dają odczuć, że jest się obcym, by ktoś taki stał się częścią społeczności, musi minąć dużo czasu albo np. dojść do ożenku, przyżenienia się. Tu, gdzie mieszkają przybysze „zza Buga" i innych części przedwojennej Polski, ludzie są bardziej otwarci, wiele lat żyli na walizkach, w stanie zawieszenia i nie wytworzyła się taka zamknięta wspólnota. Łatwiej stać się członkiem społeczności niż tam, gdzie ludność od kilkuset lat żyje w tym samym miejscu i składzie. Są miejscowości, gdzie pula genetyczna jest bardzo uboga, bo autochtoni nie chcą się mieszać z obcymi – mówi Iwaszkiewicz, rodzinnie z Wilna.

Niemiecka mniejszość z polską kartą

– Władze niemieckie jeszcze przed 1989 r. używały do osłabiania obozu socjalistycznego statusu „mniejszości niemieckiej" wobec ludzi i ich dzieci urodzonych na tych ziemiach do 1945 r. Do końca wojny byli oni obywatelami niemieckimi, w sensie formalnoprawnym przyznanie im podwójnego obywatelstwa było możliwe, istniał również bodziec ekonomiczny. Tę mniejszość w pewnym sensie stworzyły możliwość wyjazdów na Zachód i rozczarowanie rzeczywistością, jaka tutaj nastała po wojnie. Czuli się obywatelami drugiej kategorii, bo naczelnicy gmin czy dyrektorzy zakładów pracy byli przybyszami z zewnątrz. Różnice w poziomie życia między Polską a Niemcami prowadziły też do resentymentu, że za Niemca był porządek – wyjaśnia Iwaszkiewicz, po muzealnictwie na UMK w Toruniu.

Podobnie było przed wojną w tej części Górnego Śląska, która przypadła Polsce po 1922 r. Było rozczarowanie rządami tych „wielgopoloków", jak ich nazywano. – Kazimierz Kutz zwracał uwagę, że Śląsk przez kilkaset lat

eprasa.pl 7642fd1618

Dziadek Joanny Edward Radziński ożenił się z Anną z Kowalskich 22 września 1946 r.

Joanna i Witold Iwaszkiewiczowie pobrali się 31 sierpnia 1991 r.

był terenem pogranicznym pomiędzy Polską a Śląskiem austriackim, później pruskim, a świadomość narodowa za Polską budziła się w Ślązakach od połowy XIX w., od Wiosny Ludów, czasopism Karola Miarki. Wcześniej byli „tutejsi". Wielu nadal nie uważa się ani za Niemców, ani za Polaków. A czy za Ślązaków? Słyszałem taką historię w związku z narodowością śląską: pewna bardzo wiekowa dziś pani po 1989 r. zapisała się do mniejszości niemieckiej, a w 1945 r. podczas weryfikacji ludności opowiedziała się jako Polka. „Ja bym powiedziała nawet, że jestem Chinką, byleby mnie w chałupie zostawili", odparła, gdy ją pytano, dlaczego tak postąpiła – opowiada muzealnik. W okolicach Głogówka wciąż są starsze osoby słabo mówiące po polsku. Abp Alfons Nossol, urodzony w 1932 r. w Brożcu koło Krapkowic, też polskiego z domu nie znał. Po dojściu Hitlera do władzy Niemcy tak zastraszali Polaków na Śląsku metodami administracyjno-policyjnymi, że język polski został wyrugowany tylko do użytku domowego. – Powiem coś, na co wielu członków mniejszości niemieckiej może się oburzyć: jest tworem sztucznym, wielu z tych ludzi przed wojną walczyło o polski język, wśród nich było wielu powstańców śląskich. Przez lata pracowałem w muzeum, w którym ten konflikt polsko-niemiecki był głównym tematem zbiorów, ekspozycji i pracy badawczej – wyjaśnia Iwaszkiewicz.

Śląsku, skarbie polskich ziem

Jego ojciec jako ośmiolatek z rodzicami i młodszą siostrą znaleźli się w Opolu latem 1945 r. Wersja romantyczna mówi, że dziadek, Stefan Iwaszkiewicz, katolik po Państwowym Prawosławnym Seminarium Duchownym w Wilnie, potem nauczyciel polskiego w tymże seminarium, z dyplomem magisterskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, zachwycił się pięknem tej ziemi w ilustrowanym wydaniu książki Stanisława Wasylewskiego z 1937 r. o życiu ludności polskiej „Na Śląsku Opolskim". – Zostali zmuszeni do opuszczenia Wilna, wtedy postanowił osiedlić się w Opolu, Wasylewski zresztą też. Kilka lat temu usłyszałem wersję pragmatyczną – pociąg repatriacyjny z Wilna jechał przez całą Polskę, także przez Toruń, gdzie wielu profesorów Uniwersytetu Wileńskiego się zatrzymało i stworzyli podwaliny pod Uniwersytet Mikołaja Kopernika, a babcia przed wojną miała tuż przy samym rynku, przy ulicy Panny Marii, salon mód. Dojechali do Wrocławia, ale życzliwy kolejarz powiedział babci z dwójką małych dzieci, że tu ruiny, szczury, grasują bandyci, Rosjanie gwałcą i rabują, żeby uciekała. Wylądowali w Opolu.

Stefan Iwaszkiewicz od razu zgłosił się do władz szkolnych i podjął pracę jako nauczyciel języka polskiego, bardzo dużo czasu i energii poświęcał na kursy repolonizacyjne dla ludności autochtonicznej, która przed wojną była pozbawiona nauczania polskiego w oficjalnym systemie. Włożył w to wiele serca. Uczniowie byli pomieszani, w jednej klasie prawie dorośli mężczyźni po wojsku, partyzantce czy obozach i dzieci repatriantów. Swoje dzieci uczył w ramach tajnego nauczania wraz z siostrą jego żony, która była nauczycielką szkoły powszechnej. Dzięki temu po wojnie poszły do klasy odpowiadającej ich wiekowi. Potem przyznano mu dodatki do emerytury i odznaczenia za udział w tajnym nauczaniu w czasie wojny. Uczył w III LO, był postacią szanowaną w Opolu. – Pamiętam, że jak z nim szedłem, to dziadek co chwila mówił: „Moje uszanowanie" i odkłaniał się kapeluszem. Był przywiązany do Opola, tak jak potem mój ojciec. Przez kilka lat mieszkaliśmy w Zielonej Górze i kiedy przyjeżdżał do Opola, wysiadając z pociągu, miał ochotę całować ziemię, tak bardzo tęsknił. Zmarł tu, mając 85 lat. W pożegnaniu

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (3), NAC

eprasa.pl 7642fd1618

Porcelana z niemieckiej fabryki w Tillowitz, czyli w Tułowicach koło Opola.

Śląskie stroje ludowe z okresu międzywojnia.

napisał, że najbardziej będzie mu żal widoków Opola.

Z tej miłości do Śląska Stefan Iwaszkiewicz napisał hymn szkolny „Skarbie polskich ziem". Wciąż jest on śpiewany w Publicznej Szkole Podstawowej im. Janusza Korczaka w Polskiej Nowej Wsi pod Opolem. Słowa – Stefan Iwaszkiewicz; muzyka – Józef Krajewski.

Skarbie polskich ziem,
Śląsku, kraju nasz,
Ty nad Nysą i nad Odrą,
Nad jej wartka wodą modrą,
Wierną trzymasz straż!
Gdzie Odra, nasza rzeka,
Opole, Piasta gród,
Tam z bliska i z daleka
Zrzesza się polski lud…

Różankowo pełne much

– Moja praprababcia nazywała się Nuss i mieszkała we Wrocławiu. Pradziadek, Henryk Kowalski, był tłumaczem w wojsku pruskim. Dziadkowie mieszkali zaś w Toruniu na Ślusarskiej, w kamienicy, która ma wspólną ścianę z najstarszą oberżą w mieście, Pod Modrym Fartuchem. Dziadek Edward był szewcem, pracował w jednostce wojskowej, a po pracy miał warsztat w domu. Przyjeżdżała do niego cała wierchuszka z Warszawy, łącznie z gen. Jaruzelskim, który też szył sobie u niego buty. Teść dziadka, wspomniany Kowalski, rodem z Warszawy, zaangażował się w działalność polityczną, musiał z Kongresówki uciekać przez zieloną granicę i osiadł w Toruniu, wówczas w Niemczech. Mogli obcować z niemieckim „darem architektonicznym", dwoma toruńskimi rynkami, Starym i Nowym, dziadkowie przez ponad 50 lat mieszkali przy Nowym Rynku. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam na Opolszczyznę, zachwyciła mnie Jełowa, przez którą przejeżdżaliśmy. Wieś opolska jest prześliczna i czysta. Pamiętam mężczyznę, który grabił liście z rowu melioracyjnego, bo szły święta wielkanocne. To było niesamowite! – opowiada Joanna, z domu Radzińska, z wyboru mieszkanka Śląska.

W jej rodzinie brzmi „biłgorajska nuta", dziadkowie ze strony matki pochodzili z Woli Różanieckiej, za dorosłymi córkami przenieśli się pod Toruń, do Różankowa, potem do miasta. – Wieś była koszmarem mojego dzieciństwa, to nie do opisania, szałerki, czyli przybudówki, szopy, obórki, wszystko sklecone, ledwie się trzymało, dziadkowie przez wiele lat nie mieli toalety, jeszcze w latach 70. chodziło się do latryny. Nie cierpiałam tego miejsca. Ciemna kuchnia miała wspólną ścianę z oborą i na tej ścianie był wielki, żółty zaciek i mnóstwo much. Po przyjeździe wpierw brałam łyżeczkę i czyściłam ją w piachu, wyparzałam, nabierałam soli do chusteczki, ale najpierw ściągałam wierzchnią warstwę soli z solniczki, wszystko tam jadłam z solą i zielone – pomidory, ogórki, jabłka, śliwki, bo tego na pewno jeszcze nie dotknęły muchy – przyznaje pani Joanna. Na Śląsku było czysto, to jej pierwsze wrażenie. – Czuło się, że to „inne królestwo", że ci ludzie mają kontakt z zagranicą, że ją swobodnie przechodzą. W Toruniu tak fajnie nie było, koleżanki wychodziły za mąż za chłopaków, którzy mieli pochodzenie, żeby wyjechać do Niemiec. Toruń był już od tych niemieckich korzeni odcięty – mówi dawna mieszkanka.

Niemiecki zakazany

Ale to ona mogła w Toruniu uczyć się języka niemieckiego od trzeciej klasy szkoły podstawowej, w przeciwieństwie do Śląska, gdzie do 1989 r. niemieckiego można było się uczyć w niektórych liceach lub na nieczęstych kursach. – Mieszkałem w Zielonej Górze do końca podstawówki w 1983 r., mieliśmy dodatkowo język niemiecki, to były Ziemie Odzyskane i nie było mniejszości niemieckiej.

eprasa.pl 7642fd1618

Przed wojną mieszkali tam Polacy, była Polonia, ciekawiło mnie, że na studzienkach ulicznych widniała nazwa polskiej odlewni: Babrowski/Grünberg. W Opolu chodziłem do liceum i faktycznie do upadku PRL niemieckiego można było się uczyć tylko na kursach w spółdzielni Oświata, w szkole było embargo na niemiecki – potwierdza Iwaszkiewicz.

Joanna sama ma w mowie masę naleciałości niemieckich. W Toruniu zawsze się mówi „jo, jo", spolszczone „ja", „sznytka" zamiast kromka lub „szneka z glancem" (drożdżówka z lukrem). – Babcia bardzo dobrze rozumiała, natomiast nie mówiła po niemiecku, ja też sobie nieźle poczynałam z niemieckim, bo mi się podobał. Babcia przed wojną mieszkała na Przedmieściu Mokrym, w domu należącym do Niemców, co miesiąc jako dziecko zanosiła komorne. Miała wyuczoną kwestię o pieniądzach za czynsz po niemiecku i nigdy się nie odezwała, dawała te pieniądze i uciekała. Potem najstarszy brat babci był uczestnikiem bitwy nad Bzurą – przyznaje Joanna.

Śląsk, bo nie tylko Opole, pojawił się na mapie życia torunianki, kiedy w Państwowym Stadzie Ogierów w Gnieźnie poznała młodego muzealnika, Witolda Iwaszkiewicza. Oboje zapaleni koniarze, ślub wzięli „w siodle" i w oficerkach. Opuścili Toruń na rzecz Opola, kiedy upadały duże zakłady, Elana, Merinotex, Apator, zaczęły się zwolnienia, bezrobocie. – Mieszkaliśmy w blokowisku, gdzie co niedziela przyjeżdżały rodziny ze wsi i przywoziły w tarpanach kaczki, świnki, kurki, które później trzymano na balkonach – wspomina Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz. Kiedy jeszcze nie wiedziała, że losy powiodą ją na Śląsk, w szkole konserwacji zabytków architektury w Toruniu w pracowni metalu polerowała urny do pochówku Piastów Śląskich: – Opolskie i cały Śląsk nie kojarzą mi się z Niemcami, raczej ze zmiennością losów ludzi, takich jak nasze rodzinne, i granic. Panta rhei.

Syna urodziła jednak w Toruniu. I to on potem, między kolegami w Opolu, musiał się z tego tłumaczyć, ale może to robić po polsku, śląsku albo niemiecku, może też cytować słowa pradziadka o Śląsku, skarbie polskich ziem. Teraz mieszka na ukochanym przez Kazimierza Kutza Nikiszowcu. Iwaszkiewiczowie, przybysze, mieszkańcy śląskiej wsi, mogą zaś spokojnie spacerować po okolicach Głuchołaz albo Góry św. Anny ze swoimi chartami polskimi, które do nie tak dawna były zakazaną w Polsce rodzimą rasą. Polskie, poniemieckie, śląskie są obok i wspólnie. Przeważnie to życie tutaj się udaje.

Do dziś na stołach potomków repatriantów/ekspatriantów jada się z poniemieckiego.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Bunt maszyn czy tyrania monopoli

Jakie zagrożenia dla dziennikarstwa niesie sztuczna inteligencja?

Jakub Dymek

Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę internetową dwa hasła: „dziennikarstwo" i „sztuczna inteligencja", by zostać zalanym historiami jak z horroru. Sieć pełna jest opowieści o cywilizacyjnych wręcz zagrożeniach stwarzanych przez puszczoną wolno sztuczną inteligencję (*artificial intelligence* – AI).

Tworzone przy wsparciu sztucznej inteligencji fałszywki – zdjęcia, wideo, nagrania głosu – już są w obiegu na masową skalę.

Wyobraźmy sobie chociażby kampanię masowej dezinformacji, która posługiwałaby się stworzonymi przez generatory obrazu i dźwięku wizerunkami polityków – nieodróżnialnymi od prawdziwych. Albo propagandę adresowaną do każdego z osobna – mikrotargetowaną, jak to się mówi – jak miliony indywidualnie dobranych dawek informacyjnej toksyny. Pomyślmy tylko o rozmiarze okropieństw, które mogłyby wywołać podsycające polaryzację i nienawiść algorytmy, manipulując niepostrzeżenie naszymi emocjami pod dyktando wielkich korporacji. Jest czego się bać?

Wizje z fantastyki

Wszystkie te koszmarne fantazje... niestety są prawdziwe. Tworzone przy wsparciu generatywnej sztucznej inteligencji fałszywki – zdjęcia, wideo, nagrania głosu – już są w obiegu na masową skalę. Na szczęście – jak dotąd – służą rozrywce i szyderstwu, nie podkręcaniu nienawiści. Ale do ludobójstwa w Bangladeszu doszło za sprawą „zwykłych" fałszywek, których nie trzeba było nawet podkręcać, bo platformy cyfrowe już same zadbały o ich rozpowszechnianie i wielkie zasięgi. Mikrotargetowane kampanie polityczne już są rzeczywistością od co najmniej 2016 r. Podobnie jak nie od wczoraj sterują nami zaawansowane algorytmy, których działanie wymyka się pojęciu zwykłego człowieka. Wyłudzające od nas pieniądze czy informacje i wspierane sztuczną inteligencją boty także należą już do codzienności.

Jesteśmy u progu wykorzystania sztucznej inteligencji do tworzenia i zarządzania aparatem wojennej propagandy, a zdjęcia rzekomych ofiar konfliktu na Bliskim Wschodzie wygenerowane przez sztuczną inteligencję już krążą po sieci. Jedyne, czego brakuje do udanego horroru science fiction, to samoświadomy program, który zebrałby te rozproszone zdolności różnych modeli AI i wykorzystał cały ten aparat fałszu w celu napuszczenia na siebie ludzi i wywołania atomowej zagłady.

Zamiast jednak straszyć fantazją, która towarzyszy nam, od kiedy istniały powieści fantastyczne, warto przyjrzeć się temu, co sztuczna inteligencja

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7642fd1618

już teraz robi z dziennikarstwem. I gdzie są faktyczne zagrożenia.

Adaptuj się albo zgiń

Pod koniec 2023 r. OpenAI, firma, która stworzyła słynny ChatGPT, ogłosiła podjęcie współpracy z gigantem na rynku prasy i mediów – Axel Springer. Jak tłumaczy notatka skierowana do mediów, to układ na skalę globalną i zwiastun nowej epoki w dziedzinie integrowania mediów i sztucznej inteligencji. Od teraz bowiem użytkownicy internetu korzystający z systemu ChatGPT, np. zadający mu pytania o sytuację na świecie, mogą uzyskać odpowiedź opartą na źródłach z tytułów należących do koncernu. Czyli m.in. globalnych redakcji Politico, „Business Insidera", największych niemieckich marek „Bild" czy „Welt" (do Ringier Axel Springer w Polsce należą z kolei np. Onet i „Newsweek"). Algorytm ChatGPT będzie w stanie streszczać artykuły, także te dostępne w płatnych wersjach tytułów, i informować o świecie na podstawie treści niemieckich korporacji.

Jedno z pierwszych pytań, jakie zadała sobie branża dziennikarska – bo przecież nie PR-owcy piszący korporacyjny komunikat – brzmiało tak: czy i na jakie honorarium mogą liczyć dziennikarze, których praca zostanie wykorzystana do karmienia modelu językowego, który docelowo może ich zastąpić? Odpowiedzi jeszcze nie ma, ale można zgadywać, że nikt nie pomyślał o tym, by firma dzieliła się zyskami z nowego projektu z tymi, których treści wciąż są niezbędne do jego działania. Wszak maszyna (na razie) nie miałaby czego streszczać i parafrazować, gdyby nie praca ludzi.

A jak informował w marcu portal Deutsche Welle, korporacja redukuje etaty w redakcjach swoich największych tytułów, m.in. w „Bildzie" i „Welt". W tym samym czasie, gdy firma poinformowała o zwolnieniach, jej prezes Matias Döpfner mówił do dziennikarzy, że „sztuczna inteligencja może uczynić kiedyś dziennikarstwo zbędnym". Prezes Axel Springer przekonuje, że sprzeciw wobec innowacji „nigdy się nie sprawdza i prowadzi do upadku". Gardzenie treściami wygenerowanymi przez automat jest wyrazem „kompleksów, oderwania od rzeczywistości i pychy, która każe myśleć, że człowiek zawsze poradzi sobie lepiej". Słowem, wszyscy powinniśmy dostosować się do nowych realiów i wdrożyć do pracy z AI. W całej tyradzie Döpfnera zabrakło miejsca na refleksję nad rolą ludzi w branży i ich szansami na rozwój. Gdzie znajdą się ci, których wyparł algorytm?

Informacyjny oligopol

Jednak przekonanie, że sztuczna inteligencja zastąpi dziennikarzy, jest pewnym uproszczeniem. W rzeczywistości sztuczna inteligencja czy, mówiąc precyzyjnie, narzędzia oparte na algorytmach predykcyjnych lub tzw. wielkich modelach językowych, w pierwszym kroku zautomatyzuje wiele procesów. Choćby wyszukiwania informacji i ich przekładu. To zaś pozwoli stworzyć usługi – jak te oparte na ChatGPT właśnie – które będą w sposób automatyczny agregować informacje i przygotowywać skróty. Mało kto twierdzi, że boty przejmą zadania autorów tekstów czy publicystów i analityczek – jak to często bywa, automatyzacji szybciej zostaną poddane miejsca pracy znajdujące się niżej w hierarchii. W tym przypadku media workerów, którzy kompilowali cudze informacje, grafików i projektantek, tłumaczy itd.

Podobnych spraw dotyczył przecież trwający w 2023 r. strajk scenarzystów i aktorów w Hollywood. Chodziło nie o to, że prawdziwi scenarzyści z dnia na dzień zostaną zastąpieni przez algorytm, lecz o to, że integrowanie sztucznej inteligencji z procesem twórczym studia filmowego czy telewizyjnego odbywa się kosztem wartości ludzkiej pracy. I że twórcy boją się zredukowania ich roli do dostarczycieli materiału dla maszyn. Sprzeciw rodziła choćby idea, że aktorzy czy lektorzy mieliby sprzedać prawa do swojego wizerunku albo głosu, który posłużyłby do tworzenia wirtualnych postaci i awatarów.

Ale lista obaw na tym się nie kończy. Zagrożenia dotyczące AI mają więcej wspólnego z monopolizacją i potęgą wielkich korporacji niż z buntem maszyn jak z science fiction. Wielkie firmy będą chciały zdominować przestrzeń treści tworzonych za pomocą sztucznej inteligencji, tak jak kiedyś zdominowały przestrzeń internetowych marketów, wyszukiwarek, platform cyfrowych czy komunikacji. To także walka o monopol narracyjny – korporacje medialne nie są neutralne, lecz często promują konkretną wizję świata, polityki, gospodarki i ładu globalnego. Dziennikarska AI bądź wyszukiwarka treści podpięta pod archiwum jednej korporacji siłą rzeczy będzie nakierowana na podsuwanie wizji świata, jakiej chcą twórcy i właściciele. To zaś pogłębi już przecież istniejące zjawisko informacyjnych silosów i algorytmów zamykających nas w bańkach – tym razem treści dobranych przez zautomatyzowanego i zapisanego w kodzie cenzora.

Wielkie firmy będą chciały zdominować przestrzeń treści tworzonych za pomocą sztucznej inteligencji.

Bać się więc można czegoś innego niż złowrogich robotów, które dążą do zagłady ludzkości. Rewolucja sztucznej inteligencji nie wywróci do góry nogami świata cyfrowego dziennikarstwa. Raczej może ugruntować i wzmocnić wszystkie już istniejące trendy – monopolizacji, algorytmicznej cenzury i śmieciowej pracy. Co samo w sobie optymistycznym scenariuszem nie jest.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Adam Cyra

SZURA

Czteroletnia więźniarka obozu Auschwitz II-Birkenau

W połowie stycznia 1945 r. Niemcy rozpoczęli ostateczną likwidację KL Auschwitz-Birkenau i jego podobozów, skąd od 17 do 21 stycznia wyprowadzono łącznie ok. 58 tys. osób. Kolumny ewakuacyjne więźniów i więźniarek pod strażą esesmanów kierowane były przede wszystkim do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic, skąd dopiero wywożono konwojowanych, koleją, w otwartych wagonach towarowych, w głąb III Rzeszy – do Mauthausen, Buchenwaldu i innych niemieckich obozów koncentracyjnych.

Kiedy 27 stycznia 1945 r. do obozów Auschwitz-Birkenau-Monowitz wkroczyli żołnierze Armii Czerwonej, pozostało w nich tylko ok. 7 tys. chorych i skrajnie wycieńczonych więźniów – różnych narodowości, mężczyzn, kobiet i dzieci – którzy przeważnie nie byli w stanie uczestniczyć w zarządzonych przez hitlerowców marszach ewakuacyjnych, zwanych marszami śmierci.

Trasy marszów śmierci, zarówno piesze, jak i kolejowe, znaczone były tysiącami ciał ludzi zastrzelonych przez esesmanów lub zmarłych z wycieńczenia i przemarznięcia. Historycy szacują, że tylko na Górnym Śląsku zginęło ok. 3 tys. ewakuowanych.

Wśród wyzwolonych 27 stycznia 1945 r. więźniów KL Auschwitz było ok. 500 dzieci różnych narodowości, w wieku do 15 lat.

Ocenia się też, że w trakcie całej ewakuacji śmierć poniosło co najmniej 9 tys. więźniów KL Auschwitz.

Szura Pobieda

Wśród wyzwolonych 27 stycznia 1945 r. więźniów KL Auschwitz było ok. 500 dzieci różnych narodowości, w wieku do 15 lat. Jednym z nich była czteroletnia dziewczynka, która pamiętała jedynie, że ma na imię Szura.

Gdy wraz z innymi więźniami wyszła z obozowych baraków do żołnierzy Armii Czerwonej, jeden z nich wyciągnął z chlebaka kostkę cukru i dał jej do lizania. Wyniósł Szurę z obozu na rękach, a następnie przekazał do wojskowego szpitala polowego.

Razem z oddziałem, w którym służył ten żołnierz, dziewczynka jako „dziecko pułku" przemieszczała się wraz z frontem w głąb Niemiec. Opiekowała się nią pielęgniarka ze szpitala polowego. Szura zapamiętała, jak żołnierze jej pułku radośnie świętowali dzień zwycięstwa w maju 1945 r. Wtedy nadali jej nazwisko Pobieda (zwycięstwo), ponieważ prawdziwego nie znała.

Przybrani rodzice

Pułk ten po wojnie stacjonował w mieście Bielce w Mołdawii, potem przeniesiono go do Rumunii. Szura, będąca cały czas pod opieką żołnierzy oddziału, nie mogła udać się do Rumunii razem z nimi. Postanowiono oddać ją, pod przybranym nazwiskiem Aleksandra Michajłowna Pobieda, do domu dziecka w Bielcach. Jej otczestwo pochodziło od imienia dowódcy pułku, Michaiła Chozina.

Do domu dziecka Szura trafiła na przełomie 1945 i 1946 r. Przebywała w nim pół roku. Została wzięta na wychowanie przez Tatianę i Siemiona Jarosławskich, którzy stali się jej przybranymi rodzicami. Wychowali Aleksandrę jak własną córkę i skierowali ją na studia do Instytutu Handlowego w Kiszyniowie. Ciągle nie zdawała sobie sprawy z tego, że kiedyś była więziona w KL Auschwitz II-Birkenau, i zupełnie nie orientowała się, kto i z jakiego powodu wytatuował jej na lewej ręce numer 77325.

Artykuł w „Litieraturnoj Gazietie"

Podczas studiów w Kiszyniowie mieszkająca z nią w jednym pokoju koleżanka przyniosła pewnego razu pismo „Litieraturnaja Gazieta". W artykule pisarki Agnii Barto znajdowała się informacja, że Anastazja

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU (2), ADAM CYRA

eprasa.pl 7642fd1618

Aleksandra Garbuzowa na terenie obozu Auschwitz-Birkenau, 2010 r.

Anastazja Iwanowna Koroliowa z córkami – Aleksandrą i Ludmiłą, 1968 r.

Szura z żołnierzami Armii Czerwonej, którzy wyzwolili obóz Auschwitz-Birkenau. Okolice Berlina, czerwiec 1945 r.

Iwanowna Koroliowa, była więźniarka KL Auschwitz II-Birkenau, oznaczona numerem obozowym 77324, poszukuje córeczki o imieniu Szura. Obydwie, choć rozdzielone, przebywały w tym obozie, skąd matka została ewakuowana do KL Ravensbrück, gdzie wyzwolono ją wiosną 1945 r.

W ten sposób Aleksandra-Szura dowiedziała się, że jej prawdziwa matka żyje i mieszka na Białorusi. Wkrótce uzyskała informację, że wojnę przeżyła także jej starsza siostra Ludmiła. Obydwie mieszkają w Witebsku.

Doszło do spotkania. Był rok 1968. Aleksandra miała wówczas 27 lat. Od biologicznej matki dowiedziała się, że jej prawdziwe nazwisko to Aleksandra Makarowna Koroliowa, że urodziła się 31 grudnia 1940 r. we wsi Borkowo koło Witebska na Białorusi, a jej ojciec Makar był partyzantem i zmarł w 1943 r. w wyniku ran odniesionych w walce z Niemcami. Usłyszała też, że Niemcy spalili jej rodzinną wieś, a jej mama z trzema córkami została przewieziona do więzienia w Witebsku, skąd trafiły na Majdanek. Najstarsza siostra Aleksandry, Ludmiła, przebywała później w obozie dziecięcym w Łodzi, a średnia siostra, Rima, nie przeżyła pobytu na Majdanku.

14 kwietnia 1944 r. z Lublina przywieziono do KL Auschwitz II-Birkenau 1239 więźniów. Wśród nich były Szura z matką. Otrzymały numery obozowe 77324 i 77325.

Od pierwszego spotkania Aleksandra utrzymywała kontakty z rodzoną matką i siostrą, lecz pozostała w Bielcach. Tam wyszła za mąż, zmieniając nazwisko na Garbuzowa. W 1963 r. urodziła córkę Galinę. Doczekała się wnuków i prawnuków. Jeden z jej wnuków, którego ojciec jest mołdawskim Polakiem, posiada Kartę Polaka i kilkanaście lat temu ukończył studia we Wrocławiu.

Biologiczna matka Szury, Anastazja Iwanowna Koroliowa, zmarła w 1995 r. Wcześniej, w drugiej połowie lat 80., zmarli w Bielcach przybrani rodzice Aleksandry.

Aleksandra Garbuzowa po raz pierwszy odwiedziła Muzeum Auschwitz-Birkenau w 1990 r. Potem jeszcze dwukrotnie przyjeżdżała do Oświęcimia. Była jedyną byłą więźniarką KL Auschwitz-Birkenau mieszkającą w Mołdawii. Zmarła 24 maja 2017 r. w wieku 76 lat. ■

KSIĄŻKI

Peter Englund

Punkt zwrotny. Listopad 1942
40 osobistych historii z najważniejszego miesiąca II wojny światowej

Tłum. Ewa Wojciechowska

HI:STORY, Kraków 2023

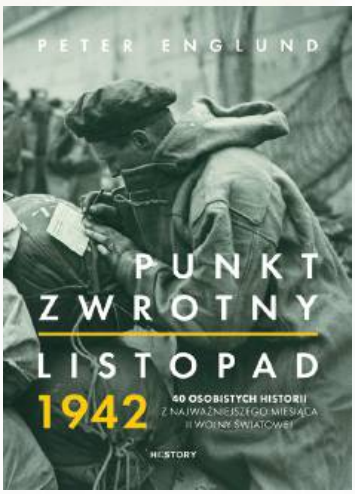

Peter Englund na podstawie wspomnień i pamiętników poetki z Leningradu, koreańskiej niewolnicy seksualnej z Mandalaj, sowieckiego żołnierza walczącego pod Stalingradem, więźnia obozu w Treblince i wielu innych osób kreśli obraz przełomowego miesiąca II wojny światowej – listopada 1942 roku. Przekrojowe spojrzenie wykracza poza jeden front, a narracja zbudowana jest na kilkudziesięciu historiach, dzięki czemu możemy zobaczyć wyjątkowy obraz tego, jak wyglądał ów przełom.

eprasa.pl 7642fd1618

Mróz i morze ruin

Pod osłoną nocy z 16 na 17 stycznia 1945 r. oddziały 1. Armii Wojska Polskiego, przeprawiając się przez Wisłę, rozpoczęły natarcie na Warszawę. Do końca dnia Niemcy zostali całkowicie wyparci ze stolicy. Wkraczających do niej żołnierzy witali w morzu ruin nieliczni mieszkańcy, którzy przetrwali gehennę niemieckiej okupacji. Liczbę pozostałych wśród zgliszcz „warszawskich Robinsonów" szacuje się na 1 tys., a przedwojenna populacja miasta sięgała 1,3 mln osób. Już następnego dnia po wyzwoleniu z prawobrzeżnej części zaczęła napływać ludność cywilna. 19 stycznia zorganizowano dla uczczenia wyzwolenia Warszawy defiladę wojskową.

FOT. EAST NEWS (3), NAC

eprasa.pl 7642fd1618

Z Galicji

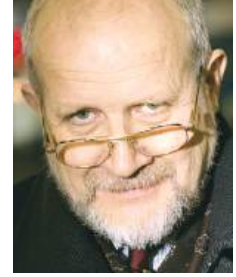

Jan Widacki

Państwo prawa?

Spróbujmy podsumować. Mamy źle obsadzony, skompromitowany po wielokroć Trybunał Konstytucyjny z Julią Przyłębską, która uważa się za jego prezesa (prezeskę?). Tyle że poglądu tego nie podziela nawet połowa sędziów trybunału. Nie mówiąc już o świecie prawniczym. Niezły bigos. W ogóle trybunał w tym składzie jakoś bardzo się kojarzy z gastronomią. Pani prezes podobno świetnie gotuje, co poświadcza osoba najbardziej wiarygodna, bo sam prezes wszystkich prawdziwych Polaków, Jarosław Kaczyński. Sędzia Krystyna Pawłowicz konsumuje za to obrzydliwie, co widziało kilkaset tysięcy Polaków, ten spektakl miał bowiem miejsce w czasie obrad Wysokiej Izby, gdy pani Pawłowicz była jeszcze posłanką. Jest w tym trybunale parę innych osobliwych figur. Na przykład sędzia Mariusz Muszyński, niegdyś prawa ręka prezes Przyłębskiej, dziś jej zażarty przeciwnik. O panu Muszyńskim nie wiemy wiele, on sam się nie chwali, a plotek nie chcę powtarzać. Jedną z najjaśniejszych gwiazd jest oczywiście były prokurator i bodajże II sekretarz PZPR w prokuraturze, obecnie jeden z najgorliwszych antykomunistów – Stanisław Piotrowicz! Wychodzi na to, że prokurator Piotrowicz nienawidzi sam siebie i to musi być dla niego frustrujące.

W Sądzie Najwyższym mamy dwie izby, które w świetle orzecznictw trybunałów europejskich nie są sądami, a żeby było jeszcze zabawniej, nie są nimi w świetle uchwały tegoż Sądu Najwyższego. Nie są, ale orzekają! Na czele Sądu Najwyższego stoi I prezes, pani Małgorzata Manowska, skądinąd sama neosędzia, za to przyjaciółka pana prezydenta i jego małżonki, z którymi jednak rozmawia nie o polityce czy o sądownictwie, tylko o wnukach. Tak zapewniła w wywiadzie dla Radia Zet. W tych izbach Sądu Najwyższego, które jednak są sądami, jest już połowa neosędziów z rekomendacji nieuznawanej, niekonstytucyjnej, upolitycznionej neo-KRS. We wspomnianym wywiadzie I prezes jakoś specjalnie neo-KRS nie broniła, ale przekonywała, że ewentualna wadliwość pochodzącej od tego ciała rekomendacji na stanowisko sędziego jest bez znaczenia, bo na końcu i tak mianował tych sędziów (neosędziów) prezydent. A prezydencka nominacja ma w jej rozumieniu moc uzdrawiającą dla wadliwej rekomendacji. Rzymscy prawnicy przekonywali, że „co od początku wadliwym jest, nie nabierze prawidłowości z biegiem czasu". Najwyraźniej nie znali mocy uzdrawiającej prezydenta Dudy.

W Prokuraturze Krajowej podobnie. Rządzi nią wadliwie przez Ziobrę powołany na urząd prokuratora krajowego Dariusz Barski. Ale jedną z ostatnich ustaw, które PiS zdążyło uchwalić przed wyborami, ustanowiono, że bez zgody prezydenta Barski jest nieodwoływalny. Minister Bodnar uznał, że nie trzeba Barskiego odwoływać, bo jako wadliwie powołany nie mógł skutecznie objąć urzędu. Powołał więc Adam Bodnar na stanowisko p.o. prokuratora krajowego Jacka Bilewicza. Barski ani myśli ustąpić z urzędu, popierają go jego zastępcy i prezydent. Mamy zatem dwóch prokuratorów krajowych i tylko czekać, jak aresztują się wzajemnie.

A w tle dwaj „więźniowie polityczni", których prezydent ułaskawił jeszcze przed skazaniem – i upiera się, że skutecznie, bo to ułaskawienie działa nie tylko wstecz, ale też w przyszłość. Oni tymczasem siedzą, tak jak powinni siedzieć wszyscy prawomocnie na odsiadkę skazani. Tymczasem pan prezydent dokonuje kolejnego cudu logicznego. Uważa, że jego ułaskawienie z 2015 r. (sprzed skazania) wciąż obowiązuje, ale wszczyna wobec nich procedurę ułaskawieniową. Krótko mówiąc, jak kiedyś ułaskawił nieskazanych, tak teraz ułaskawia ułaskawionych. Zupełnie zdezorientowanemu elektoratowi PiS mówi, że ta procedura, którą teraz wszczął, nie jest przez niego wszczęta, tylko on zobowiązał ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, aby to on ją wszczął. Elektorat już nic z tego nie rozumie, ale wciąż wierzy. A do tego rozum nie jest specjalnie potrzebny.

Żony skazanych są zapraszane do Pałacu Prezydenckiego i do Sejmu, opowiadają, jak cierpią teraz w samotności, a jedna nie potrafi uruchomić w domu ogrzewania i cierpi chłód. Czuje się więc jak wierna żona towarzysząca mężowi w zsyłce na Sybir.

Zachowanie obydwu panów, a szczególnie pana K., na dobrą sprawę uniemożliwiałoby ich ułaskawienie w każdym praworządnym kraju. Popełnili ciężkie przestępstwo polegające na przekroczeniu uprawnień w kierowaniu służbą specjalną. Wielokrotnie świadomie złamali prawo, realizując ohydną prowokację polityczną. Nie czują się winni, nie zdobyli się na cień krytycznej refleksji. A pokazanie przez pana K. w Sejmie „gestu Kozakiewicza" wyraża jego stosunek do sądu, do wyroku wydanego „w imieniu Rzeczypospolitej", do państwa prawa. Ale pan prezydent i tak ich ułaskawi po raz drugi. A w razie czego, jak sejmowa komisja śledcza wyjaśni sprawę zakupu i użycia Pegasusa i staną przed sądem – po raz trzeci.

Polska nie pierwszy raz nierządem stoi. Kibicujmy ministrowi Bodnarowi!

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Producenci broni pod ostrzałem

Czy w obliczu indolencji władzy to działania obywateli doprowadzą do zmian w przepisach o dostępie do broni w USA?

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Pod koniec zeszłego roku, 7 grudnia, do sądu w Newadzie wpłynął niecodzienny pozew. Katolickie zakonnice z czterech zgromadzeń w stanach Michigan, Pensylwania i Oregon, a jednocześnie akcjonariuszki firmy Smith & Wesson, zaskarżyły ją, że swoimi praktykami biznesowymi uderza w ich interes jako jej współwłaścicielek. Smith & Wesson to wiodący producent broni w USA, w tym szturmowej. Skoro broń szturmowa, argumentują zakonnice, jest dziś narzędziem mordu preferowanym przez sprawców masowych strzelanin, te zaś wywołują społeczny gniew i sprzeciw, tworzy się klimat zagrożenia dla funkcjonowania firmy, a więc i interesu jej udziałowców. „Firma promuje i sprzedaje karabiny AR-15 wszędzie tam, gdzie może najwięcej zarobić – nawet jeśli promocja jest nielegalna i przemawia do niebezpiecznej kategorii nabywców, skutkując rosnącym nieprzerwanie strumieniem mordów i narażając firmę na również rosnące prawdopodobieństwo, że zostanie za to pociągnięta do odpowiedzialności, a jej dalsze istnienie stanie wtedy pod znakiem zapytania”, można przeczytać w treści pozwu.

Przypomnijmy, że Amerykę, najbardziej uzbrojone społeczeństwo na świecie (niemal półtorej sztuki broni na obywatela, wliczając w to dzieci, dane serwisu The Trace, 2023), opanowała epidemia masowych strzelanin. W minionym roku było ich 632, prawie dwie strzelaniny DZIENNIE. Życie straciło ponad 750 osób, a prawie 2,5 tys. zostało rannych. Najkrwawsza była tragedia z 23 października, kiedy to z rąk uzbrojonego w AR-15 mężczyzny, który zaatakował aż w czterech miejscach w okolicach miasta Lewistone w stanie Maine, zginęło 18 osób, a rany odniosło 13, w tym dzieci.

W 2023 r. doszło w USA do 632 masowych strzelanin, prawie dwóch DZIENNIE. Życie straciło ponad 750 osób, a prawie 2,5 tys. zostało rannych.

Trudny strzał do odległego celu

Założona w 1852 r. spółka Smith & Wesson jest jednym z najstarszych (wraz z Coltem, Remingtonem i Winchesterem) producentów broni palnej w USA, znanym również z tego, że dostarcza wyposażenie amerykańskim służbom mundurowym. Przez pierwsze półtora wieku istnienia była liderem na rynku rewolwerów i pistoletów, stworzyła m.in. pierwsze rewolwery z amunicją zespoloną na potrzeby wojny secesyjnej. W 2006 r., dwa lata po wygaśnięciu federalnego prawa zabraniającego produkcji na rynek cywilny broni z magazynkiem o pojemności więcej niż 10 nabojów, zaczęła produkować także karabiny.

Choć rzeczoznawcy zgadzają się, że jako akcjonariuszki zakonnice jak najbardziej mają prawo wyrażać swoje zdanie na temat działań firmy, mało kto wierzy, że sprawa zakończy się dla sióstr pomyślnie. Po pierwsze, mają one tylko ok. 1 tys. akcji, a to kropla w morzu, bo zaledwie 0,02% ogólnej liczby ponad 46 mln akcji, jakie są w obiegu. Po drugie, ich aktywizm jako udziałowczyń musiałby się spotkać ze znacznym odzewem i poparciem innych akcjonariuszy, a na to widoków na razie nie ma. Szyki zwierają natomiast organizacje *pro-gun,* które głoszą, że zakonnice sponsorowane są przez niebezpiecznych dla kraju liberałów, a pozew obliczony jest na szkalowanie uczciwego przedsiębiorcy, w dodatku pomagającego obywatelom realizować ich konstytucyjne prawa.

Na szczęście strzelają i inni

Zakonnice jednak twardo stąpają po ziemi i nie kryją, że ich posunięcie ma przede wszystkim wydźwięk symboliczny. O to im chodzi – o wykonanie gestu, który zostanie zauważony, dołoży cegiełkę do debaty o tym, czy broń musi pozostawać nieodłącznym elementem amerykańskiej tożsamości, wreszcie – i na to liczą najbardziej – zachęci do działania innych, którzy być może też noszą się z zamiarem zaskarżenia producentów broni jako współodpowiedzialnych za przemoc w przestrzeni publicznej. Wśród zwolenników reformy prawa o dostępie do broni

eprasa.pl 7642fd1618

Protest w Nowym Jorku, 20 kwietnia 2018 r.

w USA rośnie bowiem przekonanie, że skoro nie działa zdrowy rozsądek ani nacisk na polityków, należy uderzać bezpośrednio w tych, którzy wkładają Amerykanom broń w ręce.

Waleczne zakonnice nie działają w pojedynkę. Są częścią widocznego, coraz silniejszego ruchu wymierzonego przeciwko branży zbrojeniowej, którego przejawem jest rosnąca fala pozwów do amerykańskich sądów. Pozwy te wnoszą dziś już nie tylko osoby prywatne, tradycyjnie krewni ofiar strzelanin, ale i całe miasta, m.in. Los Angeles, Nowy Jork i Waszyngton, a w ubiegłym roku dołączyły do nich Buffalo i Filadelfia.

Ważny nie strzał, ale jak go promują

Co stoi za tą falą? Dwa czynniki. Pierwszy to sukces grupy rodziców, którzy po masakrze w szkole podstawowej Sandy Hook w Newtown w stanie Connecticut w 2012 r. zaskarżyli koncern Remington, producenta broni, którą posługiwał się morderca ich dzieci, i po dekadzie bojów sądowych rzucili firmę na kolana. By uniknąć bankructwa, Remington poszedł na ugodę i wypłaci odszkodowania – 73 mln dol. Sprawa jest o tyle ważna i bezprecedensowa, że została wygrana dzięki „nowatorskiemu" argumentowi. Wcześniej pozywający oskarżali producentów broni o wprowadzanie na rynek narzędzi śmierci. Rodzice z Newtown zaskarżyli praktyki biznesowe Remingtona, a dokładniej „umyślny, nieodpowiedzialny marketing i promocję broni w grupach osób najbardziej podatnych na radykalizację i szerzenie przemocy, czyli młodych mężczyzn borykających się z problemami mentalnymi i społecznymi", jak możemy przeczytać w oskarżeniu. A ponieważ broń to „produkt", oznacza to, że doszło do naruszenia praw konsumenta definiowanych przez konstytucję stanu Connecticut, gdzie odbywał się proces. Co dodatkowo tu istotne, procesy sądowe zbudowane na podobnych argumentach o nieuczciwych chwytach marketingowych zatopiły swego czasu koncerny tytoniowe, a w chwili obecnej są podstawą pozwów przeciw koncernom farmaceutycznym produkującym leki opioidowe.

Czynnik drugi to trend zmian w ustawodawstwach stanowych, ułatwiających zainteresowanym stronom ściganie dotąd „nietykalnych i bezkarnych" producentów broni za ich współudział w zbrodniach. Liderami są tutaj stan Nowy Jork, który wprowadził takie zmiany już w 2021 r., Kalifornia, która zrobiła to rok później, i stan Waszyngton, który przegłosował je w roku ubiegłym.

„Nowe przepisy obligują producentów broni do ujawniania informacji, do których nikt, nawet audytorzy, zwykle nie ma dostępu, a więc czym kierują się w swoich decyzjach projektanci broni i jej dystrybutorzy, gdy myślą o rynku odbiorców, i jaka jest ich świadomość ryzyka, że broń dostanie się nielegalnie w niepowołane ręce", wyjaśnia Timothy Lytton, wykładowca z Uniwersytetu Stanowego Georgii i redaktor książki „Suing the Gun Industry: A Battle at the Crossroads of Gun Control and

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7642fd1618

Mass Torts" o pozwach zbiorowych przeciw branży zbrojeniowej.

Strzelać czy nie strzelać, oto jest pytanie

Bonanza „nietykalności i bezkarności" producentów broni nie trwała od zawsze, to fenomen ostatnich 20 lat. Żeby go zrozumieć, musimy się cofnąć do końca lat 90. zeszłego wieku.

Masowej strzelaniny Ameryka doświadczyła już w roku 1912. Podczas rozprawy w Wirginii oskarżony otworzył ogień na sali sądowej i zabił sześć, a ranił 15 osób. Na dobre jednak masowe strzelaniny zaczęły nękać USA od lat 70. minionego wieku. Krewni ofiar i organizacje obywatelskie wnosili wówczas pozwy przeciwko producentom broni, ale nawet jeśli wygrywali sprawy, nie budziło to większych emocji, bo i stawki finansowe nie były porażające. Wszystko zmieniło się w latach 1998-1999. Najpierw (w 1998 r.) koncerny Smith & Wesson, Colt i Browning zostały oskarżone przez burmistrza Chicago o przykładanie ręki do eskalacji przemocy na ulicach miasta wyniszczanego walkami gangów. W maju 1999 r. Ameryka stała się zaś świadkiem horroru, jaki trudno sobie wyobrazić nawet w najgorszych snach. Dwóch licealistów z miasteczka Columbine koło Denver w stanie Kolorado przyniosło do szkoły karabiny maszynowe i uśmierciło 13 osób, po czym zabiło siebie nawzajem. W odpowiedzi na tragedię, a także pod naciskiem opinii publicznej w sprawie przestępczości i rozbojów w Chicago, spółka Smith & Wesson, której broni użyli mordercy z Columbine, dobrowolnie zgodziła się zmienić praktyki biznesowe. Ogłosiła, że odtąd będzie produkować jedynie broń „smart", czyli z blokadami przed dziećmi i gwarancją, że odbezpieczyć ją będzie mógł tylko jej właściciel. Do tego zapowiedziała, że kończy współpracę ze sprzedawcami handlującymi ze światem przestępczym i niesprawdzającymi klientów. Branża zbrojeniowa wpadła w popłoch, że teraz wszyscy będą musieli podjąć podobne kroki, co oznaczałoby spadek sprzedaży i dochodów. Na pomoc pośpieszyło jednak National Rifle Association. Wezwało swoich członków do bojkotu firmy, a jej plany nazwało szkodliwymi dla bezpieczeństwa Amerykanów. Akcja się powiodła – Smith & Wesson wkrótce zbankrutował, zmienił właścicieli i odstąpił od „nierozsądnych" zobowiązań. Niestety, NRA nie poprzestało na tym. Ryan Busse, były członek zarządu firmy zbrojeniowej Kimber America i autor książki „Gunfight: My Battle Against the Industry that Radicalized America" (Strzelanina. Moja wojna przeciwko branży, która zradykalizowała Amerykę), tak w skrócie przedstawił wydarzenia tamtego okresu: „NRA naradzało się za zamkniętymi drzwiami, jak odpowiedzieć na tragedię w Columbine. Iść na ugodę czy raczej wykorzystywać tego typu wydarzenia, by wzbudzać w ludziach nienawiść, strach i podziały, to wszystko, czym karmi się dziś polityka? Oczywiście wybrali to drugie" („Time", 22 sierpnia 2022 r.).

Pozwy przeciw producentom broni wnoszą całe miasta, m.in. Los Angeles, Nowy Jork, Waszyngton, Buffalo i Filadelfia.

Kongres strzela w dziesiątkę

Przez następne lata NRA wzmogło lobbing, by Kongres przyznał producentom broni swoisty immunitet przed pozwami sądowymi w myśl idei, że nie można czynić ich odpowiedzialnymi za to, do jakich celów klienci używają ich produktu. I znów się udało. Prawo nazwane Protection of Lawful Commerce in Arms Act (PLCAA, Ochrona legalnego handlu bronią) Kongres przegłosował w roku 2005 przy poparciu obu partii. Warto odnotować, że moment nie był przypadkowy. W 2004 r. wygasł wspomniany tu już, a obowiązujący przez 10 lat zakaz produkcji, sprzedaży i posiadania broni szturmowej. Nowe przepisy rozpinały więc nad branżą parasol ochronny dokładnie wtedy, gdy mogła ona na powrót wejść do gry z typem broni, na której zarabiała najwięcej.

W ciągu kilku lat od uchwalenia PLCAA sądy zakończyły wszystkie postępowania przeciwko producentom broni wszczęte przed rokiem 2005. Były wśród nich m.in. pozwy złożone w imieniu ponad 30 amerykańskich miast. Choć zarówno osoby indywidualne, jak i organizacje walczące o większą kontrolę rynku broni nie przestały pozywać branży, sprawy były z góry przesądzone. Sądy niemal rutynowo odrzucały takie wnioski. Tym większy podziw i szacunek należy się ludziom, którzy mimo wszystko na akcję prawną się decydują.

Podam przykład z własnego podwórka, ze stanu Kolorado. Sandy i Lonnie Phillips z Denver w 2012 r. stracili córkę. Miała pecha znaleźć się w kinie w mieście Aurora (przedmieścia Denver), gdzie zamachowiec uśmiercił z karabinu 12 osób, raniąc jeszcze kilkadziesiąt. Phillipsowie założyli organizację Survivors Empowered i zaskarżyli czterech producentów broni oraz amunicji. Nie ubiegali się o odszkodowanie finansowe, ich celem było wyłącznie wywarcie nacisku, by produkowana broń stała się bezpieczniejsza i trudniejsza do nabycia. Sprawę przegrali, tracąc oszczędności całego swojego życia – ponad 200 tys. dol.

NRA strzela w lęki i fobie

Choć zwycięstwo rodziców z Newtown i postawa stanowych legislatur niosą aktywistom spod sztandaru *anti-gun* mnóstwo nadziei, wiadomo, że największą przeszkodą w walce z branżą zbrojeniową jest ludzka mentalność. Amerykanie nie tylko broń posiadają, ale też kultywują całą „kulturę broni", która jest niczym bastion. Przypomnijmy jednak, że wcale nie za sprawą historii. To efekt przekazu ideologicznego płynącego od duetu NRA-branża zbrojeniowa i zawłaszczającego amerykańskie umysły dopiero przez ostatnie 40 lat. O nim również pisałam tu wielokrotnie, ale zawsze warto powtórzyć. To z jednej strony wciskanie

eprasa.pl 7642fd1618

narodowi opowieści o jego „niezbywalnym” (druga poprawka) prawie do posiadania broni, z drugiej zaś podsycanie społecznych animozji i podziałów – najlepszy wabik na klienta zbrojącego się w imię samoobrony. Samoobrony przed czym? Ideolodzy z NRA nie szukali daleko. Sięgnęli do zestawu lęków będących pokłosiem niewolnictwa i segregacji rasowej. Moment, gdy przejęta przez politycznych i ideologicznych oportunistów NRA (zainteresowanych odsyłam do hasła rewolta w Cincinnati 1977 r.) rozpoczynała swoją ofensywę, był idealny. W latach 70. i 80. XX w. Amerykę, jak zresztą i Europę Zachodnią, zalewała fala narkomanii i walk gangów. W Ameryce twarzą tego kryzysu byli kolorowi mieszkańcy tzw. *inner cities*, gdzie koncentrowało się mieszkalnictwo komunalne dla najuboższych. Potem wystarczyło tylko pokazać statystyki rosnącej przestępczości i doprawić je sosem wiecznie obecnego sporu, czy aby Wuj Sam nie za bardzo ogranicza Amerykanom ich wolność. To zresztą największy problem, na którym środowisko *anti-gun* wybija sobie zęby – fakt, że NRA udało się nadać broni status symbolu wolności i patriotyzmu. I oczywiście sprawić, że patriotyczna Ameryka zaczęła zbroić się na potęgę. Przełomowy był moment wyboru na prezydenta Baracka Obamy. Popyt na broń wzrósł tak bardzo, że rokrocznie produkuje się jej dzisiaj o 70% (ok. 3,5 mln sztuk) więcej niż w roku 2008. Jeśli kulturę broni można mierzyć stanem domowych arsenałów, widać, że zachowuje ona doskonałą formę.

Czy Meksyk odda decydujący strzał?

W tej sadze o walce z wiatrakami pojawił się niedawno jeszcze jeden wątek. I kto wie, czy nie na niego powinniśmy zwrócić całą uwagę. W 2021 r. amerykańscy producenci broni zostali bowiem pozwani przez państwo ościenne. Konkretnie przez rząd Meksyku, który domaga się od branży odszkodowania w wysokości co najmniej 10 mld dol. za „szkody ekonomiczne, choć główny cel pozwu jest dużo ambitniejszy: ograniczyć przemyt broni do Meksyku poprzez wymuszenie na amerykańskich koncernach zmian w obszarze ich działań biznesowych, w tym większej kontroli w systemach dystrybucji”, by przytoczyć słowa Chantal Flores, autorki artykułu „Are U.S. Gun-Makers Responsible for Violence in Mexico?” (Czy amerykańscy producenci broni są odpowiedzialni za przemoc w Meksyku?) opublikowanego na łamach „Foreign Policy” w październiku ub.r. Już 10 lat temu Instytut Igarapé przy Uniwersytecie San Diego oszacował, że w Meksyku ląduje co najmniej 2,2% broni produkowanej rocznie w Stanach. Śledczy z obu państw potwierdzają, że z USA pochodzi aż 70% broni używanej do popełniania przestępstw w Meksyku, głównie przez walczące ze sobą gangi i kartele narkotykowe. Kłopoty Meksyku są dla Ameryki o tyle ważne, że w ostatnich latach rozzuchwaleni przestępcy coraz częściej i śmielej porywają i atakują również przebywających tam cudzoziemców, wśród których najwięcej jest Amerykanów. Na razie sąd w Bostonie, do którego wpłynął pozew, oddalił sprawę, ale Meksyk już od tej decyzji się odwołał, wnioskując, że amerykańskie prawo nie chroni amerykańskich firm przed odpowiedzialnością prawną za przestępstwo popełnione na terenie innego państwa. Finał tej sprawy spodziewany jest w tym roku i może wyznaczyć precedens w sprawie zwalczania przemytu broni. „Zwycięstwo Meksyku – pisze Flores – otworzyłoby drzwi rządom innych państw, też zainteresowanych oskarżeniem amerykańskich producentów o wspieranie przestępców w ich krajach. Bez względu jednak na wynik sprawy stawia ona w centrum uwagi pytanie, na które USA nie chciały do tej pory odpowiedzieć: kto pociągnie amerykańską branżę zbrojeniową do odpowiedzialności za przemoc w innych krajach?”.

Nie cieszmy się przedwcześnie, ale wygląda na to, że brawurowa akcja zakonnic to rzeczywiście tylko kropla w morzu kłopotów Browninga, Colta i spółki.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Sądy niemal rutynowo odrzucały wnioski o pociągnięcie do odpowiedzialności producentów broni.

eprasa.pl 7642fd1618

Na ratunek nieuprzywilejowanym

Lekarze bez Granic działają w ponad 70 krajach, a ich pomoc jest zawsze bezpłatna

Dominika Tworek

– Skupiamy się na osobach, które w danym momencie znajdują się w zagrożeniu i potrzebują wsparcia, bez względu na to, jakiego są wyznania, pochodzenia czy przekonań politycznych. Obecnie prowadzimy m.in. działania w Strefie Gazy. Często jesteśmy tam, gdzie pomocy humanitarnej jest mało lub nie ma innych organizacji, które mogą przekazać światu, co się dzieje w danym regionie. Pomagamy w miejscach, w których trwają zapomniane konflikty, np. na Haiti, gdzie panuje ogromna przemoc między grupami zbrojnymi i gangami. Sytuacja Haitańczyków jest tragiczna, choć niekoniecznie zajmuje ona dużo uwagi w mediach. A gdyby nas tam nie było, byłaby o wiele gorsza – mówi Draginja Nadaždin, dyrektorka powstałego dwa lata temu polskiego biura Lekarzy bez Granic. Organizacja humanitarna zajmuje się też informowaniem o tym, jakie problemy dotykają pacjentów z danego zakątka globu. Alarmuje m.in. o zapomnianych chorobach, które rozprzestrzeniają się w uboższych rejonach.

Przykładem takiej choroby jest cholera, która – jak przeczytamy w raporcie za rok 2022 – pojawiła się aż w 30 krajach. Jej roznoszeniu sprzyjają katastrofy naturalne, brak wody, konflikty i masowe przesiedlenia. Lekarze bez Granic leczyli na nią w tamtym okresie prawie 53 tys. pacjentów, m.in. Nigeryjczyków, Syryjczyków, Kenijczyków czy Libańczyków. We wrześniu choroba pojawiła się także na Haiti i do końca roku zanotowano tam aż 15 tys. przypadków, w większości leczonych w placówkach organizacji. Lekarze bez Granic wspierają również akcje szczepień. W obliczu globalnego braku szczepionek na cholerę podjęto bezprecedensową decyzję, aby czasowo zalecać jedną dawkę szczepionki zamiast dwóch, w celu ochrony większej liczby osób przed zarażeniem. W 2022 r. organizacja masowo szczepiła też przeciw odrze. Udało się zaszczepić ponad 4 mln osób, przy czym więcej niż połowę stanowili mieszkańcy Demokratycznej Republiki Konga.

Niezależność i neutralność

Lekarze bez Granic działają na podstawie własnej oceny potrzeb, niezależnie od jakichkolwiek sił politycznych, ekonomicznych i religijnych. Dzieje się tak dlatego, że ponad 97% funduszy pochodzi od darczyńców prywatnych. W akcie sprzeciwu wobec polityki migracyjnej państw członkowskich Unii Europejskiej organizacja odmawia przyjmowania od nich środków. Nie zgadza się również na darowizny od firm i branż, takich jak koncerny farmaceutyczne i tytoniowe, producenci broni czy przemysł wydobywczy.

– Pracę w sektorze humanitarnym zaczęłam w 2016 r. i dość szybko sfrustrowałam się jego bolączkami. Tym, że jest bardzo upolityczniony, uzależniony od tzw. grantodawców instytucjonalnych i że zajmuje się bardziej sobą niż społecznościami, którym próbuje pomóc. Zawsze z zazdrością patrzyłam na Lekarzy bez Granic, którzy byli niezależni finansowo i docierali tam, gdzie nikt inny nie mógł dotrzeć. Stwierdziłam, że jeśli chcę realnie ratować życie i zdrowie ludzi, to tylko tutaj – wspomina Monika Ślósarska, która dołączyła do organizacji cztery lata temu. Jako koordynatorka projektów zajmuje się wdrażaniem strategii medycznych dla danego kraju, dba o bezpieczeństwo pracowników oraz negocjuje dostęp pacjentów do placówek medycznych.

Lekarze bez Granic kierują się zasadą neutralności – w sytuacji konfliktów nie opowiadają się po żadnej ze stron. – Olbrzymia większość zespołów medycznych to osoby pochodzące ze społeczności, z którą pracujemy. To oni potrafią najskuteczniej dotrzeć do pacjentów i najlepiej się z nimi porozumieć. Natomiast na miejscu potrzebne są też takie osoby jak ja, zajmujące się koordynacją działań, tym, żebyśmy przestrzegali pewnych standardów czy mogli być postrzegani jako bezstronny aktor w negocjacjach – dodaje działaczka.

> Lekarze bez Granic działają niezależnie od jakichkolwiek sił politycznych, ekonomicznych i religijnych.

Ślósarska przywołuje swój pierwszy projekt, wyjazd do Bangladeszu: – W jego stolicy są tysiące nieformalnych, małych fabryk, gdzie zarówno dorośli, jak i dzieci pracują w bardzo niebezpiecznych warunkach. To szara strefa, w której zatrudnieni są głównie rolnicy, zmuszeni

eprasa.pl 7642fd1618

Lekarze bez Granic przeprowadzają konsultacje pediatryczne w klinice w Hebronie na Zachodnim Brzegu, 2022 r.

do emigracji do dużych ośrodków miejskich ze względu na zmiany klimatyczne. Osoby te dotychczas nie miały dostępu do opieki medycznej.

Lekarze bez Granic utworzyli tam przychodnie, do których mogą się zgłaszać potrzebujący pomocy medycznej, i stworzyli zespół chodzący od fabryki do fabryki, żeby informować pracowników o bezpłatnej pomocy i zagrożeniach związanych z ich zajęciem. – Negocjowałam z właścicielami tych fabryk, żeby wypuszczali pracowników do lekarza. W wielu przypadkach nie było to proste, ponieważ właściciele stwierdzali, że każda godzina spędzona u lekarza to dla nich utrata dochodów – mówi koordynatorka.

Wojna, kryzys klimatyczny i pushbacki

Wizytówką Lekarzy bez Granic jest skuteczność w dostarczaniu pomocy medycznej. Jednym z największych wyzwań w 2022 r. była oczywiście wojna w Ukrainie. Organizacja przekazywała zaopatrzenie medyczne i wspierała ukraińskich lekarzy w leczeniu rannych, ale też pomagała leczyć osoby przewlekle chore czy utrzymywać zdrowie psychiczne osób doświadczających przemocy.

Obecną sytuację humanitarną na świecie w ogromnej mierze determinują skutki kryzysu klimatycznego. W 2022 r. Lekarze bez Granic pomogli tysiącom osób, które ucierpiały w wyniku powodzi w Republice Południowej Afryki i Sudanie Południowym, suszy w Somalii czy cyklonów na Madagaskarze i Filipinach. Leczyli dzieci na przedmieściach Ndżameny w Czadzie, dotknięte niedożywieniem z powodu wyjątkowo suchej i krótkiej pory deszczowej. Pół roku później tereny te nawiedziły niespotykanie obfite deszcze, a wezbrane rzeki spowodowały rozległe podtopienia, zmuszając tysiące osób do opuszczenia domów.

W Pakistanie na skutek olbrzymich powodzi jedna trzecia kraju znalazła się pod wodą, która w wielu miejscach nie ustępowała przez ponad trzy miesiące. Zniszczenia zmusiły do przesiedlenia ponad 30 mln osób, tysiące zostało rannych lub zmarło. Pod koniec 2022 r. Lekarze bez Granic rozpoczęli z kolei działania w Kiribati, wyspiarskim państwie na Pacyfiku, jednym z najniżej położonych krajów świata. Na skutek podnoszenia się poziomu oceanu grozi mu całkowite zniknięcie. Na razie erozja gleby utrudnia tam uprawy, a perspektywa zalania wysp popycha lokalny personel medyczny do emigracji.

Susza i skromne plony, zapaść gospodarcza i systemu ochrony zdrowia, konflikty i wzrost cen żywności to czynniki alarmującego wzrostu poziomu niedożywienia w Nigerii, Etiopii, Kenii, Czadzie, Afganistanie czy Jemenie. W somalijskim mieście Baydhabo, gdzie przedłużająca się susza zbiegła się z długotrwałym konfliktem i niewystarczającą pomocą humanitarną, zespoły Lekarzy bez Granic widywały tygodniowo nawet 500 dzieci z ostrym niedożywieniem.

Według UNHCR – agencji ONZ ds. uchodźców – w 2022 r. m.in. na skutek katastrofy klimatycznej nawet 100 mln osób na świecie zostało zmuszonych do porzucenia miejsca zamieszkania. Niektóre zostały uwięzione na granicy między Białorusią, Litwą, Łotwą i Polską, gdzie spotykały się z systemową przemocą i pushbackami. Z kolei Stany Zjednoczone kontynuowały wypychanie uchodźców i migrantów docierających do granicy meksykańsko-amerykańskiej, a tysiące ludzi zmierzających ku wybrzeżu Morza Śródziemnego w północnej Afryce lub uciekających przed niebezpieczeństwami czyhającymi na nich w Libii zostało wydalonych z Algierii do Nigru i porzuconych na granicy, na środku pustyni. Pushbacki kontynuowano również na morzu. Lekarze bez Granic otwarcie sprzeciwiają się takim działaniom rządów i stale pomagają potrzebującym.

Poczucie solidarności

– Sytuacje, z którymi się mierzymy, są często bardzo trudne. Wtedy staramy się odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie realne działania mogą się przełożyć na poprawę sytuacji danych społeczności. Nasza praca oparta jest na bardzo przemyślanym działaniu, w którym jest też czas na refleksję. Także na temat własnych emocji, mocnych stron i ograniczeń – podkreśla Draginja Nadaždin. Dla niej imperatywem działania w obronie praw człowieka są osobiste przeżycia: – Doświadczenie bycia uchodźcą jako nastolatka na pewno przyczyniło się do moich wyborów zawodowych i spowodowało, że pracuję w organizacji, która ratuje życie

FOT. ALFREDO CALIZ/PANOS PICTURES/PANOS PICTURES/FORUM

eprasa.pl 7642fd1618

i zdrowie innych. Kieruję się w życiu przekonaniem, że są w nim rzeczy ważne i ważniejsze. Uznaję, że mam szczęście – komfort bycia częścią zmian, które pomogą innym. Przekształcania niezgody na cierpienie w działanie.

Dyrektorka polskiego biura Lekarzy bez Granic w każdym swoim działaniu poszukuje poczucia sensu, ponieważ właśnie z niego czerpie siłę do pracy: – Żeby go odnaleźć, bardzo ważna jest świadomość swoich uczuć, po to by stres i różne trudne doświadczenia przekuć w pozytywny budulec. Dla mnie w tym wszystkim kluczowe jest poczucie solidarności. Uczucie, że nie zostawiamy ludzi samych. Ale też, że nie jesteśmy sami w tym, co robimy. Że możemy liczyć na wsparcie od siebie nawzajem jako współpracowników.

Remedium na obciążenie psychiczne, z jakim wiąże się taka praca, jest umiejętność zadbania o siebie, czyli przyzwolenie na regenerację. – Chodzi o świadomość, że to, iż dzisiaj jestem silna, wcale nie oznacza, że jutro również tak będzie. Nasze zaangażowanie także ma granice i kiedy czujemy, że mamy wyczerpane baterie, dajemy sobie prawo do tego, żeby się wycofać. Nie jest przypadkiem, że osoby, które wyjeżdżają do działań natychmiastowych w najbardziej kryzysowe rejony mają zapewnione stałe wsparcie psychologiczne, a projekty odbywają się w systemie rotacyjnym – komentuje Nadaždin.

– Zazwyczaj wyjeżdżamy na rok – dodaje Ślósarska. – Po każdym projekcie czujemy olbrzymie zmęczenie. Ogrom stresu, frustracji i wkładanego wysiłku jest bardzo często powyżej tego, co zwykły człowiek może znieść. Dlatego staramy się opiekować sobą nawzajem. Ale też wyznajemy zasadę, że osoba, która nie czuje się bezpiecznie albo uważa, że sytuacja ją przerasta, w każdej chwili może poprosić o powrót do domu.

najmłodsze dzieci, dla których np. gorączka może się skończyć tragicznie. Oraz kobiety w ciąży, których życie przy jakichkolwiek komplikacjach jest zagrożone – opowiada koordynatorka.

Smutną rzeczywistością pracy Lekarzy bez Granic jest fakt, że mimo starań nie są w stanie pomóc wszystkim. – Trudne do zaakceptowania jest również to, że nie możemy rozwiązać problemów, które leżą u podstaw konfliktów zbrojnych czy wszelkich dyskryminacji – dodaje Ślósarska. – My możemy tylko towarzyszyć tym społecznościom i dostarczać tę pomoc medyczną, którą możemy zorganizować. A podstawą naszej pracy jest bliski kontakt z pacjentami oraz liderami tych społeczności.

Smutną rzeczywistością pracy Lekarzy bez Granic jest fakt, że mimo starań nie są w stanie pomóc wszystkim.

Działaczka ostatni rok spędziła w Mjanmie, w stanie Rakhine – słynnym z uwagi na dramatyczną historię mniejszości Rohingja: – To społeczność, która od lat 70. jest prześladowana. Ponad 80% tych ludzi żyje w jakiegoś rodzaju obozach, w zamknięciu, mówiąc wprost – w niewoli. Dla nas olbrzymim wyzwaniem jest samo dotarcie do tych obozów, dlatego że ogromna ich część znajduje się na wyspach. Żeby tam się dostać, a później przewieźć pacjentów do szpitali, trzeba płynąć łódkami kilka godzin.

Lekarze bez Granic borykają się z wieloma przeszkodami biurokratycznymi. – Z uwagi na toczący się tam konflikt zbrojny i trudne relacje pomiędzy społecznościami niejednokrotnie zdarza się, że mamy cały zespół medyczny gotowy pojechać do takiego obozu, ale czekamy godzinami na punktach kontrolnych, nie jesteśmy przepuszczani. To rodzi olbrzymią frustrację. Niezwykle trudno nam zaakceptować rzeczywistość, w której moglibyśmy dostarczać pomoc medyczną, ale przez uwarunkowania polityczne czy militarne nie możemy. A osobami najbardziej wrażliwymi na takie odcinanie od pomocy medycznej są Oni są bardzo zaradni. Jeśli nie możemy gdzieś dojechać, to wcale nie jest tak, że rozkładają ręce i nic nie robią. Wtedy wspólnie szukamy rozwiązań pośrednich, np. żeby sami mogli jakoś do nas się dostać.

Działaczka podkreśla: – Wracając do Polski, zawsze czuję olbrzymią wdzięczność za to, że mój dom znajduje się w bezpiecznym miejscu. Że moja rodzina ma dach nad głową i dostęp do lekarza. Na co dzień otoczeni jesteśmy przywilejami, które traktujemy jako coś oczywistego, ale prawda jest taka, że żyjemy w bardzo bogatej części globu.

Zdaniem Moniki Ślósarskiej świat jest pełen niesprawiedliwości i cierpienia, któremu łatwo można by zaradzić: – Mimo że jako ludzkość mamy narzędzia, aby zapobiegać wielu chorobom, nadal masy ludzi nie mają dostępu do tego, co w bogatszych częściach świata uznaje się za oczywiste. Ale cieszę się, że jako Lekarze bez Granic potrafimy stawiać czoła tej niesprawiedliwości – podsumowuje. – Działać, pomagać i sprawiać, że osoby nieuprzywilejowane mogą zmienić swoje życie na lepsze.

Dominika Tworek

eprasa.pl 7642fd1618

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Prawo i racja stanu

Dopiero teraz widać, co nam zrobiło PiS. Sąd Najwyższy 6 czerwca ub.r. uchylił postanowienie o umorzeniu postępowania w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, a 20 grudnia Sąd Okręgowy w Warszawie wydał wyrok prawomocny, skazujący ich na dwa lata bezwzględnego więzienia. Ponieważ osoba prawomocnie skazana nie może być posłem, mandaty poselskie Kamińskiego i Wąsika wygasły z mocy prawa. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia dokonał tylko stwierdzenia tego faktu.

I co? I nic. Zdawałoby się, że wszystko jasne. Ale Kamiński i Wąsik konsekwentnie nie uznają wyroku. Nie uznaje go też dr Duda, który deklamuje, że jego ułaskawienie z roku 2015 jest ważne. No jak to ważne, skoro nieważne? – można zapytać. Wszak tę nieważność stwierdził dwukrotnie (nie tylko w roku 2023, lecz i w roku 2017) Sąd Najwyższy, a potem – przez wydanie wyroku – także sąd okręgowy. Poza tym prezydencki akt łaski dotyczył wprawdzie tej samej sprawy, ale innego wyroku (tamten był surowszy). A mimo to dr Duda, nieuznający, jak widać, władzy sądowniczej, ostentacyjnie solidaryzował się z przestępcami i nawet udzielił im faktycznego azylu. Równocześnie zaś Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego stwierdziła, że Kamiński i Wąsik są nadal posłami. I znów można zapytać: jak to są, skoro nie są? Wiedzieliśmy, że Izba Kontroli nie jest sądem, ale ciekawe było ujrzeć ją w działaniu.

Mówi się, że w Polsce istnieją dwa systemy prawne. To nieprawda – pisze w „Polityce" Ewa Siedlecka – system jest jeden, a naprzeciw znajduje się bezprawie. Jarosław Kaczyński „zaminował" Polskę i w tym polu minowym nie wszystko da się zmienić w sposób niebudzący prawnych wątpliwości. Dr Duda uczestniczył kiedyś w zaminowywaniu, toteż i dziś stoi po stronie bezprawia. Dopiero ostatnio wszczął procedurę ułaskawieniową i zaapelował do prokuratora generalnego, by na czas jej trwania uwolnił osoby skazane. Ale jak w ogóle mógł pomyśleć o uwolnieniu kogoś na samym początku odbywania kary? Kogoś, kto nie tylko nie wykazuje skruchy, lecz do wyroku sądowego odnosi się z pogardą? A wyrok – przypomnijmy – został wydany w imieniu Rzeczypospolitej. Demonstrując taką postawę, Kamiński z Wąsikiem pogardzają w istocie państwem polskim, podczas gdy Duda jest tego państwa pierwszym obywatelem… „Mamy za prezydenta polityczny miks intelektu dziewięciolatka i ego mężczyzny w kryzysie wieku średniego", napisał prof. Marcin Matczak. I co? I nic. Bo pisowski prezydent trwa i pokazuje sprawczość.

Tymczasem 11 stycznia odbył się w Warszawie „protest wolnych Polaków". Nie wiemy, jaka była jego liczebność – 35 tys. czy 100 tys., bo chyba nie 300 tys., jak obwieszczał, zawsze tak samo prawdomówny, dr hab. Przemysław Czarnek. „Protest" był dla PiS sukcesem. Ale dla demokratów stanowił ostrzeżenie. Nieraz pisałem, że Kaczyński gotów jest podpalić Polskę, nie zdziwiłem się więc, że nadał „protestowi" oblicze nie tylko antyustrojowe, ale też antyunijne i – jak to on – antyniemieckie. Mówi się, że Kaczyński ma anachroniczne, XIX-wieczne rozumienie niepodległości, ale i to nie jest prawdą, bo motywacja jest tu bardziej przyziemna: zagospodarowująca autentyczne lęki polskich prowincjuszy przed Europą i autentyczną traumę antyniemiecką wyniesioną z historii Polski. Ale Europa jest od czasu chrztu Mieszka naszym domem, a w Niemczech od czasu Bismarcka i Hitlera zmieniło się wszystko. I co? I nic. Podgrzewanie nastrojów antyeuropejskich trwa. Komu służy? Integracja Unii Europejskiej jest – wobec wyzwań globalnych – koniecznością, a w naszym położeniu geopolitycznym stanowi wręcz esencję polskiej racji stanu.

Dobra wola to dla PiS jedynie przejaw słabości.

W chwili, gdy to piszę, zaczął się jeszcze jeden konflikt: o prokuratora krajowego. Zobaczymy, jak będzie się rozwijał, ale pewne jest jedno: nie wolno ustępować. Marszałek Hołownia w geście dobrej woli pozwolił kiedyś na uczestnictwo Kamińskiego i Wąsika w pracach Sejmu już po wygaszeniu im mandatów. I co? I nic. Dobra wola – to dla PiS jedynie przejaw słabości. Bo dopiero po geście Hołowni pogarda dla prawa i państwa rozszalała się na dobre. I ośmieliła pisowskiego prezydenta.

„Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość", pisał Julian Tuwim w czasie II wojny światowej, najcięższego dramatu w polskich dziejach. 70. rocznica śmierci poety niedawno po cichutku minęła, a dzisiejszy dramat jest i tak o ileż lżejszy. „Spokojnie, to tylko PiS", powiada Donald Tusk.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Ofiary gwałtów wojennych

W Bośni i Serbii sprawcy zbrodni wojennych pozostają na wolności, prowadzą normalne życie. Niektórzy są we władzach miast

Magdalena El Ghamari

Ferizaj, Kosowo, 2022

Aferditę po raz pierwszy spotkałam w Kosowie, latem 2013 r., dość dawno. Była jedną z nielicznych Kosowarek pracujących w amerykańskiej bazie Bondsteel. Obóz Bondsteel to główna amerykańska baza wojskowa pod nadzorem KFOR, znajdująca się w pobliżu miasta Uroševac w Kosowie. Baza służy obecnie jako natowska kwatera główna misji Multi-National Task Force (East).

Po raz pierwszy w Kosowie pojawiłam się w 2009 r., jeszcze jako studentka, podróżowałam wówczas swoim starym zielonym oplem „w gazie" po Bałkanach. Nie był to wyjazd, który wydawał się przełomowy, ale takim się stał. Nie podejrzewałam wtedy, że kiedykolwiek tu wrócę. Stało się jednak inaczej, a Kosowo zapisało się na kartach mojego życia jako trzecia ojczyzna, trzeci dom, gdzie mam przyjaciół i do którego uwielbiam wracać. Zapach powietrza, kiedy ląduję na lotnisku w Prisztinie, sprawia, że mam wrażenie, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała. (…) To czas powolnej obserwacji i szanowania bałkańskiego życia, z jego trudną historią i wieloma lokalnymi problemami. To moment przekraczania granicy (chyba już na każdej byłam), krótkie rozmowy z miejscowymi obserwatorami moich podróży, dowcip, bałkańska krew i temperament, wielkie stacje benzynowe Iliria oraz obraz pełnych kafejek i uzależnionych od kawy Kosowarów, śniadaniowa Speca me Mazë i najlepsza jagnięcina z pieca, i macchiato…

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy w Kosowie byłam turystycznie po tej krótkiej, czteroletniej przerwie; od 2013 r. pojawiam się tam nawet kilka razy w ciągu roku. Wyjątkowe, jeśli chodzi o częstotliwość, były lata 2015 i 2016, kiedy przy okazji zajęć na uniwersytecie w Prisztinie i szkoleń w jednostkach wojskowych z Kosowa praktycznie nie wyjeżdżałam. Miałam okazję wtedy odwiedzać nie tylko Bondsteel, lecz także inne podobne obiekty w Kosowie: Mitrowicę, Prisztinę, Nowo Selo, Camp Villaggio Italia czy Belo-Polje. Byłam świadkiem tego, jak Europa na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej buduje zasieki, a lokalni przewoźnicy za opłatą 50 euro podwożą cudzoziemców od miasta do miasta lub od granicy do granicy. Zanim jednak to nastąpiło, Kosowo wywalczyło sobie niepodległość – 17 lutego 2008 r.

Na marginesie, Libia również 17 lutego, ale 2011 r., zaczyna rewolucję, w której obala dyktatora Muammara Kaddafiego. 17 lutego – wyjątkowa data i niecodzienny zbieg okoliczności.

Aferdita miała ok. 50 lat i pracowała w kuchni, przygotowując, a w zasadzie odgrzewając gotowe już, przywiezione z USA posiłki dla amerykańskich żołnierzy. Poznałyśmy się w bazie (niewiele wówczas było kobiet) podczas jednej z przerw – jej w kuchni, a mojej w sąsiadującej sali wykładowej. Obie na tyłach stalowych kontenerów szukałyśmy cienia i spokoju, żeby wypić kawę. Nie wiem, kto wtedy bardziej się ukrywał, ale obie w tamtym momencie czułyśmy unoszące się w powietrzu zmęczenie i duchotę, jaka panowała wówczas w Ferizaju i okolicach. Myślała, że jestem Albanką, i nieskrępowanym przywitaniem *mirdit* zapytała w dialekcie kosowskim, jak się mam. Szybko przeszłyśmy jednak na język niemiecki, bowiem mój albański, mimo licznych prób nauki, dalej był na poziomie początkującym (nawet po latach nie jestem w stanie poprawnie skonstruować zdania, choć wiele rozumiem). Mogę tylko powiedzieć: istna katastrofa językowa. (…)

Aferdita, zresztą jak znaczna część Kosowarów z przeszłością migracyjną, uciekła do Niemiec, gdzie pracowała w małej restauracji, serwując dania regionalne. Tam też poznała swojego męża Albiona, z którym wróciła do kraju, licząc na lepszy los swojej ojczyzny. Z zarobionych pieniędzy początkowo założyli sklep właśnie w Ferizaju, niedaleko macedońskiej granicy. Albion prowadzi go w dalszym ciągu, a Aferdita znalazła swoje miejsce w amerykańskiej bazie, gdzie poszukiwano miejscowych kobiet do pracy w kuchni. Baza okazała się jednym z nielicznych miejsc, gdzie kobiety z pobliskich miast i wsi mogły znaleźć zatrudnienie za w miarę godne pieniądze, które uzupełniały skromny budżet domowy.

Dla młodych kobiet obóz to szansa, żeby poznać obcokrajowca i wyjechać z nim z Kosowa. Najlepiej do Stanów.

Zresztą baza to istne małe miasteczko – podczas jej budowy w 1999 r. spłaszczono dwa wzgórza i wypełniono dolinę między nimi, tworząc ogromny kompleks militarny. Znajdowały się na nim 52 lądowiska dla helikopterów, szpital, dwie siłownie i dwa budynki rekreacyjne

eprasa.pl 7642fd1618

Obóz Bondsteel to główna amerykańska baza wojskowa pod nadzorem KFOR, znajdująca się w pobliżu miasta Uroševac w Kosowie.

z telefonami, komputerami, stołami bilardowymi, grami wideo, boiska do softballu i piłki nożnej. W kompleksie Bondsteel były również: kaplica z różnymi usługami i zajęciami religijnymi, jeden duży obiekt gastronomiczny, remiza strażacka, posterunek żandarmerii wojskowej, dwa bary cappuccino, Burger King, Taco Bell i pizzeria Anthony's Pizza, a także zakład fryzjerski, pralnia, krawiec oraz przeróżne małe sklepiki miejscowych obywateli, którzy sprzedawali pamiątki i produkty z Kosowa. Służyli w niej nie tylko Amerykanie, ale również oddziały z Grecji, Włoch, Finlandii, Węgier, Polski, Słowenii, Szwajcarii i Turcji. Sztucznie stworzone miasto, które mogło pomieścić nawet do 7 tys. żołnierzy, zatrudniało kilkuset okolicznych mieszkańców, w tym pomoc kuchenną – Aferditę.

Nasza znajomość przez kolejne lata owocowała wieloma spotkaniami – bywałam w jej domu w Ferizaju i stałam się jedną z bliskich osób w jej rodzinie, uczestnicząc w ślubach, pogrzebach oraz licznych uroczystościach religijnych. Mimo że nie należała do bardzo religijnych osób, utożsamiała się z islamem i stosowała zwroty muzułmańskie, podkreślające jej przynależność religijną. Z czasem zobaczyłam, że jest to jej forma przynależności społecznej oraz odpowiedzi na los, jaki ją spotkał w czasie wojny na Bałkanach.

Nigdy nie pytałam o jej historię i nie zadawałam trudnych pytań. Czułam się jak daleka krewna, która z każdą wizytą w Kosowie musiała się u niej pojawić. Jeśli była okazja, często zbaczałam z drogi, żeby spędzić kilka godzin z Aferditą i okazać jej taki sam szacunek, jaki ona okazywała mi przez lata znajomości. Odczuwała pewnego rodzaju dumę w związku z tym, że przyjeżdżam do Kosowa, że rozumiem jej kraj i kocham go jak swój własny.

Rozmawiałyśmy o problemach społecznych, bezrobociu młodych, o pracy w bazie oraz o tym, co się dzieje w polityce Kosowa. Temat wojny – czarnej plamy na ludzkim honorze oraz jej konsekwencji – nigdy nie pojawiał się w naszych rozmowach. Nie czułam też nigdy z jej strony goryczy, smutku ani sentymentów do dawnych czasów. Tak jakby ten rozdział w jej życiu nigdy się nie wydarzył. I tak było do 2015 r., kiedy mówiło się tylko o migracji, kiedy Europejska Forteca stała się rzeczywistością, a młodzi Kosowarzy dołączyli do szlaku bałkańskiego, licząc na ucieczkę i lepsze życie – głównie w Niemczech. To obudziło w niej wspomnienia i tego wieczoru chyba chciała, żeby jej głos ktoś usłyszał. Mimo że wiedziała, że bywam w Bośni, znam Banja Lukę, Mostar czy Sarajewo i aplikuję na jedną z uczelni na staż w kolejnym roku, nie wspominała o swoim starym życiu.

Był maj 2015 r., a ja, na chwilę zatrzymując się w Ferizaju, w drodze do serbskiego Sandżaku, opowiedziałam Aferdicie o swojej nowej znajomej Kosowarce, która jako piosenkarka, a obecnie aktywistka oraz działaczka walczy o prawa kobiet z regionu i wybiera się z grupą kobiet z Kosowa do sądu w Sarajewie, by dać świadectwo tego, co ich spotkało w trakcie wojny.

Nigdy nie zapomnę twarzy, jaką miała wówczas Aferdita. Zobaczyłam, jak z tej uśmiechniętej, dobrej kobiety wylewają się złość i agresja. Nigdy nie widziałam jej takiej. Na jej twarzy pojawił się grymas bólu, miałam wrażenie, że ona sama zaraz albo ucieknie, albo zemdleje. Albion, widząc swoją żonę, szybkim krokiem opuścił mieszkanie, tak jakby wiedział, że zaraz wydarzy się coś, czego nie chce widzieć i słyszeć. Postawił na stoliku rakiję i czym prędzej wyszedł. Takiego obrotu spraw się nie spodziewałam, a tym bardziej alkoholu w ich domu. Nigdy też nie widziałam, żeby Aferdita (lub ktokolwiek z jej rodziny) piła alkohol.

– Wiesz, że te kobiety są bohaterkami? – zapytała.

– Nigdy nie będę w stanie postawić się na ich miejscu, ale wiem – są bohaterkami.

– Nie każda z nas ma tyle siły – dodała bardzo smutno. – Ofiary gwałtów i tortur… Słyszałaś o obozach gwałtów?

– Tak, Aferdito, chociaż przyznam, że ten temat jest dla mnie tak trudny, bolesny, że unikam nawet czytania o tym książek. Zresztą po tym, co wydarzyło się w Libii, moja zimna krew odpłynęła. Nie jestem w stanie… porównuję i zastanawiam się, jak to wszystko jest możliwe, dlaczego…

– W Libii też są obozy gwałtów? – zapytała tak, jakby ta informacja miała jej dać poczucie ulgi.

– Tak, gwałt to najlepszy sposób kontroli, upokorzenie, hańba, zniewaga. W czasie kiedy doszło do libijskiej rewolucji, dyktator Muammar Kaddafi robił, co mógł, by upokorzyć libijskie społeczeństwo.

– Co to znaczy?

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 7642fd1618

– To znaczy, że przy pomocy swoich najemników, głównie z Afryki, nie tylko zabijał, ale też robił coś znacznie gorszego… gwałcił Libijczyków, nie tylko kobiety, ale i mężczyzn. Funkcjonował nawet cennik, za co i ile najemnik może dostać za zbrodnie na Libijczykach – ile dostanie za gwałt, za gwałt na oczach rodziny, za zabójstwo ciężarnej kobiety, za gwałt na mężczyźnie. Najemnikom rozdawano nawet środki na popęd seksualny dla zwierząt…

– Nie wiedziałam, że to się działo w Libii…

– Tak, Aferdito, i to teraz, w tych czasach, tak jak wiele innych złych rzeczy. A słyszałaś o amazonkach? Pięknych kobietach gwardii przybocznej Kaddafiego?

– Tak, oczywiście, z tym zresztą go kojarzę. Wolne, silne kobiety – amazonki.

– Nie, nie porównuję wydarzeń, ale to taki chichot historii. Zawsze chciałam zapomnieć nawet o tym sformułowaniu „obóz", a teraz widzę i słyszę go codziennie… Kiedyś nazywano Bondsteel mniejszą wersją Guantanamo, ale jak było, tego nie wiem. To moje miejsce pracy i jedyna szansa na zarobek. Mamy określony regulamin i tak naprawdę każdy chce tu pracować. Dla młodych kobiet to też szansa, żeby poznać obcokrajowca i wyjechać z nim z Kosowa. Najlepiej do Stanów. Są skłonne zrobić wszystko, żeby tylko się wyrwać. A mężczyźni korzystają i wyjeżdżają z kolejną dziewczyną, zostawiając nadzieje młodych kobiet w Bondsteel lub jakiejkolwiek innej bazie.

– Każdy sposób na ucieczkę jest według nich dobry, a to bezrobocie – 50%, tak? – jeszcze temu sprzyja.

Przez lata prawa dzieci urodzonych z gwałtu podczas wojny w latach 1992–1995 były tematem ignorowanym.

– No widzisz, nie do końca tak było. To tylko propaganda. Tak naprawdę były to porywane ze szkół najładniejsze dziewczynki, według określonego klucza – wyglądu i wzrostu. Nie miały żadnych umiejętności bojowych, wręcz przeciwnie. Dla świata były to amazonki, a dla najemników – kobiety, z których można było skorzystać w sposób seksualny. Często bite, gwałcone i właśnie przez hańbę nie miały już powrotu do swoich rodzin, rzadko kiedy nawet uciekały, bo nie miały gdzie. Nic nie jest takie, na jakie wygląda, a nasze czasy, zresztą jak każde inne, są okrutne i ślepe na to, co się dzieje dookoła.

– Nas, kobiety z Bałkanów, również to spotkało, ale nikt nie mówi o nas jak o amazonkach.

– Każda z nich jest bohaterką i amazonką, Aferdito, każda bez wyjątku.

– Tak, masz rację. Zresztą zobacz, jaki paradoks, niegdyś ja byłam w takim obozie, a teraz dobrowolnie pracuję w innym, ale też obozie.

– Aferdito, chyba nie ma takiej możliwości, żeby to porównywać!

– Widzisz, fizycznie jeszcze nie pozbieraliśmy się jako młody naród, a już politycy nami kierują i wpychają w kolejną klatkę, kolejny obóz, i tak na okrągło. Jak twoja znajoma ma na imię?

– Fatma.

– Muzułmanka – zauważyła Aferdita.

– Tak, rodowita z Bośni. Z tego, co wiem, została zmuszona po gwałcie w Bośni do małżeństwa, a potem uciekła do Szwajcarii i już nigdy do Bośni nie wróciła. Wybrała Kosowo jako miejsce, które jest siedzibą wielu organizacji międzynarodowych, w tym licznych aktywistów.

– Tak, tu się dużo dzieje, i dobrze. Młodzi powinni o tym wiedzieć. Dzięki temu budują swoją tożsamość i łatwiej jest im zrozumieć historię. Ale jak zrozumieć to, co spotkało nas, kobiety? Do dziś te, które się przyznają publicznie, co przeżyły, naznaczone są stygmatem. Są izolowane, niechciane. Lepiej nie mówić.

– To znaczy uważasz, że aktywność Fatmy jest bezcelowa?

– I tak, i nie, ona walczy też o swój spokój ducha. Ja bym tak nie potrafiła. Dla mnie spokojem ducha jest niewiedza ludzi, którzy mnie otaczają. W innym wypadku pojawiają się dziennikarze, chcą kręcić programy, odwiedzają cię obcy ludzie, a sąsiedzi zaczynają plotkować. A później wyjeżdżają, zapominają, a ty zostajesz z tym rozgrzebanym syfem w swojej głowie i w domu. To niszczy rodzinę. A mnie udało się ją zbudować, mimo doświadczeń lat 90., które są nie do opisania. Tak jak to, co mówiłaś o Libii… Chyba nie chcesz wiedzieć o tym wszystkim, co ja widziałam i czego doświadczyłam.

Aferdita dużo mówiła o bezkarności, o tym, że właśnie wymazała swoją historię z własnego życia. Albion zna jej losy, ale nigdy nie dopytywał, a poznali się już po wojnie.

– Miałam dużo szczęścia.

– Tak – żyjesz.

– I nie zaszłam w ciążę. Wiesz, jak dużo żyje tu dzieci wojny? Wszystkimi musiały zająć się kobiety, bez względu na to, czy chciały mieć dzieci, czy nie… wizja gwałtu i narodzone dzieci – tego nie da się wytłumaczyć. Co więcej, bezkarność gwałtów stała się bardzo powszechna. Tu, w Kosowie, na szczęście tego nie ma, ale w Bośni i Serbii tak – sprawcy pozostają dalej na wolności, prowadzą normalne beztroskie życie. Niektórzy są we władzach miast. Przez lata tożsamość, pochodzenie narodzonych dzieci było ukrywane przez nas same – matki. Przez lata prawa dzieci urodzonych w wyniku gwałtu podczas wojny w latach 1992–1995 były tematem ignorowanym. Obojętność i tabu wokół tego sprawiły, że wiele z nich czuje się „zapomnianych". Niestety nie ma oficjalnych danych o dokładnej liczbie tych dzieci, ponieważ nie prowadzono rejestrów ich narodzin, tak samo jak nie oferowano im żadnego wsparcia. Możesz sobie to wyobrazić? *Gezuar**, Magdalena, napijmy się – zaproponowała.

– *Gezuar*, Aferdita.

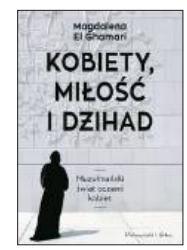

* Na zdrowie (po albańsku).

Fragmenty książki Magdaleny El Ghamari *Kobiety, miłość i dżihad. Muzułmański świat oczami kobiet*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2023

eprasa.pl 7642fd1618

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Światło i cień

Nigdy nie zgaśnie mój podziw dla prac krakowskiej szkoły historycznej. Wszystko, o czym myślę, wydarzyło się po upadku powstania styczniowego, gdy rozpacz stawała się dumą, a duma rozpaczą. Czy można wyjść z cienia przegranych bitew? Odpowiedź nadeszła z Krakowa – w kręgu znakomitości, w gronie polityków, profesorów, publicystów, dojrzewała refleksja wkraczająca na tory trzeźwego namysłu, ustanawiającego nowy obraz „dziejów ojczystych", jak rzec można, składając hołd podręcznikowej emfazie. Rodziły się nowe oczekiwania. Tyle że nie miały one nic wspólnego z uderzeniami mesjanistycznej gorączki, którą rozbudził romantyzm, stawiając na najwyższym szczeblu gotowość do straceńczej walki.

W Krakowie powstała teoria „samozawinionego upadku", nakładająca na myśl patriotyczną obowiązek rachunku sumienia. Zastanówmy się – jakiej to wymagało odwagi! Na tle kolejnej klęski, którą nasza martyrologiczna pycha pozwalała widzieć jako zwycięstwo, zdecydowano się mówić – jak to robił Józef Szujski – o fatalnym balaście nieprzemyślanych win, o anarchiczności polskiego charakteru. „Teka Stańczyka" poddawała palącej ironii „tromtadrację", a więc zgiełkliwy patos i szaleńczy brak zastanowienia. Kontekst ironii wyznaczało ważne pytanie – jak głęboko tkwią w nas ciernie destrukcyjnej samowoli? W dawnej Rzeczypospolitej mieliśmy liberum veto, w wieku XIX zasadę liberum conspiro, oznaczającą, że każdy może, w każdej chwili, założyć konspirację i zbuntować się dla „sprawy". Ks. Walerian Kalinka, najwybitniejszy historyk Sejmu Wielkiego, przedstawiał zuchwałą pogardę wobec władzy jako grzech przeczący majestatowi stworzenia, domagający się skruchy i odkupienia.

Kraków stał się ogniskiem myśli zmieniającej trajektorie polskiej polityki. Niestety, nie na zawsze, nie na długo. Gorączka romantyczno-martyrologiczna jest przypadłością wymagającą permanentnej terapii. W ostatnim czasie, widać to wyraźnie, odstawiono jednak wszelkie medykamenty. Znów rozbrzmiewają „tromtadrackie" refreny. Narodowa duma karmi się pamięcią przegranych bitew. Polską polityką zawładnął kult powstania warszawskiego. Jeszcze kilkanaście lat temu można było zastanawiać się nad różnymi interpretacjami tej wielkiej tragedii, ważyć racje, przypominać głosy krytyki. Niestety, dziś wszelki namysł odchylający się od linii martyrologicznej ekstazy byłby przyjęty jako świadectwo zdrady. Fatalny styl polskiej polityki utrwalił się, brnie ona w zaułki uniesień, w których snują się widma spraw przegranych i entuzjazm rzeczy niemożliwych.

Nie pomogła teza Szujskiego – przedstawiona w artykule „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej polityki" (powinni się z nim zapoznawać wszyscy polscy maturzyści).

Upajamy się afrodyzjakami historycznego zakłamania, wywołującymi nieustanną i niebezpieczną egzaltację. Ubóstwiamy fałszywą historię – nauki Szujskiego poszły w las.

Jaki sens ma ipeenowska wersja „prawdy historycznej"? Epizody z udziałem „żołnierzy wyklętych" jako oś polskich dziejów? Kto przyjmie ten absurd? Jaki sens ma szkalowanie historii PRL, uparte wypieranie przeszłości, odurzanie się fantazmatami pogardy i nienawiści, pozwalające odwracać wszelkie sensowne oceny historyczne i uprawiać destrukcyjną w istocie politykę zakłamania? Fałszywa historia z herbem IPN ma się znakomicie – polityka historyczna (czy może histeryczna?) podporządkowana została całkowicie programowi absurdalnej, karykaturalnej, zawziętej jednostronności. „Pamięć narodowa"? Czy nie ma w niej miejsca dla tych, którzy odbudowali kraj z ruin, uruchomili uniwersytety, teatry i szpitale? Czy kształt polskiej historii rzeczywiście określiły działania „żołnierzy wyklętych"? A może jednak wypada uczcić pamięć tych, którzy przelali krew na polach autentycznych bitew? Jak długo można wysłuchiwać bredni o „polskojęzycznych" oddziałach idących ze wschodu? Jak bardzo można przeinaczyć sens dziejowych wypadków?

> Na kanwie fałszywej historii rodzi się fałszywa polityka.

A ma to wszystko konsekwencje – na kanwie fałszywej historii rodzi się fałszywa polityka. Antykomunizm stał się postumentem ślepej wiary, fałszywą „cnotą" zwalniającą z obowiązku myślenia. Powstaje w ten sposób przerażający bezwład światopoglądowy – wpływa to na politykę wewnętrzną, ale także międzynarodową. „Patrioci" wciąż obalają „komunę" i wciąż walczą z „sowietami". Dokąd nas to zaprowadzi?

Najśmieszniejsze jest to, że „nieprzejednani", wznoszący swoją heroiczną pieśń potępienia, są – tak czy inaczej – beneficjentami (dotyczy to także najwyższych szczebli władzy) peerelowskiego awansu społecznego. Kim byli ich rodzice? Naftowymi baronami z Teksasu? To nie żaden przytyk – po prostu stwierdzenie faktu. Czy oni wszyscy są naprawdę dziećmi krzywdy dziejowej? Czy już do końca dni swoich śpiewać będą „Wyklęty powstań ludu ziemi"? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Badanie pośmiertne Stanisława Pyjasa

Przede wszystkim pod uwagę braliśmy upadek z wysokości. Na ciele nie było żadnych znaków, które znamy i które badaliśmy w sytuacjach zabójstw z pobicia

Jan Kołodziej*

Praca w Zakładzie Medycyny Sądowej polega na tym, że lekarze asystenci są do dyspozycji prokuratury i policji całą dobę, natomiast w zakładzie zawsze jest laborant, który może przyjąć zwłoki o każdej porze dnia i nocy. Tak było w latach 70. i tak jest nadal. Zwłoki – z wypadków drogowych, zabójstw, samobójstw, z ulicy, ciała zmarłych w tramwaju czy w innym miejscu publicznym oraz zmarłych w domu, których zbadanie zleciła prokuratura – trafiają do zakładu. Obecnie ciała przewożą firmy pogrzebowe, dawniej przywoziło je pogotowie ratunkowe.

Do spraw poważniejszych angażuje się ekipę z policji – wcześniej milicji – na której czele stoi prokurator. Często wzywa się również medyka sądowego i tym samym pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej bywają zapraszani do udziału w takiej ekipie. Najgorzej, jak dzieje się to w nocy – zdarzało mi się to wiele razy – bo wtedy przyjeżdża radiowóz i zabiera człowieka z domu. Ale akurat w ten sobotni ranek byłem już na dyżurze. Za czasów Gierka pojawiły się pojedyncze wolne soboty i właśnie w taką sobotę ja i Barbara Próchnicka mieliśmy dyżur.

Kiedy tamtego ranka znaleziono na Szewskiej zwłoki, milicja powiadomiła sekcję zabójstw, że w bramie leży młody człowiek, ale nikt nie wie, kim on jest. Więc milicja – o ile pamiętam, prokuratora przy tym nie było – poprosiła o przyjazd na miejsce również medyka sądowego. Ponieważ byłem na dyżurze, więc przyjechali po mnie i zabrali mnie do tej bramy na Szewską. Oczywiście nie wiedzieli, kogo zastaną w Zakładzie Medycyny Sądowej; chodziło im o udział medyka sądowego. Zasada była taka, że na kogo wypadnie, ten jedzie.

Na miejscu znalezienia zwłok obejrzałem i zbadałem ciało. Było jeszcze ciepłe. Ustaliliśmy wstępnie czas śmierci na godziny wczesnoranne. Sporządzony został protokół, w którym zaznaczyłem, że być może ciało zostało przesunięte. Nie byłem jedynym, który badał czy poruszał zwłoki; pierwszym był lekarz pogotowia, który musiał się zorientować, czy ma do czynienia z człowiekiem żywym, czy już nieżyjącym. Po opisaniu stanu rzeczy zapadła decyzja, że nie będziemy robić sekcji tego samego dnia. I na tym się rozstaliśmy.

Wróciłem do zakładu. Po godzinie zadzwonił oficer milicji, który był na miejscu znalezienia ciała, i powiedział, że zadanie jest jednak pilne, bo ktoś w związku z nim ma przylecieć z Warszawy. Nie wiedział, kto i dlaczego. Po tym telefonie sprawa nabrała wagi. Zrozumieliśmy, że wymaga specjalnego wyjaśnienia, bo być może w grę wchodzi zabójstwo.

W takich sytuacjach panowała zasada, że badanie pośmiertne przeprowadza dwóch obducentów, a nadzoruje je szef zakładu lub ktoś przez niego wyznaczony i odbierający sekcję. Praktycznie za efekt badania pośmiertnego odpowiadają trzy osoby. Ustaliliśmy więc, że przeprowadzę sekcję razem z koleżanką, Barbarą Próchnicką, a będzie ją nadzorował i odbierał zastępca szefa, docent Kazimierz Jaegermann, bo szefa – prof. Zdzisława Marka – nie było wówczas w Krakowie. Docent Jaegermann nie przebywał cały czas na sali sekcyjnej, ale widział ciało i znał wszystkie szczegóły, bo protokół pisany był na sali w trakcie wykonywania badań.

Przed sekcją robimy dokumentację fotograficzną i opisową. Po nie robi się już nigdy dokumentacji fotograficznych. Sekcja – zwłaszcza w przypadku badania rozszerzonego – wiąże się z równoczesnym przeprowadzeniem wszystkich dodatkowych badań, natomiast decyzje o potrzebie ich wykonania podejmujemy w trakcie. W przypadku badania pośmiertnego Stanisława Pyjasa pobrany został materiał z narządów wewnętrznych do badań mikroskopowych i chemicznych, bo ich wyniki rzutują później na konkluzję, co było przyczyną śmierci. Oczywiście pobraliśmy krew i mocz do badań na zawartość alkoholu. To wszystko odbywa się w trakcie sekcji i nigdy nie ma potrzeby, aby wracać później do badań bezpośrednio na zwłokach zmarłego. Zawsze tak było i tak jest obecnie. Dlatego po zakończeniu sekcji ciało może zostać od razu wydane rodzinie.

> Sekcja trwała dość długo, bo poza opisem obrażeń odsłanialiśmy tkanki skórne twarzy, żeby sprawdzić ewentualne obrażenia kostne twarzoczaszki.

Sekcja Pyjasa trwała dość długo, bo poza opisem obrażeń – a te

eprasa.pl 7642fd1618

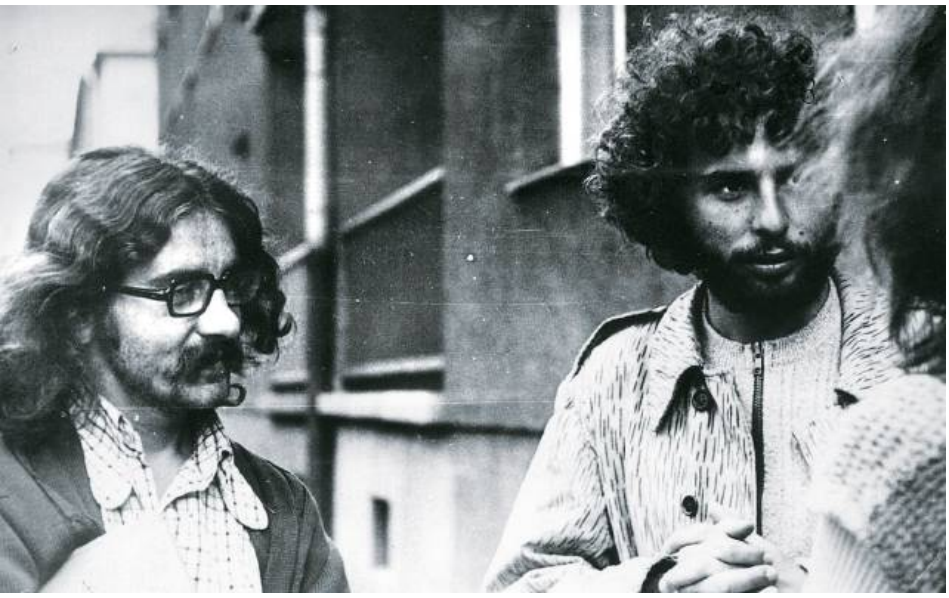

Stanisław Pyjas i Bronisław Wildstein.

widoczne były głównie na głowie i twarzy – robiliśmy badania poszerzone i odsłanialiśmy tkanki skórne twarzy, żeby sprawdzić ewentualne obrażenia kostne twarzoczaszki. Te poszerzone badania zawsze trwają dłużej. Zostały one przeprowadzone nie tylko z uwagi na to, że przed sekcją zasygnalizowano nam ważność tego badania pośmiertnego, ale również z powodu lokalizacji obrażeń.

W sytuacjach kiedy musimy przeprowadzić badania kości twarzoczaszki, robi się wszystko, aby zbytnio nie okaleczyć ciała, bo rodzina, odbierając zwłoki, musi je zobaczyć i rozpoznać. Jesteśmy fachowcami i staramy się nie zdeformować i nie zniekształcić ciała, ale badanie musimy wykonać. Oczywiście jednak – delikatnie mówiąc – nie da się nie zniekształcić twarzy, ponieważ takie badanie odbywa się w sposób dość brutalny – zwłaszcza przy rozszerzonym zakresie – i nie ma na to innego określenia. Wygląd zwłok po sekcji na pewno nie odpowiada wyglądowi wcześniejszemu. Mówię o tym bardziej szczegółowo, bo Bronisław Wildstein przyszedł do zakładu parę godzin po sekcji i na podstawie wyglądu twarzy – podkreślam, że do pewnego stopnia zniekształconej – wysnuł swoje teorie.

Badania pośmiertne skończyliśmy przed godziną trzecią i opuściliśmy zakład. Pozostał laborant, który pełnił dyżur 24-godzinny. On był w tym czasie jedynym obecnym tam pracownikiem, a jego zadanie polegało na przyjmowaniu zwłok i wydawaniu ich rodzinie, która mogła zabrać ciało o każdej porze, w zależności od zorganizowanego transportu. Prosimy naszych laborantów – zresztą oni to wiedzą – aby przy pokazywaniu czy wydawaniu zwłok zachowywali się delikatnie w stosunku do osób, których dotknęła tragedia. Wildstein podał się za rodzinę i dlatego laborant pokazał mu zwłoki. To musiało być w późnych godzinach popołudniowych lub nawet wieczornych.

Sekcja Stanisława Pyjasa została przez nas uznana za specjalną z uwagi na to, że pojawiła się prośba o przeprowadzenie jej tego samego dnia, czyli w sobotę, a nie, jak wcześniej zostało ustalone, w poniedziałek. Nie poinformowano nas dlaczego. Oficer milicji, który prowadził to śledztwo i był na Szewskiej, ustalił tam ze mną, że badanie pośmiertne zrobimy w poniedziałek, po czym został zobligowany i poproszony o to, aby zmienić decyzję i nadać temu badaniu rangę specjalnego. Przyspieszenie sekcji nakazały mu jego władze. W takich sytuacjach nigdy nie są ujawniane personalia, więc nawet gdybym znał tego funkcjonariusza bliżej niż tylko zawodowo, nie mógłbym się dowiedzieć, kto podjął tę decyzję. Przy tym nikt z prokuratury czy milicji nie sugerował ukrywania czegokolwiek. W grę wchodziło szukanie wszystkich ewentualności pozwalających ustalić przyczynę śmierci – w takiej sytuacji liczył się każdy szczegół.

Przeprowadzając tę sekcję, miałem już kilkunastoletnie doświadczenie, byłem po wszystkich specjalizacjach i posiadałem doktorat. Już wiele rzeczy widziałem, więc byłem dobrze przygotowany do tego typu badania pośmiertnego. Na pewno ten przypadek nie sugerował prostego rozwiązania, bo w takich sytuacjach nigdy nic nie jest proste. Jednak przede wszystkim pod uwagę braliśmy – bo wiele na to wskazywało – upadek z wysokości. Każda z trzech osób, które widziały i badały te zwłoki, skłaniała się ku temu wyjaśnieniu. Na ciele nie było żadnych znaków, które znamy i które badaliśmy w sytuacjach zabójstw z pobicia. Ale oczywiście nikt nie sugerował, że wszystko jest tu proste. Jasne sprawy pojawiają się tylko w kryminałach, kiedy medyk sądowy kończy oględziny i mówi, że zgon nastąpił o godz. 8.15 wskutek uderzenia jednym ciosem tu, a drugim tam.

W przypadku bójki urazy pojawiają się w różnych miejscach i na różnych powierzchniach. Jeśli chodzi o Pyjasa, obrażenia były zlokalizowane po jednej stronie i właśnie takie mogły najprawdopodobniej powstać przy upadku i uderzeniu o twarde podłoże. Oczywiście nie da się jednoznacznie stwierdzić, że tego typu urazów nie można zadać czynnie w innych okolicznościach. To jest życie i biologia – to jest człowiek. Ten sam cios zadany dwóm różnym osobom nie zostawia takiego samego śladu, i to nie są sprawy, przy których można powiedzieć, że było na pewno tak, a nie inaczej. Wszystko zależy od siły i kąta uderzenia. Nie ma idealnych spraw niepodlegających wątpliwościom. Zawsze robimy

Nikt z prokuratury czy milicji nie sugerował ukrywania czegokolwiek.

FOT. IPN

eprasa.pl 7642fd1618

dokumentację fotograficzną i opis badania. Dopiero późniejsza analiza wyników i wniosków z miejsca znalezienia ciała oraz późniejsze porównania – czy takie lub inne fakty mogły mieć tu miejsce – pozwalają na przyjęcie takiego czy innego wyjaśnienia. W tym przypadku obraz najbardziej odpowiadał urazom, które powstają w następstwie upadku i uderzenia o twarde podłoże.

Nasze badanie pośmiertne było o tyle ułomne, że w tamtych latach nie dysponowaliśmy tomografią komputerową, która przy drugiej sekcji ujawniła złamania kości w okolicach biodra, też mogące mieć związek z upadkiem. Tego nie dało się wykryć za pierwszym razem. Ślad pękniętej kości nie był w żaden sposób widoczny. Poszerzony zakres obejmował wówczas przede wszystkim widoczne ślady po urazie twarzy.

* Tekst ułożony przez Marię Annę Potocką na podstawie rozmowy.

Od redakcji:

Wnioski z sekcji przeprowadzonej w 1977 r. – uznające upadek z wysokości za najbardziej prawdopodobną przyczynę śmierci – potwierdziła analiza materiału zabezpieczonego podczas ekshumacji zwłok Stanisława Pyjasa w 2010 r. Protokół z dnia 28 stycznia 2011, obejmujący 101 stron, podpisało sześcioro niezależnych biegłych z różnych miast Polski.

Jest on dostępny w Instytucie Pamięci Narodowej.

Stwierdzono w nim m.in.: „Materiał dowodowy, z sądowo-lekarskiego punktu widzenia, świadczy o tym, że obrażenia stwierdzone u Stanisława Pyjasa powstały w wyniku upadku z wysokości, do którego doszło w miejscu znalezienia zwłok" (s. 74). A dalej: „Wyjściową przyczyną zgonu był upadek z wysokości w stanie znacznego upojenia alkoholowego. W jego wyniku doszło do powstania wymienionych wyżej obrażeń, w tym mózgu, skutkujących utratą przytomności. Zasadniczą przyczyną zgonu było uduszenie, na co wskazuje ostre rozdęcie płuc stwierdzone w badaniach pośmiertnych".

Jan Kołodziej (1940) – jeden z dwojga patologów, którzy pod nadzorem Kazimierza Jaegermanna przeprowadzili 7 maja 1977 r. sekcję Stanisława Pyjasa. Od 15 lat na emeryturze. Pozostaje w stałym kontakcie z Zakładem Medycyny Sądowej. Od czasu do czasu nadal przeprowadza badania pośmiertne. Głównie zajmuje się opiniowaniem błędów w sztuce lekarskiej.

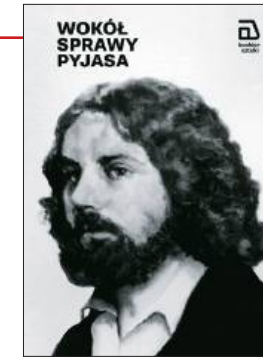

Fragment książki *Wokół sprawy Pyjasa*, red. Anna Maria Potocka, Wydawnictwo Bunkier, Kraków 2021

***Tygodnik Studencki ITD – refleksje historyczne,* redakcja naukowa Sławomir Rogowski, Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Warszawa 2023**

Trzy dekady „ITD"

Ukazuje się coraz więcej prac pozwalających spojrzeć na różne aspekty PRL w sposób odbiegający od czarno-białych schematów. Do takich książek należy niewątpliwie „Tygodnik Studencki ITD – refleksje historyczne", publikacja Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, będąca w przeważającej części pokłosiem konferencji zorganizowanej w ubiegłym roku. Przynosi ona dwa rodzaje materiałów. Pierwszy to klasyczne artykuły naukowe. Traktują one o dziejach wydawniczych „ITD" i problematyce kultury studenckiej na jego łamach (Magdalena Żmijkowska), wywiadach jako gatunku dziennikarskim i wyrazie poglądów społeczno-politycznych dziennikarzy i ich rozmówców (Sławomir Rogowski – zarazem redaktor naukowy całości) czy ogólnym charakterze pisma łączącego cechy tygodnika opinii i ilustrowanego magazynu (Tomasz Mielczarek). Próbę oceny „ITD" z dzisiejszej perspektywy („wyjątkowa instytucja tożsamościowa") podjął Jacek Wasilewski, natomiast Jacek Raciborski analizował rolę ruchu studenckiego i „ITD" w kształtowaniu klimatu politycznego ostatnich dekad PRL, konkludując: „Demokracja polska wiele zawdzięcza elitom studenckim lat 70. i 80. Niestety, elity te, z różnych powodów, nie są dziś aktywne w polskiej polityce, zatem mamy to, co mamy".

Rozważania naukowe uzupełnione są wypowiedziami byłych dziennikarzy „ITD" – w tym byłych redaktorów naczelnych, Aleksandra Kwaśniewskiego i Jana Rurańskiego, oraz Marty Sztokfisz, autorki książki „Na studenckich papierach. Opowieść o ludziach »itd«". W gronie byłych dziennikarzy tygodnika, ale z udziałem kilku ekspertów, toczyły się na wspomnianej konferencji dyskusje panelowe o „ITD" w rzeczywistości społecznej i politycznej jego czasów (Waldemar Siwiński, Maciej Hoffman, Marek Siwiec, Piotr Gadzinowski), problematyce cywilizacji, nauki i kultury na łamach pisma (Wojciech Kaczorowski, Krzysztof Mroziewicz, Andrzej Mleczko, Henryk Sawka, Stanisław Zawiśliński) oraz znaczeniu fotografii w „ITD" (Wojciech Jędrzejewski, Anna Musiałówna, Krzysztof Wójcik, Paweł Żak, Janusz Fogler, Krzysztof Gierałtowski).

Takie połączenie głosów ludzi nauki i dziennikarzy stworzyło dynamiczny, wielobarwny (tym bardziej że książka zawiera wiele ilustracji) portret pisma, które z jednej strony wyrażało, a z drugiej kształtowało postawy młodej inteligencji w ciągu trzech dekad jego istnienia. *(lk)*

eprasa.pl 7642fd1618

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

„Terror praworządności” – serial na faktach autentycznych

Żyjąc w epoce seriali, oglądając tasiemcowe, kolejne sezony najrozmaitszych produkcji, nie można zanadto się dziwić, że życie samo, a to polityczne tym bardziej, postanowiło ich sukces naśladować, wziąć je za wzór i odgrywać się na filmowych zasadach. Trwający od kilku miesięcy (a najpełniej od grudnia) seans może niektórych z nas zwodzić. Nie jest jednoznacznie czytelny gatunek zaserwowanej nam – chyba, mimo wszystko – rozrywki. Dramatu nie ma, do tragedii jeszcze trochę, zagadki są, ale łatwiutkie. Sejmflix, jak zwie się fenomen popularności transmisji sejmowych obrad, już wkrótce zaoferuje, brazylijskie w formie, a komisyjne w treści, poszukiwania prawdy o Pegasusach, wyborach kopertowych czy aferze wizowej. Dramat parlamentarny jako polska spécialité de la maison – kino normalnego przewrotu. Nie ma tu najbardziej dokuczliwej przywary polskich filmów – marnego dźwięku. Posłowie tak się drą (przy włączonym czy wyłączonym mikrofonie, bez znaczenia), że nawet jak nic nie można zrozumieć, to widać, że słychać, tak to się niesie. Mamy nowych i starych gwiazdorów (grzeczny Szymon, nie bacząc na kościółkowe tęsknoty, diabolicznie dyryguje ruchem myśli, ciał i słów, wykluczeń, udzieleń, wygaśnięć), rozsiadają się niedbale nieruchome dekoracje jak z dawnej, statycznej telewizji (byli posłowie Kamiński i Wąsik jak z zabytkowej, styropianowej tektury), występy gościnne (żony byłych parlamentarzystów) żenują, nie wywołują łez, nie budzą współczucia ani nawet chęci podkręcenia paniom termostatu.

Nie burzę się, że ten sezon będzie się toczył pod hasłem nie polskich spraw, ale porządków poaugiaszowych. Stary, samotny Augiasz szybuje wysoko i naprawdę niezależnie, bez kontaktu z ziemią i niebem, rano, wieczór, we dnie, w nocy. Niech leci. Tutaj, między nami, kiedy dzierżył tę swoją wypełnioną żółcią nienawiści buławę wszechwładzy, był już trudny do przyjęcia.

Gdybym jednak miał określić dominujący gatunek filmowy, na tym etapie emisji byłby to miks komedii slapstickowej ze skandynawskim kinem kryminalnym na wesoło, gangolsenowo. Prezencja niezłamnego (niezłamny, bo nic nie złamali) śledczego duetu byłych posłów, podglądaczy, podsłuchiwaczy i inwigilaczy tak rozkosznie kontrastuje z grozą ich działań i służebnością wobec Wielkiego Szybowcowego (leci, leci, nic nie wskazuje na chęć obniżenia lotu). Rumiennolicy, dla przyjaciół „Gumowe Ucho”, wciąż analizuje, gdzie popełnił błąd, który sprawił, że nocowanka u prezydenta RP dwóch skazanych prawomocnym wyrokiem, miast zagwarantować słodki sen po ciepłej kolacyjce, w upranej piżamce, skończyła się chłodną drogą policyjną kibitką ku kratom po zdradzie Brutusa z SOP. Co myśli Mario, mały Savonarola, nie sposób dociec, bo w jego przypadku ten proces był od dekad na wygaśnięciu. Poza tym on nie je. A kto nie je, prezencików nie dostanie, nawet jak mu Suski telewizorek przyniesie.

Uważam, że szyderstwo z uwięzionych właściwie nie przystoi. Ale wyjątkiem są uwięzieni szefowie policji tajnych, widnych i dwupłciowych, którzy z zapałem większym od jakiejkolwiek innej sprawy kraty szykowali dla innych, a ich koledzy od „sprawiedliwości” tak zaostrzali prawo, że nie ma zmiłuj. No to nie ma.

Klasą sam dla siebie, jak zresztą od lat, jest najwybitniejszy polski automonodramaturg, aktor ostatniej szansy z zatarasowanego autobusem Belwederu, który sam ogarnia wszystko: dialogi, mimikę i ruch sceniczny – i w rzeczy samej tego wymyślić się nie da, a nie powiedział jeszcze „kaniec filma”. Scenarzyści całego świata, siedźcie i uczcie się, przed wami człowiek, który jest parodią własnej karykatury. A przy okazji prezydentem dużego europejskiego kraju. To jednak potężny dopalacz ta władza.

W tej historii uprowadzenia z pałacu, dzięki zaangażowaniu wiernych jeszcze niedawno podwładnych, dwóch skazańców jest przecież także szczypta autentycznego kina akcji. I ten autobus... Bo tak by ich odbił, czy jak?

Oczywiście do pełni szczęścia brakuje mi kilku ogniw dramaturgicznych. Tych momentów, kiedy Biuro Polityczne PiS obserwuje przyjęcie kolejnych potężnych trafień we własną szczękę. Kiedy lekceważony przez nich jajogłowy obrońca praw człowieka jako nowy minister sprawiedliwości z mocą żelaznych pazurów jurysdykcji konstytucyjnej rysuje im ducha praw na grzbietach i wysadza z posad tych niby niewysadzalnych.

Jeśli niewidoczny twórca tego scenariusza przejął się hitchcockowską regułą „najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie ma nieprzerwanie rosnąć”, zrobił to z głębokim przekonaniem i oddaniem. Nie wiem, jak państwu, ale mnie ręce same składają się do oklasków. Nawet gdy czasami trochę się zawstydzam własną małostkowością, potrzeba odreagowania bachtinowskim śmiechem zwycięża nad poczuciem powagi i godności tej naszej nieszczęsnej niepodległej i demokratycznej. Jest karnawał w końcu czy nie ma? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

1989

DOLCE VITA

Jak nie zabiłem

Olśnienia teatralne 2023

Tomasz Miłkowski

To nie jest typowy ranking, lecz noty o tych spektaklach, które w minionym roku wywarły na mnie największe wrażenie. Listę otwiera musical „1989" z Teatru Słowackiego. Premierę miał pod koniec 2022 r., ale zobaczyłem go dopiero w tym roku. A to żelazna reguła – opisuję, co oglądałem. Jednak tytuł mój tekst o olśnieniach zawdzięcza spektaklowi Mateusza Pakuły „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję", koprodukcji Teatru Łaźnia Nowa w Krakowie i Teatru Żeromskiego w Kielcach. To przedstawienie, które nikogo nie pozostawia obojętnym; teatr, który boli, uwiera i poraża prawdą.

1989, scenariusz Marcin Napiórkowski, Katarzyna Szyngiera, Mirosław Wlekły, reżyseria Katarzyna Szyngiera, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, Gdański Teatr Szekspirowski, premiera gdańska 19 listopada 2022

Jakże rzadki w Polsce pokaz pozytywnego myślenia o naszej przeszłości. Zawsze znacznie większym wzięciem cieszyła się u nas martyrologia, tymczasem ten musical o zwycięstwie Solidarności i wygranych wyborach czerwcowych 1989 r. tchnie optymizmem. To jak powiew świeżego powietrza wpuszczony do zatęchłego wnętrza historii.

40-LATEK. WARSZAWSKI MUSICAL, reżyseria Joanna Drozda, dramaturgia Michał Wybieralski, Teatr Rampa na Targówku, premiera 15 września 2023

Udana sceniczna reanimacja bohatera serialu Jerzego Gruzy w musicalu, w którym nie chodziło o to, aby bohatera okpić, ośmieszyć albo, przeciwnie, wywindować na cokoły. Inżynier Karwowski, w którego wciela się Modest Ruciński, staje przed nami jako szeregowy bohater peerelowskiej, ale i dzisiejszej Warszawy.

BALKONY – PIEŚNI MIŁOSNE według Federica Garcíi Lorki i Johna Maxwella Coetzeego, scenariusz i reżyseria Krystian Lupa, Teatr Polski w Podziemiu – Wrocław, pokaz przedpremierowy 4 grudnia 2023

Mimo że to spektakl nużący i przeładowany, znać w nim rękę reżyserską Lupy, tworzącego własne wizje teatralne, wciąż plastycznie i aktorsko uwodzicielskie – powiodło się to szczególnie w partiach wykorzystujących fragmenty „Domu Bernardy Alba" Lorki.

CO GRYZIE GILBERTA GRAPE'A według Petera Hedgesa, reżyseria Karolina Kowalczyk, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 21 września 2023

Życie rodzinne znaczone wieloma ranami. Trudno zbliżyć się do siebie, przerwać zasieki psychiczne, odnaleźć szansę dla siebie i innych. A jednak to się udaje, wymaga tylko cierpliwości i uważności. Empatyczny spektakl,

eprasa.pl 7642fd1618

DOBRZE UŁOŻONY MŁODZIENIEC

nastawiony na zrozumienie drugiego człowieka, czasem bardzo odmiennego, ale bliskiego.

CZEKAJĄC NA GODOTA Samuela Becketta, reżyseria Piotr Cieplak, Scena Studio Teatru Narodowego, premiera 9 grudnia 2023

Zdyscyplinowana inscenizacja Piotra Cieplaka oraz kreacje aktorskie Mariusza Benoit, Jerzego Radziwiłowicza, Bartłomieja Bobrowskiego i Cezarego Kosińskiego przyniosły ożywczą interpretację klasycznej komedii absurdu, która okazuje się aktualnym komentarzem do sytuacji zagubionego człowieka, wciąż czekającego na odmianę losu.

DOBRZE UŁOŻONY MŁODZIENIEC Jolanty Janiczak, reżyseria Wiktor Rubin, Teatr Nowy w Łodzi, premiera 25 marca 2023

Bodaj najlepszy scenariusz cenionej autorki dramatycznej, nawiązujący do autentycznej historii osoby walczącej o uznanie swojej wewnętrznej płci. Poprowadzony z taktem i znajomością trudnego tematu tranzycji zaowocował spektaklem, w którym widz solidaryzuje się z bohaterem, czując przypływ dobrej energii.

DOLCE VITA Julii Holewińskiej i Kuby Kowalskiego, reżyseria Marcin Hycnar, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 20 maja 2023

Rzecz o losach nowego pokolenia, jego niezdecydowaniu, utracie widoków na przyszłość, ciągłym wypatrywaniu sensu egzystencji. Marcello niczym bohater filmu Felliniego (Filip Kowalczyk, świetnie debiutujący tą rolą na warszawskiej scenie) szuka wyjścia z tej matni.

EMPUZJON według Olgi Tokarczuk, adaptacja i reżyseria Robert Talarczyk, Teatr Studio w Warszawie/Teatr Śląski/Instytut Grotowskiego, premiera warszawska 19 maja 2023

Na scenie nie jest aż tak mrocznie jak w powieści, ale dekoracje (dzieło Katarzyny Borkowskiej), oprawa muzyczna i aktorsko wycyzelowane postacie budzą uznanie. Może to najlepsza adaptacja teatralna prozy Tokarczuk: trzyma widzów w napięciu, przykuwa uwagę tajemniczą aurą i pytaniem, czy przesłanie tej powieści – miejsce dla wszystkich niezależnie od płci i odstępstw od tzw. cielesnej normy – kiedykolwiek się ziści.

FOBIA Markusa Öhrna i Karola Radziszewskiego, reżyseria Markus Öhrn, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 7 listopada 2023

Dość makabryczny żart wywiedziony z wcześniejszych akcji Radziszewskiego „Fag Fighters", które były – jak wyznaje autor – „rodzajem zemsty za wszystkie ataki homofobiczne". Zabieg polega zatem na odwróceniu ról: gej, zamiast być wieczną ofiarą ataków i prześladowań, sam przechodzi do ataku i staje się prześladowcą swoich potencjalnych prześladowców. Wstrząsowa autoterapia.

JAK NIE ZABIŁEM SWOJEGO OJCA I JAK BARDZO TEGO ŻAŁUJĘ według Mateusza Pakuły, adaptacja i reżyseria autor, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie/Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, premiera krakowska 20 stycznia 2023

Autentyzm opowieści o umieraniu ojca na raka trzustki wydawał się nieprzekładalny na język teatru. A jednak powstał spektakl porażający szczerością, piekielnie odważny i ważny. Szacunek dla zespołu za podjęcie trudnego tematu bez klajstrowania rzeczywistości, bez maskowania paskudnej obojętności Kościoła i systemu opieki zdrowotnej na ludzkie cierpienie.

KOMEDIANT Thomasa Bernharda, reżyseria Andrzej Domalik, Teatr Narodowy, premiera 13 maja 2023

Bruscon Radziwiłowicza od początku wie, że świat został źle wymyślony. Ogarnięty bezbrzeżnym rozgoryczeniem i wyczerpaniem próbuje wykrzesać z siebie odrobinę energii. Ostatkiem woli czepia się życia, kieruje obelgi pod adresem otoczenia i upodlonej Austrii, wyrzeka na beztalencia artystyczne panoszące się w teatrze, także w jego teatrze. Tylko rosół z makaronem wzbudza w nim niejakie ukontentowanie. To ostatnia enklawa, która jeszcze nie napawa go wstrętem.

MATKA I DZIECKO Jona Fossego, reżyseria Adam Sajnuk, Teatr WARSawy, premiera 15 grudnia 2023

Spotkanie ludzi bliskich, lecz dalekich, którzy nie znajdą drogi powrotu do siebie. Kamilla Baar jako Matka zachwyca kreacją kobiety zagubionej i potłuczonej przez życie – od debiutu wciela się w postacie psychicznie nienormatywne, a tą rolą dodaje do nich nowe zwycięstwo. Maciej Czerklański, debiutujący rolą Syna, partneruje jej zaskakująco dojrzale, demonstruje spokój, pod którym być może

eprasa.pl 7642fd1618

kryje się demon. Wrzenie i lód, dygot i opanowanie, nadruchy i bezruch doskonale rozplanowane przez Adama Sajnuka, rytm i kontrrytm tych postaci hipnotyzują widownię.

FOBIA

MÓJ SZTANDAR ZASIKAŁ KOTEK Leny Laguszonkowej, reżyseria Aleksandra Popławska, TR Warszawa, premiera 28 kwietnia 2023

Najlepsza sztuka ukraińska, która weszła na nasze sceny po 24 lutego 2022 r. – choć wojna i wewnętrzne ukraińskie podziały stanowią jej tło i nieusuwalny koszmar, autorka nie poprzestaje na rejestracji tragedii. Spektakl operuje groteską, nawet czarnym humorem, ale i solenną powagą wglądu w życie Donbasu. Przedstawienie gęste od symboli, dowcipnych komentarzy, zastanawiających skojarzeń i mnogości wątków.

NA PIERWSZY RZUT OKA Suzie Miller, reżyseria Adam Sajnuk, Teatr Polonia w Warszawie, premiera 1 października 2023

Maria Seweryn jako ambitna adwokatka, odnosząca sukcesy obrończyni podejrzanych o gwałt, poznaje dramat ofiary od drugiej strony, jako kobieta zgwałcona przez kolegę z kancelarii prawnej. Teraz to ona musi przejść przez piekło upokorzeń, chcąc dowieść winy gwałcicielowi. Debiutująca w monodramie aktorka sugestywnie przedstawia tę wstrząsającą historię.

NA RAUSZU Thomasa Vinterberga i Tobiasa Lindholma, reżyseria Marcin Hycnar, Teatr Polonia w Warszawie, premiera 29 grudnia 2023

Kilka lat temu film Thomasa Vinterberga „Na rauszu" zrobił furorę, pokazując pijaków jako ludzi skądinąd poważnych, którzy wdają się w niebezpieczną zabawę z alkoholem. Ta szczególna cecha historii o czterech nauczycielach ochlapusach widoczna jest jak na dłoni w spektaklu Marcina Hycnara, obok którego występują dawni montowniacy: Adam Krawczuk, Marcin Perchuć i Maciej Wierzbicki. Wszyscy grają jak z nut.

ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH Jana Kochanowskiego w transkrypcji Antoniego Libery, reżyseria Maciej Wojtyszko, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie, premiera 11 listopada 2023

Spektakl grany we foyer, na estradce przypominającej skromne warunki inscenizacji szkolnych. Jest jeszcze ekran, na którym widać newsy telewizji Troja, dzięki którym przekaz dzieła Kochanowskiego zbliża się do dzisiejszej technologii, ukazując uniwersalne mechanizmy manipulacji, propagandy i wypaczania faktów. Aktorzy występują w kostiumach trochę tylko niedzisiejszych, sceneria pozostaje właściwie goła, dając pole słowu, które w interpretacji zespołu Polskiego wybrzmiewa klarownie, a za sprawą transkrypcji Libery współcześnie.

OPOWIEŚCI LASKU WIEDEŃSKIEGO Ödöna von Horvátha, reżyseria Małgorzata Bogajewska, Scena przy Wierzbowej Teatru Narodowego, premiera 4 listopada 2023

Reżyserka nie skupia uwagi na rodzajowym detalu, ale idzie w stronę współczesnego przekazu, znajdując w komedii Horvátha sprzed niemal 100 lat zwierciadło kryzysu i niepewności, z którymi zmaga się nasza epoka. W tym siła tego przedstawienia, które stoi nie tylko świetnie poprowadzonymi rolami z imponującymi scenami zbiorowymi. Obok głównych bohaterów: desperacko walczącej o prawo do szczęścia Marianny (Michalina Łabacz), żerującego na kobietach Alfreda (Paweł Brzeszcz), przemocowego narzeczonego (Mateusz Rusin) i bezwzględnego Ojca (Piotr Grabowski), błyszczą pozostali aktorzy.

POGO według Jakuba Sieczki, reżyseria Kinga Dębska, Teatr Polonia w Warszawie, premiera 15 czerwca 2023

Brawurowy monodram Marcina Hycnara o codzienności ratownika medycznego. Rzecz o kosztach psychicznych obcowania ze śmiercią, nierzadko bezradności lekarza w obliczu nieodwracalnego zaniku funkcji życiowych, niewyobrażalnym trudzie sprostania zdarzeniom ostatecznym, kiedy trzeba wypisać akt zgonu i poinformować najbliższych, że właśnie nastąpiła śmierć i nic już nie się da zrobić. Hycnar mówi o tym wszystkim bardzo prawdziwie, czasem ze ściśniętym gardłem.

PRZYGODY KOZIOŁKA MATOŁKA według Kornela Makuszyńskiego, adaptacja i reżyseria Maksymilian Rogacki, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie, premiera 3 marca 2023

Ten pełen uroku spektakl porywa nie tylko najmłodszych widzów za sprawą trupy wędrownych aktorów, którzy przybywają z całym swoim majdanem, aby niczym czarodzieje przedstawić wędrówki rozbrykanego Koziołka Matołka (Eliza Borowska) po świecie. Wspaniałe instrumentarium dla aktorów stanowią pomysłowa scenografia, bajecznie kolorowe kostiumy i odkrywcze rekwizyty.

eprasa.pl 7642fd1618

OPOWIEŚCI LASKU WIEDEŃSKIEGO

POLOWANIE NA OSY według Wojciecha Tochmana, reżyseria Natalia Korczakowska, Teatr Studio w Warszawie, premiera 24 listopada 2023

Zagrany i zrealizowany z pasją przejmujący spektakl, który apeluje do wrażliwości etycznej widzów. Korczakowska jak Tochman walczy z bezwzględnym prawem, które nie daje przestępcom żadnej szansy na naprawę. Walczy też o wysoko zawieszoną poprzeczkę etyki dziennikarskiej.

SPARTAKUS. MIŁOŚĆ W CZASACH ZARAZY na podstawie m.in. reportaży Janusza Schwertnera, reżyseria Jakub Skrzywanek, Teatr Współczesny w Szczecinie, premiera 13 maja 2022

To coś znacznie więcej niż teatr, to wołanie o pomoc dla psychiatrii dziecięcej, co nie oznacza, że reguły teatralności zostały w tym spektaklu zagubione. Przeciwnie, umowność króluje na scenie – choćby w scenografii Daniela Rycharskiego, który dziecięce oddziały psychiatryczne ukazuje jako zdewastowane chlewnie.

ŚMIERĆ KOMIWOJAŻERA Arthura Millera, reżyseria Małgorzata Bogajewska, Teatr Ludowy w Krakowie, premiera 17 marca 2023

Reżyserka przenosi akcję do Polski w okresie transformacji, a bohatera stawia na granicy świata rzeczywistego i wyobrażonego, między brutalnością władzy pieniądza i naiwnym marzeniem o triumfie mężczyzny wychodzącego cało z walki o byt rodziny. Willy urojeniami próbuje zasłonić prawdę o swojej klęsce. Piotr Pilitowski w nerwicowym portrecie Lomana ukazuje człowieka, który wciąż próbuje zagadać rzeczywistość, coraz bardziej od niej oderwany i dryfujący na krawędź egzystencji. Wielka rola.

TAKSÓWKA, scenariusz i reżyseria Igor Gorzkowski, Teatr Soho w Warszawie, premiera 7 października 2023

Gorzkowski z powodzeniem wraca do swojego spektaklu inspirowanego filmem „Chicago Cab". Tak jak przed laty portretuje Warszawę w lusterku taksówki w wigilijny wieczór. W tym szczególnym dniu pełnią swoje dyżury dwaj samotnicy: posępny taksówkarz – Wiktor Korzeniewski i znużony didżej – Bartosz Mazur. Ci sami aktorzy grali te role prawie 20 lat temu. Partnerują im Aleksandra Batko i Igor Kowalunas jako pasażerowie, tworzący galerię dziwaków, przypadkowych kochanków, zmęczonych sobą partnerów, zwariowanych cwaniaków i samotników.

WARIACJE ENIGMATYCZNE Érica-Emmanuela Schmitta, reżyseria Artur Tyszkiewicz, Teatr Ateneum w Warszawie, premiera 21 października 2023

Błyskotliwy tekst, w mistrzowskim wykonaniu Grzegorza Damięckiego i Krzysztofa Tyńca, w imponująco skomponowanej scenografii Joanny Zemanek i opracowaniu muzycznym Jacka Grudnia, pod ręką Tyszkiewicza po raz kolejny potwierdził swoją klasę.

W MAJU SIĘ NIE UMIERA. HISTORIA BARBARY SADOWSKIEJ Piotra Rowickiego, reżyseria Anna Gryszkówna, Dom Spotkań z Historią w Warszawie, premiera 15 maja 2023

Opowieść o Barbarze Sadowskiej i jej tragedii wywiera wielkie wrażenie, nawet na omijających teatr jednego aktora szerokim łukiem. Kiedy bohaterka wykrzyczy swój ból, kiedy jej twarz stanie się martwa jak maska, aktorka zdejmuje perukę i bezbronna staje przed widzami, którzy już wcześniej weszli z nią w świat emocjonalnej przepaści.

WZRUSZ MOJE SERCE Hanocha Levina, reżyseria Artur Tyszkiewicz, Teatr Ateneum w Warszawie, premiera 18 lutego 2023

Melancholijna opowieść o udręce życia, subtelnie wycieniowana na scenie przez Julię Kijowską, Grzegorza Damięckiego i Łukasza Simlata. Reżyser szukał jej sensów głębiej, w podtekście, ukrytych pod rwącym się dialogiem, nieumiejętnością porozumienia albo pozorem porozumienia między bohaterami.

ŻYDOWSKI PIES Ashera Kravitza, reżyseria Ewa Galica, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich w Warszawie, premiera 27 października 2023

Czasy Zagłady widziane oczami psa – dorastającego w żydowskiej rodzinie owczarka alzackiego o imieniu Kaleb, który w wyniku obłąkańczych zarządzeń rasowych w hitlerowskich Niemczech najpierw trafia do domu oficera SS, a potem w ręce tresera przygotowującego psy do polowania na Żydów. Jerzy Walczak jako Kaleb buduje odrębny język wyrażania psich uczuć, nastrojów i potrzeb. W precyzyjnie opracowaną choreografię, w odnalezione dla uwiarygodnienia tej roli reakcje wpisana została historia tresury i manipulacji.

Tomasz Miłkowski

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN, BARTEK BARCZYK, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 7642fd1618

Rozmawia Wojciech Tutaj

Zbuntowana klasa

Opowiadanie o nastolatkach wiąże się z dużą odpowiedzialnością

SARA BUSTAMANTE-DROZDEK
– reżyserka filmowa

W 2019 r. skończyła pani Filmówkę. Potem zbierała pani doświadczenia na planie seriali i zrealizowała pełnometrażowy debiut. W styczniu do kin wszedł pani film „Piep*zyć Mickiewicza". Czy młodej reżyserce łatwo się przebić?

– Nie mogę powiedzieć, że droga, którą przeszłam, była łatwa. Zawód reżyserki, który sobie wymarzyłam jako nastolatka, wymaga wielu poświęceń. Trzeba podporządkować swoje życie tej pracy. Nie można oczywiście generalizować, bo nie tylko absolwenci szkół filmowych zostają reżyserami. Sama zaczęłam pracować na trzecim roku studiów. Asystowałam na planie u innych twórców, realizowałam teledyski i reklamy. Miło wspominam studia, ale ich intensywność uświadomiła mi, że zajmowanie się reżyserią wymaga ogromnej ilości czasu i determinacji. Mimo wszystko przeżyłam już w tej pracy wiele pięknych momentów.

Deprecjonowanie młodych kobiet w branży filmowej wciąż się zdarza?

– Na swojej drodze można się zetknąć z najróżniejszymi postaciami. Nie jest łatwo być młodym twórcą, a szczególnie kobietą. Zdarzają się jeszcze osoby, którą są przyzwyczajone do innych standardów i mają specyficzne podejście. Opowiadam teraz o poprzednich współpracach, bo podczas realizacji „Piep*zyć Mickiewicza" trafiłam na doświadczonych producentów, którzy wyróżniają się dużą kulturą osobistą i zapewnili mi pełen komfort oraz wsparcie.

Mówi się, że oznaką braku zaufania do reżyserek jest niedopuszczanie ich do realizacji dużych filmów rozrywkowych. Pani przypadek wydaje się zaprzeczać tej teorii.

– Oba projekty, które dotąd wyreżyserowałam, są projektami producenckimi. W takich sytuacjach najwięcej zależy właśnie od producenta. Pytanie brzmi, na ile pozwoli on reżyserowi ingerować w proces twórczy i do którego etapu. Przy realizacji „Piep*zyć Mickiewicza" producenci byli bardzo otwarci na współpracę i do końca pozostawaliśmy w kontakcie. Potraktowałam zresztą propozycje reżyserowania tego filmu i „Porad na zdrady 2" jak szanse, z których trzeba skorzystać.

Film opowiada o zbuntowanej młodzieży i charyzmatycznym nauczycielu. A jak pani wspomina liceum?

– Ciepło wspominam tamte lata, mimo że chodziłam do bardzo wymagającego liceum. Patrzę na nie przez pryzmat pierwszych miłości czy pierwszych poważnych buntów, poznawania nowych emocji i zbierania doświadczeń. Zawiązałam wtedy najtrwalsze przyjaźnie i poznałam wartościowych ludzi, na których nadal mogę liczyć. W czasach liceum uświadomiłam sobie też, co chciałabym robić w życiu. Na dobre zafascynowałam się reżyserią. Wcześniej interesowałam się teatrem, ale lepiej się czuję, mogąc prowadzić aktorów. Pracując nad „Piep*zyć Mickiewicza", pomyślałam, że te młode osoby są w jednym z piękniejszych momentów życia i trochę im zazdroszczę. Starałam się jednak nie przekładać własnych wspomnień na ekranową historię, bo czasy bardzo się zmieniły.

Film porusza problemy obecne w polskich szkołach i tworzy świat daleki od wyobrażeń o przeciętnym liceum nad Wisłą.

– Mam 18-letnią siostrę, która jest uczennicą liceum, i starałam się z nią konsultować pewne tematy, żeby za bardzo nie oderwać się od realiów szkoły. Postawiliśmy na stworzenie barwnego, żywego świata, który wypełniają czysta radość i energia młodzieży. Chcieliśmy trochę podkręcić

Sara Bustamante-Drozdek – (ur. w 1992 r.) absolwentka PWSFTviT w Łodzi. Podczas studiów była asystentką Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego przy ich spektaklach. Pracowała na planie popularnych seriali „Na dobre i na złe" i „Na sygnale". Jej pełnometrażowym debiutem była komedia „Porady na zdrady 2".

eprasa.pl 7642fd1618

ekranową rzeczywistość i wyszliśmy z założenia, że nasza opowieść ma wiele wspólnego z komiksem, którego bohaterami mogliby być uczniowie klasy IIb. W tym filmowym uniwersum zależało nam, żeby podążać za ich prawdziwymi emocjami i osobowościami, trzymając się blisko realnych problemów.

Wzorowała się pani na jakichś filmach lub serialach?

– Nie uciekniemy od porównań do takich klasyków jak „Stowarzyszenie Umarłych Poetów", ale nie chciałam się zamykać w myśleniu, że będziemy coś powtarzać lub naśladować. Naszą ambicją było spojrzenie na historię zbuntowanej klasy i zmieniającego ją nauczyciela z innej perspektywy. Staraliśmy się przede wszystkim zbudować z młodymi aktorami osobnych, wyrazistych bohaterów, a nie powielać znane wzorce. Filmy takie jak „Piep*zyć Mickiewicza" czy „Młodzi gniewni" będą pewnie powstawać co kilkanaście lat i świadczyć o tym, jak wyobrażano sobie młodzież w kolejnych dekadach.

Film był realizowany z myślą o konkretnym odbiorcy?

– Najważniejszym celem było dotarcie do młodych ludzi. Z tego względu wybraliśmy obsadę w wieku 14-20 lat. Na ekranie możemy oglądać prawdziwych nastolatków. Z ich pomocą chcieliśmy maksymalnie zbliżyć się do sposobu opowiadania, który mógłby zainteresować młodszego odbiorcę. Pytałam aktorów o opinie na temat konkretnych rozwiązań, np. języka uczniów. Wspólnie zastanawialiśmy się nad motywacjami bohaterów i szukaliśmy źródeł ich buntu.

Co jeszcze pomogło pani w poznaniu świata szkoły i pokolenia Z?

– Kluczowe były rozmowy z młodzieżą. W sieci można także znaleźć mnóstwo komentarzy i wypowiedzi nastolatków. Co więcej, moja mama jest nauczycielką w szkole podstawowej, a po przywróceniu VII i VIII klasy średnia wieku trochę się tam podniosła. Konsultowałam się z psychologiem. Nie chciałam opierać filmu na domysłach i fantazjach, zależało mi na sprawdzonych informacjach. Dzięki rozmowom z młodymi ludźmi i poznawaniu ich problemów scenariusz zyskał bardziej emocjonalny wydźwięk. Zrozumiałam, że opowiadanie o dzisiejszych nastolatkach wiąże się z dużą odpowiedzialnością.

Pozwalała pani aktorom np. improwizować na planie?

– Bardzo ważny okazał się etap prób, gdy spotykaliśmy się w mniejszych grupach i szukaliśmy przebiegu dla wątków konkretnych postaci. Dzięki przygotowaniom wszyscy wiedzieli, o jakie emocje chodzi w danym fragmencie filmu, co kolejne wydarzenia zmieniają w życiu postaci. Nie chciałam niczego narzucać aktorom, tylko wspólnie przedyskutować rozwiązania i pomysły. Zastanawialiśmy się, czy zapisane w scenariuszu sytuacje mogłyby się przytrafić ich rówieśnikom, czy sami zachowaliby się podobnie jak bohaterowie. Zachęcaliśmy debiutantów, żeby zwracali uwagę na kwestie, które brzmią sztucznie lub za poważnie. Czasami na próbach coś inspirującego wypływało też z improwizacji. Improwizacja jest twórcza i może dużo wnieść.

Czy debiutanci dobrze się dogadywali z doświadczonymi aktorami?

– Doświadczeni aktorzy podeszli z wielką otwartością do młodzieży i wspaniale było obserwować ich współpracę. Dawid Ogrodnik spędził z debiutantami naprawdę dużo czasu. Był dla nich nie tylko filmowym nauczycielem, ale przede wszystkim ogromnym wsparciem. Pomagał im oswoić się z planem, służył dobrą radą. Jeszcze przed rozpoczęciem prób młodzi aktorzy zaczęli się spotykać i lepiej poznawać oraz analizować razem scenariusz. Ciekawe, jak daleko zajdą za 10-15 lat, ale już teraz jestem z nich dumna. Chciałam im stworzyć komfortowe warunki pracy, żeby mogli się otworzyć, nie bali się czegoś zaproponować, zachowywali się swobodnie.

Pani etiudy studenckie dotykały poważnej tematyki. Jednak w pełnym metrażu zaczyna pani od dwóch komedii. Dobrze się pani odnajduje w komediowych klimatach?

– W ostatnich etiudach i w dyplomie fabularnym pozwoliłam sobie na wprowadzenie momentów lekkości i humoru. Dowcipniejsze wstawki nie muszą wcale zaszkodzić poważnej opowieści. Trochę jak w życiu, w którym straszne epizody potrafi nagle przełamać coś absurdalnego, zaskakującego lub śmiesznego. Życie nie jest przecież czarno-białe, a scenariusz daje czasem możliwość znalezienia humoru w dramatycznej scenie. Warto z tej szansy skorzystać, żeby nie ogrywać wszystkiego na jednej nucie, tylko być dla widza zaskakującym i nieprzewidywalnym. W pracy nad tekstem dużą frajdę sprawia mi poszukiwanie słodko-gorzkich odcieni codziennych sytuacji. W kinie chyba w ogóle najbardziej interesują mnie komediowo-dramatyczne historie, na których można i zaśmiać się, i wzruszyć.

■

Piep*zyć Mickiewicza

FOT. SŁAWOMIR MROZEK (2)

eprasa.pl 7642fd1618

1

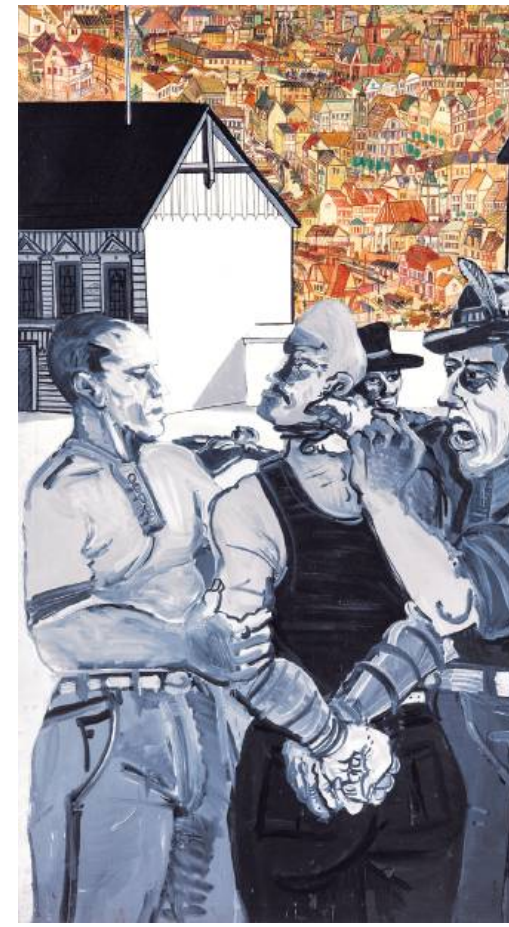

EDWARD DWURNIK

Był artystą niezwykle płodnym, który skrupulatnie prowadził rejestr wszystkich prac. Edward Dwurnik malował rozbudowane cykle, nacechowane groteskowością, o rysunkowej formie wyrazu. W jego twórczości odzwierciedlały się zmiany zachodzące w Polsce, co widać m.in.

5

eprasa.pl 7642fd1618

2

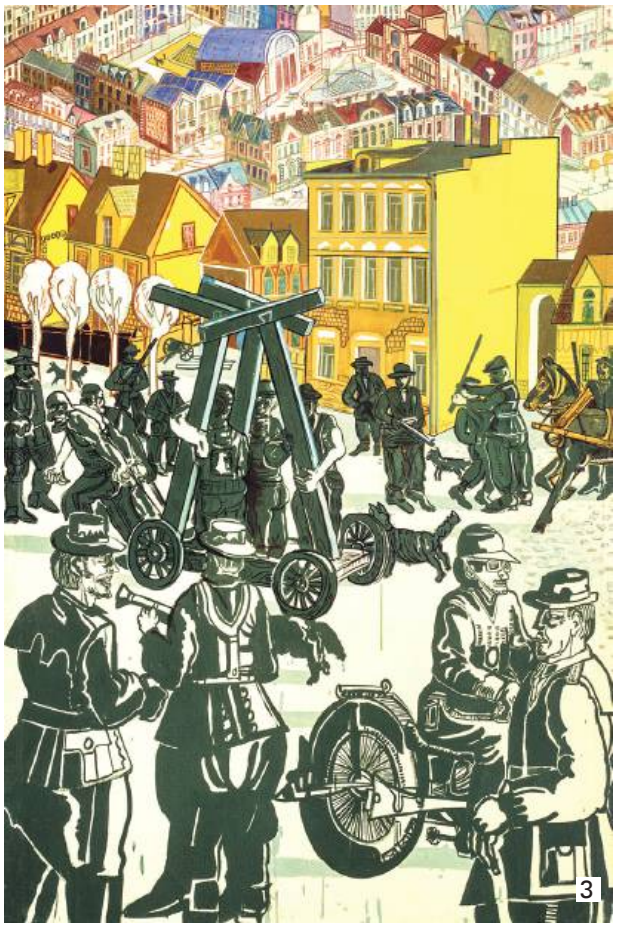

3

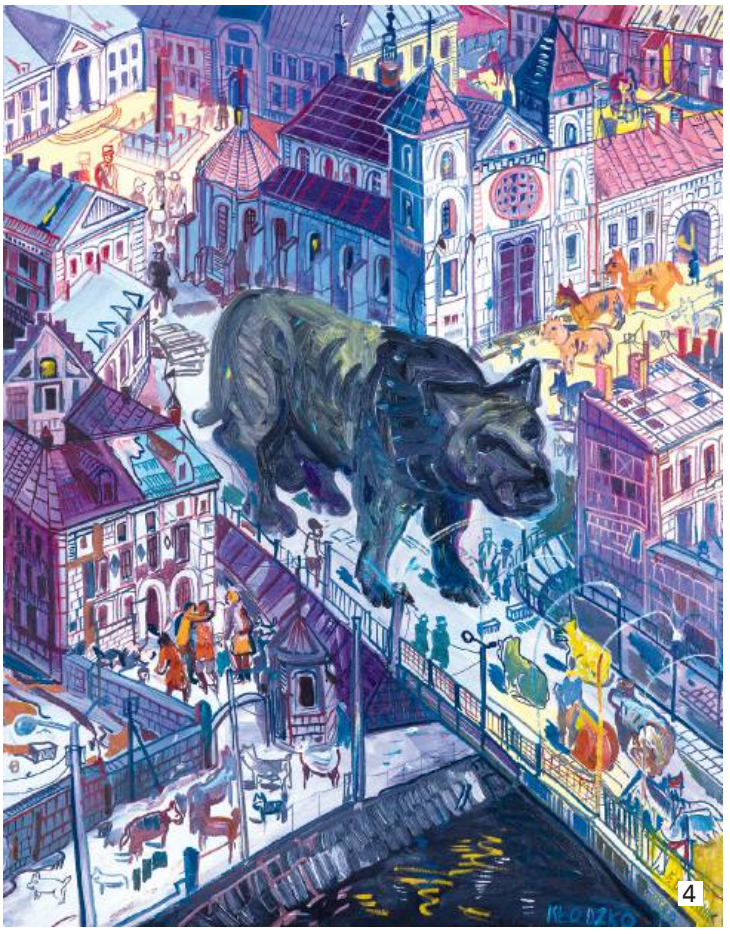

4

w cyklu „Warszawa" (1981), nawiązującym do stanu wojennego. Bogaty wybór prac Dwurnika wzbogacony został o tekst autorstwa Marii Anny Potockiej, kuratorki i krytyczki sztuki.

„BOSZ" Szymanik i wspólnicy spółka jawna
38-722 Olszanica 311

1. 163 rzeźbiarzy polskich, 1997
2. Szósta stacja, 1970
3. Ósma stacja, 1970
4. Kłodzko, 1989
5. Kudowa, 2008
6. Nowy Targ, 1989
7. Bogowie, cykl Moi bohaterowie, 1972

6

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

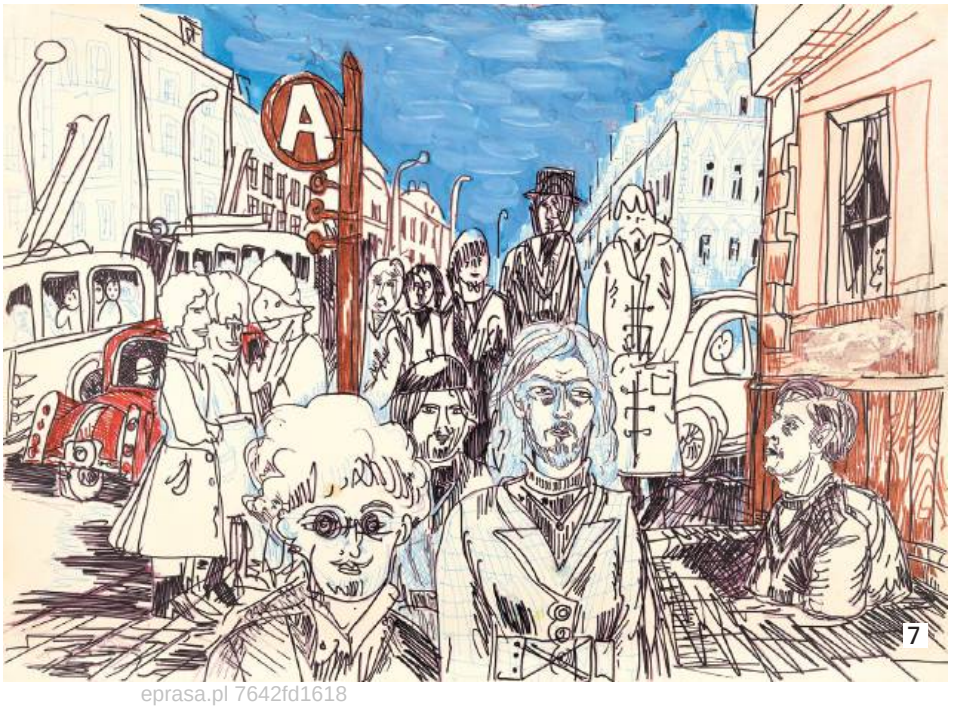

7

eprasa.pl 7642fd1618

NA EKRANACH

Przesilenie zimowe
reż. Alexander Payne, prod. USA, w kinach od 26 stycznia

Film wspaniale rozgrzewający, idealny na zimowe wieczory. Przenosimy się do akademika gdzieś na amerykańskim zadupiu. Zbliża się Boże Narodzenie, wszyscy uczniowie pakują manatki i czekają, aż rodzice zabiorą ich do domu. No, prawie wszyscy, bo niektórzy w domach na święta nie są chciani. Nimi ma się zaopiekować nielubiany nauczyciel Paul (popisowy Paul Giamatti). Gorzej być nie może? Nie w kinie Alexandra Payne'a („Bezdroża", „Spadkobiercy"), który w największej dramie znajdzie coś czułego. Niedarzący się sympatią bohaterowie będą musieli przejrzeć się w sobie. I zrozumieć, że ich niechęć do innych jest zakorzeniona w trudnych doświadczeniach, a za maskami cyników kryją się wrażliwi ludzie. Tę banalną konstatację reżyser potrafi podać w niebanalny sposób. Tu zażartuje, tam wzruszy, kiedy indziej poczęstuje nas smakowicie skomponowanym kadrem. A to wszystko w odpowiedniej proporcji.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jacek Dehnel
Łabędzie
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

Z jednej strony, to dzieje rodziny. Szczególne, bo ich częścią jest afera, o której rozpisywała się prasa w PRL, rozogniona aresztowaniami za przemyt złota i dzieł sztuki, który to proceder uprawiał m.in. personel ambasady Brazylii. Przeplata się z tym historia miśnieńskiej porcelany i łabędziego serwisu, zachcianki hrabiego Brühla, którą dziś traktowalibyśmy jako nadużycie stanowiska. Z drugiej – dosłownie, odwracamy książkę i mamy kolejny tom – rekonstrukcja owej afery na podstawie dokumentów z IPN.

Przyjęta w pierwszej części forma gawędy rodzinnej zaobla wydarzenia, zmienia je w anegdoty. Ale, co podkreśla autor, wspomnienia i opowieści to nie fakty. Ba, nawet to, co za fakty uchodziło, mogło mieć inny przebieg. Czy wydestylowanie prawdy jest w ogóle możliwe? Tak czy owak Dehnel opowiada fascynująco, nawet bulwersująco dla kogoś, kto zachował idealistyczne poglądy na ochronę zabytków po wojnie i polskie muzealnictwo. Bohaterów ma barwnych, a dorzuca do tego szczególiki z czułością wydobyte z zalegających w archiwum akt, np. tajemniczą zabawkę – małpę do czesania.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Artysta niezrozumiany

Agata Duda-Gracz inscenizuje ostatnie chwile czwartego wieszcza. Spektakl, choć przydługi, nierówny dramaturgicznie i czasem zbyt dosłowny, ma też znakomite momenty. Bywa dowcipny, a za sprawą kreacji i głosu Mai Kleszcz, upozowanej na towarzyszącą bohaterowi w agonii muzę z obrazów Malczewskiego, chwilami wręcz przejmujący. Wyspiańskiego (Krzysztof Wrona) na łożu śmierci nawiedzają widma, dawni znajomi, postacie z dzieł. Portret artysty staje się barwnym portretem Krakowa i epoki dusznej od konwenansów, które burzyła żona Wyspiańskiego, Teofila (Agnieszka Przepiórska). Kolejne sceny skomponowane są wokół motywów malarskich. Oglądamy „Lekcję anatomii" Rembrandta, „Pietę", ożywający ołtarz Wita Stwosza. Jest jeszcze coś – teatr. W zaświatach umierający spotyka Grzegorzewskiego (Tomasz Wysocki) i Kantora (Sławomir Rokita), ogląda zakulisowe kłótnie Heleny Modrzejewskiej (świetna Anna Syrbu) z Wandą Siemaszkową (znów Przepiórska). Wreszcie w najdowcipniejszej, a zarazem najbardziej gorzkiej scenie przygląda się twórcom współczesnego polskiego teatru rozprawiającym nad sensem wystawiania „Wyzwolenia". To nie jest spektakl o życiu artysty ani nawet o jego umieraniu. To opowieść o tym, co po nim i z niego zostało. A pozostało, w gruncie rzeczy, niewiele.

Michał Centkowski

„Proszę Państwa, Wyspiański umiera", tekst i reżyseria Agata Duda-Gracz, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera 6 stycznia 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARTEK BARCZYK, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 7642fd1618

Oko w oko

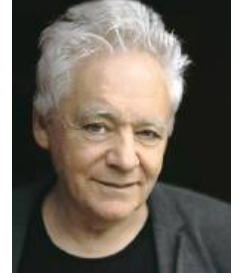

Tomasz Jastrun

Terror demokracji

Spotkanie autorskie w Mediatece w Tychach. Brzydkie, smutne miasto, jakby bez nadziei, dominują bloki z lat 60. i 70. Tychy powstały po wojnie, nie ma starej architektury, a to zawsze ułomność miasta. Na spotkaniu prawie same panie. Brak mężczyzn na takich wydarzeniach artystycznych to rzecz uderzająca, ale normalna. Tak samo jest wszędzie, pamiętam, mówił mi o tym przed wieloma laty Mario Vargas Llosa. Na sali trzech mężczyzn, w tym jeden wariat, który szybko się obraził i wyszedł, drugi to młody chłopak, po psychologii. Sprawił mi przyjemność, czytał moją pierwszą powieść, „Rzeka podziemna", o depresji. Powiedział, jak ważna była dla niego. Takie spotkania budują, pokazują, że książki, które się pisze, bywają jak ziarna rozsiane po całej Polsce. Wśród uczestników także pilna czytelniczka moich felietonów w PRZEGLĄDZIE.

Byłem w Tychach w przeddzień manifestacji PiS, gdy już dręczono w lochach Kamińskiego i Wąsika. W hotelu, z rozbawieniem podszytym niepokojem, śledziłem przebieg zdarzeń. Prezydent głęboko zraniony, ponieważ dwóch polityków aresztowano w jego pałacu, gdy na chwilę go opuścił. Podobno drogę powrotną zagrodził mu zepsuty autobus. PiS nie wierzy, że się zepsuł, to była akcja tajnych służb. Czyli tajne służby też przeszły na stronę wroga.

Wracałem do Warszawy pociągiem, w malowniczej zadymce śnieżnej. Na Dworcu Centralnym grupka osobników z flagami szykująca się na pisowski marsz, na byle jakich kartonikach nabazgrane hasła, źle ubrani, przepite twarze. Tak naiwnie wyobrażam sobie przeciętnego wyznawcę pisowskiej sekty i to mi się spełniło.

•

Scenki w naszym teatrzyku politycznym. Duda rozpacza, że aresztowano ludzi bliskich mu i kryształowych, porwano ich z jego pałacu, gdzie zamierzali się ukrywać, głos mu się łamie, a obok stoją dwie bidule, żony Kamińskiego i Wąsika. Teatr, od razu wiadomo, że ta niska od Kamińskiego, a wysoka, Romualda, od Wąsika, nie płaczą, ale jakby płakały. Obaj skazańcy podjęli w więzieniu głodówkę. Też by mi się coś takiego przydało. Mój przyjaciel Robert, anarchista, na skutek wydarzeń i mowy Dudy nagle przestał być anarchistą i stał się państwowcem i wrogiem PiS. Z kolei jego matka, niezdeklarowana politycznie, tak się wzruszyła obrazem żon i losem męczenników, że chociaż niewidoma, rwała się iść na manifestację.

•

Wiele osobliwości. Żyjemy w demokratycznym kraju, gdzie grupa posłów opozycji okupuje budynek publicznej telewizji, jak tarczami zasłaniają się immunitetami. Dziwny kraj. Ale coraz bardziej go lubię. Prezydent – te jego wzdęcia godnościowe są podręcznikowe. Marsowa mina, jakby siedział na koniu z szablą wyjętą z narodowego hymnu. Straszny widok. Na spotkaniu w rocznicę urodzin Witosa tak się nadął, tak się nasrożył, tak był straszny i groźny, że bałem się o jego zdrowie. Użył określenia „terror praworządności", czyli terror demokracji. Niezwykły jest jego związek z prezesem, boi się go, ale nie spełnia wielu jego życzeń, więc prezes go nie lubi. Duda w swej małości uwierzył w swoją wielkość. Marzy mu się, że obejmie w PiS schedę po prezesie. Żadnych szans. Wąsiki go zjedzą.

•

Dobre wystąpienie Tuska przed kamerami trzech stacji: TVN, Polsatu i TVP. Namysł, spokój, twardość, mądrość. Wiele osób zaniepokojonych zamętem wprowadzanym przez PiS dostało mocne oparcie.

Prezes liczy, że Kamiński i Wąsik dłużej posiedzą i będzie miał męczenników oraz paliwo na kolejne kampanie wyborcze, a może nawet na prezydencką wystarczy.

Duda w swej małości uwierzył w swoją wielkość. Marzy mu się, że obejmie w PiS schedę po prezesie. Żadnych szans. Wąsiki go zjedzą.

Wcześniej mieli „zamach smoleński", tu nie ma co marzyć, by afera więzienna miała choćby ułamek tamtej mocy.

•

Kończę się, mam drugie bioderko do wymiany, pewnie w marcu, i jeden ząb do wyrwania. Jak mi go szkoda. Za to w garażu stoi nowy samochód, piękne, wielkie, białe zwierzę, wszystko w ramach rozliczeń spadkowych, normalnie nie byłoby nas stać. W środku trochę pojazd kosmiczny, sam trzyma się pasa ruchu, zwalnia przed przeszkodą, ale ja czuję się wobec jego obsługi bezradny. I tak mi się porobiło z latami, że coraz mocniej czuję swoją małość wobec ogromu i grozy wszechświata. A pomyśleć, że był czas, gdy bez lęku jechałem małym fiatem do Paryża, jeździłem nim po Amsterdamie, Kopenhadze i Berlinie. Stany przemierzyłem samochodem wszerz i wzdłuż. A teraz strach wsiąść do tej bestii. I zaraz zacznie się lęk, że ukradną, że zarysuje się jego delikatną lśniącą skórę. Dolegliwości posiadania. Im mniej się ma, tym mniej się traci.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Mateusz Mazzini

Spalanie świata

Utrzymanie wzrostu temperatury na poziomie 1,5 st. C jest celem nierealistycznym. Ale czy należy go porzucić?

Choć na półkuli północnej panuje zima, i to jedna ze sroższych w ostatnich latach, refren typowy dla dziennikarskich depesz okresu letniego już zaczyna wybrzmiewać całkiem głośno. Dopiero co analitycy z NASA oficjalnie zaprotokołowali fakt oczywisty chyba dla wszystkich: rok 2023 był najcieplejszy, od kiedy prowadzone są systematyczne pomiary. Dla reportera klimatycznego styczeń oznacza też lato w Australii, z którym wiążą się coraz większe pożary lasów i buszu, oraz forum w Davos, gdzie dyskutuje się m.in. właśnie o klimacie, ale decydenci z całego świata przylatują tam flotyllą prywatnych odrzutowców. Zaraz potem zacznie się europejska wiosna, a z nią pewnie gwałtowniejsze opady i podtopienia. A potem już lato, przedwczesne zgony z powodu upałów, wypalone brzegi Sycylii i Rodos, na koniec sezonu pożary trawiące Amazonię. Później znowu COP, po raz kolejny w petrodolarowej autokracji (Azerbejdżan) pod przewodnictwem osoby przyklejonej do przemysłu naftowego.

Tak w dużym skrócie wygląda roczny cykl międzynarodowych debat na temat zmiany klimatu i katastrof z tą zmianą związanych. Coraz bardziej przypomina „Dzień świstaka", hollywoodzką produkcję, w której bohater budzi się codziennie tego samego dnia. Decydenci, zarówno z sektora publicznego, jak i prywatnego, starają się ten stan rzeczy zmienić, ale działania często są spóźnione, zbyt mało ambitne albo utrącane w negocjacjach. Bo jednak wszelkie uzgodnienia co do zeroemisyjności, odchodzenia od paliw kopalnych, ograniczania konsumpcji czy produkcji plastiku wymagają konsensusu. To zasada chwalebna, ale też stanowi przeszkodę w dojściu do skutecznych rozwiązań.

Deklaracje deklaracjami…

Dlatego obserwatorzy polityki klimatycznej nierzadko zmagają się z dysonansem poznawczym.

Powodzie, upały, mrozy – zmiany klimatyczne stały się faktem. Ulica we wsi Wraysbury, na zachód od Londynu, 9 stycznia 2024 r. Burza Henk spowodowała powodzie w dużej części Wielkiej Brytanii.

Z jednej strony bowiem przewodniczący ubiegłorocznej konferencji COP28 w Dubaju, sułtan Ahmed al-Jaber, ogłosił w trakcie obrad, że związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy wydobyciem paliw kopalnych a ociepleniem klimatu nie został naukowo udowodniony ponad wszelką wątpliwość, a z drugiej w dokumencie końcowym zawarto po raz pierwszy zapis o „odchodzeniu" od tych źródeł energii. Otrąbione to zostało jako wielki sukces dyplomatyczny.

Żeby ta informacja wybrzmiała odpowiednio, należy ją ubrać w inne słowa. Nikt nie mówi, że paliwa kopalne mają całkowicie zniknąć z listy wykorzystywanych źródeł energii, że są szkodliwe, że mamy dążyć do stworzenia gospodarki, która będzie od nich wolna. Mówimy, że trzeba powoli je wygaszać. Sam Al-Jaber tłumaczył potem, że ten dokument oznacza „początek końca" ery ropy i gazu ziemnego. Ale nawet jeśli tak rzeczywiście jest, koniec tej ery może nie nadejść przed końcem Ziemi jako relatywnie stabilnej, zamieszkiwanej planety.

Nawet uznając deklarację z COP28 za sukces, nie można jej analizować poza szerszym kontekstem. A ten jest dla klimatu przytłaczający. Jak w grudniu informował brytyjski dziennik „The Guardian", Stany Zjednoczone, drugi największy na świecie (za Chinami) emitent dwutlenku

eprasa.pl 7642fd1618

węgla, zanotowały w ubiegłym roku rekordowo wysokie wskaźniki wydobycia ropy i gazu. Dziennie wydobywano tam prawie 13 mln baryłek, czyli ponad dwa razy więcej niż dziesięć lat wcześniej. Rynek zaś jest tak chłonny, że eksperci są przekonani o trwałości trendu wzrostowego w dłuższej perspektywie. Jak długo ten trend się utrzyma? Nawet do 2050 r. Czyli, przypomina „Guardian", właśnie do momentu, gdy według ustaleń Narodów Zjednoczonych mieliśmy globalnie zejść do zerowego poziomu emisji, żeby uniknąć katastrofalnych skutków zmian klimatycznych.

W świetle takich danych trudno uznać deklaracje o „wygaszaniu" paliw kopalnych czy „odchodzeniu" od nich za przełom w dyplomacji na rzecz klimatu. Ten rozdźwięk jednak może mieć paradoksalnie pozytywne konsekwencje. Jak na łamach „New York Timesa" zauważył David Wallace-Wells, może to się przyczynić do powstania nowej globalnej polityki klimatycznej, ponieważ coraz więcej ludzi na świecie zauważa, że dostępne w tej chwili narzędzia nie są dostosowane do skali problemu, jakim jest katastrofa klimatyczna. Wallace-Wells wie, o czym mówi, bo sławę przyniósł mu opublikowany jeszcze w 2017 r. w „New York Magazine" esej „Niezamieszkiwalna Ziemia". Poszerzony później do rozmiarów książkowych tekst dotyczył zmian, które zajdą na planecie, kiedy zabraknie zasobów niezbędnych do podtrzymania codziennego stylu życia zwłaszcza w krajach rozwiniętych.

David Wallace-Wells zwrócił uwagę na konsekwencje pośrednie, a więc często pomijane, mniej oczywiste niż powodzie, pożary, huragany czy nieznośne upały – chociażby konflikty zbrojne. O tym, że coraz więcej starć – na razie niekoniecznie między suwerennymi państwami, tylko np. lokalnymi bojówkami – jest motywowanych utratą dostępu do wody czy do terenów rolnych, wspomina się w literaturze poświęconej bezpieczeństwu już od kilku lat. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że w tej chwili, jak podaje Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC), jednostka badawcza Narodów Zjednoczonych, świat zużywa dwa razy więcej paliw kopalnych, niż powinien, żeby utrzymać cel wzrostu temperatury o najwyżej 1,5 st., wizje konfliktów należy zdecydowanie podkręcić. Daleko szukać odwołań nie trzeba, pomaga tu… rosyjska napaść na Ukrainę.

Coraz więcej starć – na razie niekoniecznie między państwami – jest motywowanych utratą dostępu do wody czy terenów rolnych.

Przez ostatnie dwa lata nawet najbardziej naiwni europejscy politycy pozbyli się złudzeń na temat skuteczności wolnego handlu jako metody zainstalowania w Rosji demokracji. Natura reżimu Putina jest doskonale znana, Moskwa sama z siebie demokratyzacji nie przejdzie, nie w bieżącym kształcie i z obecną klasą polityczną. Trudno też się spodziewać, nawet w przypadku porażki na froncie ukraińskim, żeby dobrowolnie poddała się denuklearyzacji, więc nadal będzie straszyć Zachód eskalacją.

W tej chwili najbardziej prawdopodobny scenariusz to ten, w którym, jak pisał w ubiegłym roku na łamach „Gazety Wyborczej" politolog prof. Klaus Bachmann, Rosja stanie się niebezpiecznym zombie, „Górną Woltą z bronią jądrową". Pustym w środku, mniej lub bardziej niestabilnym państwem, z którym trudno będzie mieć unormowane relacje.

Scenariusze

Co to ma wspólnego z klimatem? Wbrew pozorom bardzo dużo, bo – jak zauważa w swoich pracach Kirsten Dunlop, australijska ekspertka z brukselskiego think tanku Bruegel – przy obecnym tempie globalnego ocieplenia w 2075 r. mniej więcej połowa wszystkich obszarów rolnych na planecie będzie się znajdowała w obecnych granicach Federacji Rosyjskiej. Oczywiście to perspektywa półwiecza, do tego czasu wiele może się zmienić, a Kreml – przejść całkowitą transformację polityczną. Jeśli jednak tak się nie stanie, reszta świata będzie dosłownie zakładnikiem rosyjskiej władzy. Już teraz Władimir Putin daje przedsmak takiego scenariusza, wstrzymując eksport ukraińskiego zboża, głównego elementu bezpieczeństwa żywnościowego krajów Afryki Subsaharyjskiej i Azji Południowo-Wschodniej. Łatwo sobie wyobrazić, co by się wydarzyło, gdyby w kolejnych dekadach w Moskwie rządził ktoś o równie niedemokratycznych zapędach, a jego kontrola nad globalnym systemem zaopatrzenia i produkcji żywności była kilkukrotnie większa.

Na razie to hipotetyczny scenariusz. Namacalny jest natomiast upadek celu 1,5 st. – przyznaje to coraz bardziej otwarcie wielu uczestników negocjacji klimatycznych. Konsensus naukowy zakładał przez ostatnie lata nie tylko, że nie wolno doprowadzić do wyższego wzrostu globalnych temperatur, ale również – że jest to jak najbardziej możliwe. Dzisiaj już wiadomo, że nic z tego. Pisał o tym Bill Gates, mówią to aktywiści klimatyczni, widzą naukowcy. Według raportu wydanego pod auspicjami ONZ w listopadzie zeszłego roku planeta jest w tej chwili na ścieżce do dwa razy większego ocieplenia przed końcem bieżącego stulecia.

Im bardziej Europa przechodzi na OZE, tym bardziej staje się gospodarczo zależna od Chin.

Żeby spowolnić wzrost temperatury, cały świat musiałby podjąć drastyczne kroki. Aby cel 1,5 st. był jeszcze realny, globalne emisje gazów cieplarnianych powinny spaść o niemal połowę (42%)

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7642fd1618

w ciągu najbliższych sześciu lat (do 2030). Zmniejszenie emisji o 28% to wzrost o 2 st. do 2050 r. – co zresztą zapisano w postanowieniach porozumienia paryskiego z 2015 r., do dzisiaj uważanego za najambitniejszy dokument w historii dyplomacji klimatycznej.

Jednak, jak pisze Benjamin Storrow z Politico, nie ma żadnych przesłanek pozwalających wierzyć, że którykolwiek z tych celów zostanie osiągnięty. Nawet jeśli kolejne państwa informują o zamiarach redukcji emisji, deklaracje te są uznawane przez ONZ za „mało wiarygodne".

Brakuje zresztą nie tylko woli, ale także zasobów, by transformację energetyczną przeprowadzić na poważnie, zwłaszcza w krajach globalnego Południa oraz państwach intensywnie się industrializujących, takich jak Chiny czy Indie. To pierwsze państwo jest kluczowe dla przejścia właściwie wszystkich na odnawialne źródła energii, ponieważ tamtejsze firmy są monopolistami na rynku półproduktów i ogniw potrzebnych do wytwarzania instalacji fotowoltaicznych. Im bardziej Europa przechodzi na OZE, tym bardziej staje się zależna gospodarczo od Chin. Z kolei bierność w tym zakresie spowoduje tragedię milionów ludzi i ryzyko zależności żywnościowej od Rosji. W ten sposób koło się zamyka.

Kłótnia o definicje

Czy w takim razie powinniśmy wszyscy wywiesić białą flagę? Niekoniecznie. Cel 1,5 st. jest niemożliwy do zrealizowania, ale pytanie, czy należy go zastąpić innym, mniej ambitnym, ale już oficjalnie zadeklarowanym – nie jest pozbawione sensu. Ciekawie problem ten przedstawił Simon Mundy, reporter „Financial Timesa" obecny na COP28 w Dubaju. W rozmowie z Gideonem Rachmanem zauważył, że wbrew pozorom pomiędzy świadomością niezdolności do osiągnięcia tego celu a dalszym do niego dążeniem nie ma sprzeczności. Póki ten ambitniejszy cel, mówi Mundy, wciąż oficjalnie obowiązuje, wiążące ustalenia polityków kręcą się wokół niego. Ewentualne zastąpienie go celem bardziej (przynajmniej w tej chwili) realistycznym, np. 2,5 st., mogłoby przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Skoro i tak mamy tendencję do nierealizowania obietnic, przy mniej rygorystycznych prognozach globalna polityka klimatyczna może ulec całkowitemu rozprężeniu. A wtedy nie osiągniemy już żadnych celów.

Trudno z rozumowaniem Mundy'ego się nie zgodzić, nawet jeśli nie znajduje ono zwolenników chociażby w coraz głośniejszym środowisku aktywistycznym. O ile opiniom wychodzącym z tego środowiska trudno zarzucić brak szlachetności czy dobrych intencji, o tyle często stają się one kontrproduktywne – tak samo jak radykalne protesty klimatyczne w stylu rozlania oleju na trasie wyścigu kolarskiego czy ochlapania farbą dzieła sztuki. Owszem, zwracają one uwagę na sprawę, ale nie zjednują jej sojuszników.

Podobnie jest z okrzykami aktywistów, którzy oczekują, żeby cele były zarówno ambitne, jak i realizowane przez wszystkich. Nikt nie odbiera im racji, tyle że nie istnieje sposób, by takie postulaty natychmiast wprowadzić w życie. Polityka od zawsze była i pozostaje sztuką tego, co realne. Na przykładzie nieskutecznej realizacji celów klimatycznych ze szczytów w Kioto (1997), Kopenhadze (2009) czy Paryżu (2015) widać, że przymus na niewiele się zdaje, bo spotyka się z różnymi formami oporu. Ostatnio szczególnie silna jest retoryka antykolonialna, zgodnie z którą Europa i USA miałyby płacić innym krajom za to, że bezkarnie się uprzemysławiały w czasach kolonializmu kosztem dawnych posiadłości i ich zasobów. Bogata Północ kontratakuje, robiąc wszystko, by funduszu wsparcia reform klimatycznych, tzw. Loss and Damage Fund (Fundusz Strat i Szkód), pod żadnym pozorem nie nazywać „reparacjami". Oznaczałoby to bowiem przyznanie się do winy i konieczność przykręcenia własnego kurka z energią. Na to zgody na pewno nie będzie.

Świat pozostaje więc na etapie kłótni o słowa i ich znaczenie, co widać też na przykładzie Chin, robiących wszystko, by nie zostać uznanymi za „kraj rozwinięty". Bo wtedy Pekin musiałby do wspomnianego funduszu się dokładać. Kłócimy się zatem o definicje, a świat wciąż płonie.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Trajektoria melancholii

Przed kilkunastu laty Lars von Trier złamał sobie karierę podczas konferencji prasowej na festiwalu w Cannes, gdzie nie dość zbornie i nader ryzykownie wypalił o „współczuciu dla Hitlera". Chodziło mu zaś dokładnie o to, o co i mnie chodzi – nie jestem w stanie radować się z ludzkiego cierpienia, nawet jeśli akurat cierpi wcielone zło. Duński reżyser zaplątał się w swoim wywodzie tak nieszczęśliwie, że od razu przypisano mu neonazistowskie poglądy, tymczasem von Trier mówił wyraźnie o ostatnich chwilach Hitlera w bunkrze, kiedy pozostając największym zbrodniarzem ludzkości, faszystowski dyktator był już także przegranym i przerażonym człowiekiem o krok od samobójczej śmierci.

Odczłowieczanie jest mi obce, udział w publicznych egzekucjach napawa mnie wstrętem, ekstaza linczu to najbardziej nikczemna i okrutna emocja, jakiej ulega ludzkość. Owóż wspominam o von Trierze, bo niefortunna konferencja miała miejsce po konkursowej premierze jego „Melancholii", filmu, wobec którego naonczas pozostawałem sceptyczny, ale z upływem czasu wydał mi się jednym z koronnych i najmądrzejszych dzieł reżysera. Nie znam wielu filmów w historii kina, które by tak drastycznie, a zarazem celnie pokazywały stan klinicznej depresji i jej konsekwencje.

Ekstaza linczu to najbardziej nikczemna i okrutna emocja, jakiej ulega ludzkość.

W wymiarze indywidualnym ze stanami depresyjnymi w fazie krytycznej zmagają się główna bohaterka i jej rodzina, w wymiarze globalnym film opowiada o ludzkości, która już wie, że od rychłej zagłady nie ma ucieczki. Przypomnę, że w filmie Ziemię czeka nieuchronne zderzenie z planetą Melancholia, choć to ciało niebieskie ma trajektorię grymaśną i dającą złudną nadzieję. Zbliża się niebezpiecznie do Ziemi, by nagle od niej się oddalić, a kiedy ludzie świętują zażegnane zagrożenie, planeta niespodziewanie zawraca już nieodwołalnie na kurs do czołowej kraksy z naszym globem. Wprawne oko widza wyłowi scenę, w której widać rysunek trajektorii Melancholii – planeta zdaje się okrążać Ziemię, jakby się przymierzała do ataku, szukając najsłabszego punktu ofiary, potem oddala, aby nabrać rozpędu i uderzyć śmiertelnie.

I mnie ten rysunek przypomniał się teraz, kiedy Trump wygrał prawybory i jego ponowny wybór na prezydenta USA znacznie się urealnia. Po marszu na Kapitol zdawało się, że trumpizm został ostatecznie skompromitowany, świat odetchnął z ulgą i skupił się raczej na tym, kiedy i na jak długo były prezydent Stanów Zjednoczonych pójdzie siedzieć. Jak przedwczesna była to ulga, pokazują sondaże, w których powrót Donalda Trumpa do Białego Domu staje się więcej niż prawdopodobny. A to będzie katastrofa dla świata, ze szczególnym uwzględnieniem Europy. Trump właśnie palnął, że świetnie się dogaduje z Putinem, co analitycy odczytują jako zapowiedź „odstąpienia Europy" rosyjskiemu tyranowi. Amerykańskiemu oligarsze marzy się NATO bez USA, wedle jego doktryny żaden amerykański żołnierz nie powinien oddać kropli krwi za Suwałki.

A zatem i tak wszyscy skończymy w zupie, bez względu na to, ilu pisowskich przekręciarzy pójdzie siedzieć. Władza daje teraz ludowi igrzyska, program Cela+ przysparza koalicji rządzącej splendoru wśród radykałów, tylko patrzeć, jak PiS po raz pierwszy od niepamiętnych czasów spadnie z pozycji lidera. Kaczyści sobie z tym nie radzą, spontanicznie próbują obstrukcji parlamentarnych, liczą na Dudę, który też już zdaje się tracić rozum; chaos prawny osłabia powagę państwa – a temu wszystkiemu przygląda się przyczajony ruski niedźwiedź. I choć należy próbować zrozumieć każdego człowieka, a bycie adwokatem diabła to cenne wyzwanie dla twórców, którzy nie chcą iść z koniunkturą, dopóki Putin nie doczeka ostatnich chwil w swoim bunkrze, współczucia dla niego nie znajdę. Być może to pierwszy taki przypadek, że nie znajdę go do samego końca moskiewskiego despoty – o ile oczywiście uda mi się go dożyć – a to za sprawą rozlicznych sobowtórów, którymi się wysługuje.

Tischnerowska filozofia twarzy nie może znaleźć zastosowania tam, gdzie jednej twarzy nie ma – są przypudrowane gęby zastępcze i trudno dociec, która należy do prawdziwego Władimira Idinachujowicza. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7642fd1618

Stymulanty i depresanty

Zazwyczaj wystarczało, jeśli zatrzymani opróżnili kieszenie. W przypadku narkotyków o wiele więcej mówią twarze niż kontrola osobista

Sierżant Bagieta

Spora część policyjnych statystyk dotyczy spraw narkotykowych. (…) Kiedy pracowałem w patrolu, otrzymywaliśmy zgłoszenia o podejrzeniu używania, posiadania czy handlowania narkotykami. Finalnie jednak nie mam na koncie jakiejś pokaźnej liczby zatrzymań z tego tytułu. Prawdę powiedziawszy, było ich mało. Gdyby tylko ludzie wytrzymywali presję psychiczną, to cała późniejsza zabawa z zatrzymaniem by ich ominęła.

Na rynku mamy stymulanty i depresanty. Tak dzielimy środki, które wpływają na zmianę świadomości człowieka. Depresant ma działanie hamujące; mówiąc oględnie, wytłumia, spowalnia reakcje człowieka. Alkohol jest depresantem, co widać po tym, że prawie wszyscy po jego nadużyciu tracą swoje moce, a nie obrastają w nowe – w pierwszej fazie działania alkohol niweluje napięcia, stąd zwyczaj „napicia się dla rozluźnienia". Z kolei stymulant to środek pobudzający, który człowieka nakręca, dodaje supermocy (a przynajmniej w jego przeświadczeniu). Stymulant to np. amfetamina albo metamfetanina. Ale też kokaina, która jest jednak narkotykiem drogim, więc obecnym raczej w popkulturze niż na polskich ulicach (cztery stówki za gram to bariera nie do przeskoczenia dla większości zainteresowanych). (…)

Największą popularność mają obecnie amfetamina i mefedron. Po zażyciu tych narkotyków człowiek momentalnie trzeźwieje, dosłownie w kilka sekund osiąga wysoki poziom świadomości. Oczywiście na imprezach ma to swoje konsekwencje. Nagle objawiają się sami superbohaterzy, którzy leją w gardła litry alkoholu, a po imprezie zaliczają największe zgony. Organizm jest w stanie potężnego zatrucia alkoholowego, do którego by nie dopuścił, gdyby jego świadomość nie została sztucznie podkręcona. Zawodnicy, którzy idą po bandzie, trzeźwieją później nie nad kiblami w domach, ale na oddziałach szpitalnych po płukance, kroplówce i z diagnozami: niewydolność wątroby, ostre zapalenie trzustki albo któraś z chorób układu krwionośnego.

To stymulanty prowadzą zwykle do zachowań agresywnych. Człowiek schlany, a człowiek naćpany to dwa różne przypadki. Zwykle człowieka po alkoholu możesz stosunkowo łatwo obezwładnić – ma wolniejsze reakcje, mniejszą siłę i większą skłonność do rezygnacji. Naćpanego gościa trzeba z kolei traktować jako wysokie zagrożenie. To osoba całkowicie nieobliczalna. Podejmowanie interwencji wobec typów po dragach to katorga. (…)

Internauci robią sobie bekę: policjanci w sześciu nie mogą dać sobie rady z jednym chłopem na ulicy. Taki jesteś kozak, to chodź i pomóż. Typ 90 kilo żywej, pobudzonej wagi, we krwi 2,5 promila alko, oczy jak pięciozłotówki, a źrenice jak samurajski miecz od walenia dragów po nosie przez pół nocy. Nic racjonalnego do takiego łba nie dotrze, ciało jest nakręcone na maksimum wydajności, a odczuwanie bólu, czyli naturalna bariera, zostaje zniesiona. Dopóki ktoś nie stanie w takiej sytuacji, to nie zrozumie, że to zupełnie inna konfrontacja niż z normalnym człowiekiem. Nie cierpiałem tych akcji.

Patrol, noc, wozimy się radiowozem, nic się nie dzieje (czytaj: od dwóch godzin nie przeprowadziliśmy żadnej interwencji). Wjeżdżamy w podmiejski las, a tam auto zaparkowane na zakazie – w aucie jakiś ruch. Pewnie seks. Idziemy na kontrolę pojazdu. Puk, puk. W sumie to niczego wielkiego od tej pary nie chcieliśmy. Przywitaliśmy się, przedstawiliśmy, podaliśmy powód interwencji i poprosiliśmy o dokumenty pojazdu. Musieliśmy ruszyć tyłki

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7642fd1618

z radiowozu, bo już nam krzyże przyrastały do foteli, a że akurat ci stali na zakazie, to mieliśmy powód. Zamierzaliśmy ich tylko pouczyć, bo po co za taką pierdołę wystawiać mandat.

Dziewczyna jako pasażer, chłopak jako kierowca. Nie wytrzymali presji. Uchylili drzwi i sru – torebeczki powrzucali pod samochód. Ech, co za barany… Jak mieliśmy tego niby nie zauważyć? Spojrzeliśmy z kumplem po sobie – sprawa pozamiatana. To już czasy, kiedy nosiliśmy na sobie kamery, więc to ich mistrzowskie posunięcie zostało uwiecznione na nagraniu. Skoro tak, to musieliśmy już zmienić nasze plany. Kazaliśmy im wysiąść z auta i zakuliśmy w kajdanki. Policjanci mogą założyć bransoletki prewencyjnie z intencją uniemożliwienia ucieczki. Zaczynamy rozmowę:

– Co jest pod tym samochodem, co wyrzuciliście?

– My? Nie, nic nie wyrzucaliśmy.

Wyciągnęliśmy fanty. Woreczek z amfą, drugi z marihuaną.

– To są narkotyki. Dlaczego mieliście narkotyki i wyrzuciliście je pod samochód?

– My? Nie, my nie mamy żadnych narkotyków.

– To skąd się wzięły?

– Widocznie już tu były, jak przyjechaliśmy, i pech chciał, że akurat nad nimi zaparkowaliśmy.

Ręce opadają… Na dodatek żadne z nich nie posiadało prawa jazdy ani dokumentów samochodu. Wezwaliśmy kumpla z psem do dalszego przeszukania. Pies nie znalazł więcej porcji. Wyglądało więc na to, że mieli na swój użytek, tylko tacy byli nerwowi, że sami się wydali.

Ludzie panikują przy narkotykach. Potrafią wymyślać historie lepsze niż najwięksi bajarze. Pamiętam typa, który miał dragi w portkach. Przysięgał, powoływał się na honor, zaklinał na wszystko, co najświętsze – to nie jego narkotyki.

– A czyje, skoro znajdują się w pańskich spodniach?

– W moich? Zaraz, chwileczkę, przecież ja te spodnie właśnie kupiłem, te narkotyki już w nich musiały być!

Inny delikwent, znajdując się w takim samym położeniu, przekonywał nas usilnie, że spodnie w ogóle nie są jego. Był na imprezie, wypił trochę piwa, zdjął spodnie, żeby potańczyć, a później pomylił się przy zakładaniu i nałożył gacie kogoś innego. Więc ani spodnie, ani narkotyki nie należą do niego.

Kiedy występuje podejrzenie, że człowiek jest w posiadaniu narkotyków, policjant może dokonać kontroli osobistej, która z kolei ma nieco ograniczeń w porównaniu z przeszukaniem, będącym już czynnością procesową. Przeszukanie prowadzi się w sytuacji, kiedy coś zostało wcześniej znalezione. To w ramach przeszukania można zaglądać do jam ciała i oczekiwać przysiadu z kaszlnięciem. Kontrola osobista, którą może przeprowadzić patrol policji, ma swoją granicę na bieliźnie. Aby ją przeprowadzić, należy zapewnić miejsce odosobnienia. Zwykle takie interwencje odbywają się w plenerze albo na imprezowej ulicy, więc nie jest to łatwy do spełnienia warunek. Zazwyczaj wystarczało nam, jeśli zatrzymani opróżnili kieszenie. W przypadku narkotyków o wiele więcej mówią twarze niż kontrola osobista.

Ludzie momentalnie się wysypują przy dragach, nie wytrzymują ciśnienia, przestają jasno myśleć i pewnie dlatego kręcą farmazony. Mają ten odruch wyrzucenia narkotyków. Ale kiedy to robią, to znaczy, że już nas widzą. A skoro oni widzą nas, to my widzimy ich i co za tym idzie, widzimy, że coś wyrzucają… (…) Często zatem wygląda to właśnie tak, że gdyby ludzie sami się nie wysypali, to pewnie byśmy ich nie zatrzymali.

Zatrzymanie w przypadku narkotyków oznacza, że muszę zabezpieczyć i przekazać znalezione środki, sporządzając przy tym odpowiednie protokoły zatrzymania. Jest w takiej interwencji element niepewności. Dajmy na to, że ujawniasz mały woreczek strunowy z białym proszkiem w środku. Człowiek mówi, że to nie jego albo że to nie narkotyki. A najgorzej, jeśli od początku twierdzi, że to soda oczyszczona albo odżywka sportowa. Możesz się jeszcze dokładniej przyjrzeć zawartości.

Zazwyczaj narkotyki nie są idealnie sproszkowane na dokładnie takie same mikrocząstki, bywają zbrylone i mają niestandardową strukturę wielkości. Zawijasz człowieka na jednostkę i robisz narkotesty. Dyżurny wydaje ci odpowiednie pakiety do badań. Osobne są dla narkotyków z THC, osobne dla opioidów, jeszcze inne dla pochodnych amfetaminy. Mieszasz odrobinę zarekwirowanego narkotyku z chemią testową. Jeśli w efekcie mieszanka się zabarwi, wskazuje to na narkotyczny charakter proszku. Kiedy testy wychodzą pozytywnie, przeprowadzasz zatrzymanie. Jeśli negatywnie, przepraszasz i zwalniasz człowieka, ale taki przypadek mi się nie zdarzył. W przypadku testów pozytywnych, dokonujesz opisu i pomiaru. Kiedyś najtrudniej było z ważeniem. Te porcje zazwyczaj są mikroskopijne. Gdyby ktoś miał zważyć zawartość woreczka z amfą bez woreczka, to mu współczuję. Przesypać później taki narkotyk, żeby waga się zgadzała, to w zasadzie niemożliwe.

Ludzie panikują przy narkotykach. Potrafią wymyślać historie lepsze niż najwięksi bajarze.

Dlatego przyjęliśmy zasadę ważenia wraz z oryginalnym opakowaniem. Następnie przekazujesz dalej zatrzymane narkotyki do laboratorium kryminalistycznego wraz z opisem.

Kiedy policjant pisze kwity, zatrzymany zwykle jest już na dołku. Zazwyczaj takie zatrzymania mają miejsce nocą. Kolejnego dnia dochodzi więc do przesłuchania, ale też… do wizyty w domu. Jedzie z nami pies policyjny, żeby zwąchać całe mieszkanie. W przypadku narkotyków funkcjonuje uproszczona procedura sądowa, która pozwala policji na przeszukanie. Kwalifikuje się ją jako czynności niecierpiące zwłoki, bo przecież zatrzymany albo rodzina, z którą się skontaktuje, może bardzo szybko pozbyć się narkotyków z domu. Dlatego idea jest taka, żeby odbyło się to szybko i bez uprzedzenia. Jednocześnie procedury zostały przemyślane w taki sposób, żeby

eprasa.pl 7642fd1618

z kolei policja nie pozostawała bezkarna i nie robiła rajdów po mieszkaniach na widzimisię. Więc kodeks postępowania karnego zezwala ci na takie przeszukanie, ale musi być ono zasadne. To, czy było zasadne, stwierdza się po fakcie. Wtedy prokurator i sędzia weryfikują przesłanki, dowody i przebieg przeszukania już w ramach czynności procesowych. Jeśli człowiek miał przy sobie choćby odrobinę narkotyków, przeszukanie jego domu zawsze jest zasadne. Choćbyś miał ze sobą tylko gram marihuany, rusza cała ta machina.

Macie pewnie co do tej kwestii sporo wątpliwości. Wiadomo, że jeden gram zielonego, a nawet dwa czy trzy, to ilości na własny użytek, a tu od razu akcja jak z filmu: kryminalni, pies, najazd na chatę. Co jest „użytkiem własnym", pozostaje sprawą orzecznictwa sądu. Policjant podczas zatrzymania nie dokonuje takich rozróżnień, bo nie ma jak ich dokonać. Widzi tylko, że ktoś jest w posiadaniu nielegalnych substancji, niekiedy wnioskuje, że podejrzany nimi handluje. Kiedy zatrzymam człowieka z dwoma gramami amfy w kieszeni, to wiadomo, że wybierał się na imprezę. Jeśli koleś ma przy sobie 10 woreczków, no to raczej nie jest świętym Mikołajem i nie rozdaje tych narkotyków. Jednak początkowe działania wobec obu tych osób będą takie same. W przypadku podejrzenia handlu narkotykami policja dokona weryfikacji swoimi drogami operacyjnymi, czy ta osoba faktycznie diluje. Gdyby rozpoznanie kryminalnych potwierdziło ten scenariusz, to gość będzie miał grubo przesrane.

W przypadku małej ilości narkotyków, czyli pojedynczych gramów, i czystej kartoteki praktyka była bardzo pragmatyczna. Przy braku jakichkolwiek wątpliwości co do charakteru posiadania czy prowadzonego życia przez zatrzymanego prokuratura umarzała sprawę od razu. Inaczej blokowalibyśmy sąd, dodawali wszystkim roboty, a co z tego, że 40-letni facet, mający rodzinę, pracujący, chciał zapalić jointa? Robić sądowi, człowiekowi i jeszcze samemu sobie pod górkę w imię grama marihuany? (...)

Jeżeli kogoś zatrzymałem za palenie marihuany, to tak naprawdę nie z mojej inicjatywy, ale wyłącznie z głupoty własnej zatrzymanego. Nie widzę sensu w takich zatrzymaniach. Posiadanie marihuany na własny użytek nie powinno być karalne. Powiem więcej: penalizowanie uprawy marihuany na własny użytek również nie jest dobre. Mówię to z pełną odpowiedzialnością jako były policjant, który miał do czynienia z ludźmi pod wpływem środków psychoaktywnych na co dzień. Mówię to także jako człowiek, który trochę świata zwiedził i śledził rozwiązania prawne w tym zakresie, analizując różne modele postępowania. Obecna penalizacja marihuany w Polsce jest złym i szkodliwym prawem.

Po pierwsze, oznacza to zabieranie państwu pieniędzy, które w formie podatków byłyby związane z legalnym obrotem marihuaną oraz oddawanie pola zorganizowanym grupom przestępczym, które handlują narkotykami. W szczególności mam tu na myśli środowiska pseudokibicowskie. To problem dla państwa.

Po drugie, obecne prawo prowadzi do łamania ludziom życiorysów. To często dramaty młodych ludzi, którzy po zawiasach za gram zioła muszą mocno się nagimnastykować, odczekać, aż jakieś skazania się pozacierają, a przez ten czas wiele możliwości (choćby pracy) jest dla nich zablokowanych. Ale i dla państwa każde wystawienie zawiasów to kupa pieniędzy. Obsługa procesowa takiego postępowania kosztuje: policjanci, sędziowie, prokuratorzy, adwokaci (niekiedy z urzędu) muszą wykonać przy tym sporo pracy. Wszyscy uwijają się przy takim procesie, który kończy się wyrokiem w zawieszeniu, a nie ma żadnej szkodliwości społecznej. Zresztą wizerunkowi policji i państwa też to dobrze nie robi, bo w zasadzie jedyne komentarze, z jakimi się spotkałem, to pukanie się przez ludzi w głowę: „Przywaliliście zawias dziewczynie za pół grama jarania, bohaterowie, jakbyście nie mieli się, czym zająć". To nie pomaga policji w pozyskiwaniu społecznego zaufania.

Uważam, że najlepsze podejście do kwestii marihuany jest podobne do rozwiązań obowiązujących w przypadku alkoholu. Marihuana powinna być legalna i dostępna,

– To nie moje narkotyki.
– A czyje, skoro znajdują się w pańskich spodniach?
– W moich? Zaraz, chwileczkę, przecież ja te spodnie właśnie kupiłem, te narkotyki już w nich musiały być!

KSIĄŻKA

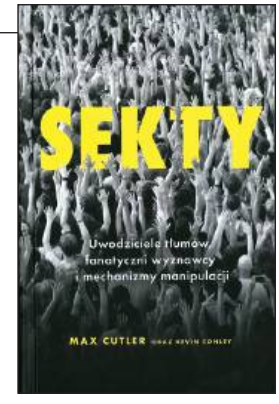

Max Cutler, Kevin Conley
Sekty
Uwodziciele tłumów, fanatyczni wyznawcy i mechanizmy manipulacji
tłum. Kamila Jansen
Znak Literanova, Kraków 2023

Kim był przywódca sekty narkosatanistów, która owijała drutem ciała swoich ofiar, aby potem z ich kręgosłupów robić magiczne naszyjniki? Jak Keith Raniere sprawił, że uczestniczki warsztatów samorozwoju zamieniły się w grupę seksualnych niewolnic? W jaki sposób Jim Jones doprowadził ponad 900 swoich wyznawców do masowego samobójstwa? Co tak naprawdę dzieje się wewnątrz sekt? Co sprawia, że ich przywódcy są w stanie uwodzić tłumy? Autorzy przedstawiają historię dziewięciu sekt stworzonych przez ludzi, którzy bezlitośnie wykorzystywali słabości innych.

eprasa.pl 7642fd1618

a obrót nią w pełni kontrolowany. Zgoda, muszą zostać określone ograniczenia w użyciu, np. dostępność tylko dla osób pełnoletnich, zakaz używania w miejscach publicznych, zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów po użyciu. Ale jeśli chodzi o wolność do spożywania we własnym domu i w wyznaczonych miejscach, jak coffee shopy z odpowiednią licencją, oraz wolność w częstowaniu – to jak najbardziej. Ludzie mają rozwiązany problem, państwo zarabia, a miejskie zbiry zostają odcięte od jakiejś części swoich wpływów. (…)

Kupić dobry towar na mieście to sztuka. Kiedy młodzież chce poeksperymentować i szuka dostępu, zawsze trafia na najgorszy syf. Dobrą jakość oferuje niewielu dilerów. Bez sprawdzonego dostawcy możesz z góry założyć, że w tym, co dostaniesz, połowa zawartości nie będzie tym, czym miała być. Handlem zajmują się ludzie o niskich standardach moralnych, więc nie ma co oczekiwać, że sprzedadzą czysty towar. Dlatego legalizacja marihuany pozwoliłaby na kontrolowanie jej jakości, ale też na budowanie kultury jej używania. Ludzie będą w stanie osiągać powtarzalne i przewidywalne efekty jej zastosowania. Jedni będą wybierać gatunki wyciszające, inni bardziej pobudzające, jedni o smakach słodkawych, drudzy o drzewnych. Wiesz, co robisz, a nie ryzykujesz chorymi jazdami albo nawet zdrowiem, jak przy nielegalnym obrocie. Bo obecnie to jest gra w rosyjską ruletkę – nie wiesz, jak na ciebie podziała to, co kupiłeś.

Nie chciałbym zostać źle zrozumiany: nie jest tak, że potępiam alkohol, a gloryfikuję marihuanę. Jedno i drugie jest używką, która zmienia stan świadomości człowieka. Wypiję dziesięć piw – jestem bohaterem, czuję, że mogę wszystko, a najbardziej skory jestem do zrobienia czegoś głupiego; wszyscy jeszcze poklepią mnie po plecach, jakby to był nie wiadomo jak godny wyczyn. Zajaram blanta – zawiną mnie na dołek i wlepią nie wiadomo co. Jak przeholuję z jednym, plączą mi się nogi, język, zaliczam glebę, szczam pod siebie – wtedy należy mi się od państwa uwaga, troska i najlepiej kroplówka, żebym nie cierpiał, a także łóżko w izbie, żebym odespał. W przypadku marihuany wystarczy, że będę ją miał, nie muszę nawet użyć, a może skończyć się na zawiasach i spapranej kartotece. Marihuana nie jest społecznie tak szkodliwa jak alkohol, tyle chcę powiedzieć. Ale jest narkotykiem i człowiek po niej może zachowywać się inaczej niż zwykle, dlatego musi być ograniczana i kontrolowana. Ale przez państwo, a nie przez podziemie.

Na poziomie prawnym legalizację marihuany pewnie dałoby się przeprowadzić dosyć sprawnie i szybko, ponieważ jakiś wysiłek legislacyjny od lat jest w tym kierunku podejmowany. Jestem za tą zmianą, którą hasłowo można nazwać depenalizacją posiadania prywatnego marihuany i uprawy na własny użytek. Ale dla mnie warunkiem koniecznym jest również szeroko zakrojona kampania społeczna i prowadzenie uczciwej edukacji w szkole na temat wszelkich używek.

Osobnym tematem w kontekście używek są dopalacze, o których od lat jest głośno. Faktycznie przez długi czas był z nimi poważny problem, ponieważ legislacja miała lukę, która zezwalała na swobodny dostęp do syntetycznego gówna, które pobudzało układ nerwowy człowieka. Lista zabronionych środków pobudzających zmienia się bardzo szybko, żeby nadążyć za rynkiem. Korzystali z tego głównie młodzi ludzie. Pierwsza bitwa prawna zakończyła się poprawkami, w których nadal istniała luka. W efekcie powstały tzw. sklepy kolekcjonerskie i sprzedaż dopalaczy nadal była możliwa. Na szczęście i to należy już do przeszłości.

Poza pełnym przekonaniem, że był to syf, to nie mam na temat dopalaczy specjalnych przemyśleń, ponieważ w mojej pracy właściwie nie miałem z nimi do czynienia. Finalnie państwo uporało się z tym gównem i nie słyszę, żeby ono zeszło do podziemia. Ponieważ korzystały z tego jednak głównie dzieciaki, nielegalny handel dopalaczami raczej nie byłby intratnym zajęciem.

Dzieciaki, jak się nakręcą na zrobienie fazy, mają swoje sposoby. I zawsze będą miały. Panuje wzmożenie moralne, jak w każdym pokoleniu, że młodzież to jest teraz siaka i owaka, a na pewno gorsza niż dawniej. Bzdura. Nie zaobserwowałem niczego, co by miało świadczyć przeciwko młodym. A że kombinują, to normalka. Są np. leki, które dzieciaki podbierają rodzicom albo kupują w hurtowych ilościach, zbierając pojedyncze opakowania w aptekach, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Niektóre leki są po prostu pochodną benzodiazepin i opioidów. Dostęp do nich został ograniczony przez recepty, ponieważ to środki uzależniające. Dzieciaki wiedzą, że jak łykną tego więcej albo zmieszają z alkoholem, to będą miały jazdę. Dlatego np. na imprezach takiego najmłodszego towarzystwa młodzieżowego pojawia się łatwo dostępna, bo bez recepty, kodeina, która należy właśnie do grupy opioidów. Problem więc jest taki, że na każdego ta mieszanka wpłynie inaczej i łatwo pomylić się w dawkowaniu, co jest po prostu meganiebezpieczne. Poza tym przy częstszym stosowaniu szybko człowieka uzależni.

Na imprezach najmłodszego towarzystwa młodzieżowego pojawia się łatwo dostępna, bo bez recepty, kodeina.

Podejrzewam, że nie da się określić skali tego zjawiska, ale nie dramatyzowałbym. W każdym pokoleniu tego rodzaju patenty są odkrywane. Za moich szkolnych lat też dochodziło do różnych eksperymentów z mieszankami farmaceutyków. Nie jest to z pewnością nic nowego.

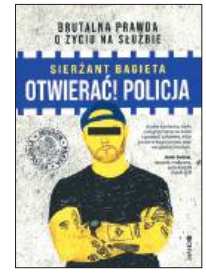

Fragmenty książki Sierżanta Bagiety *Otwierać! Policja. Brutalna prawda o życiu na służbie*, Mando, Kraków 2023

eprasa.pl 7642fd1618

JOLKA

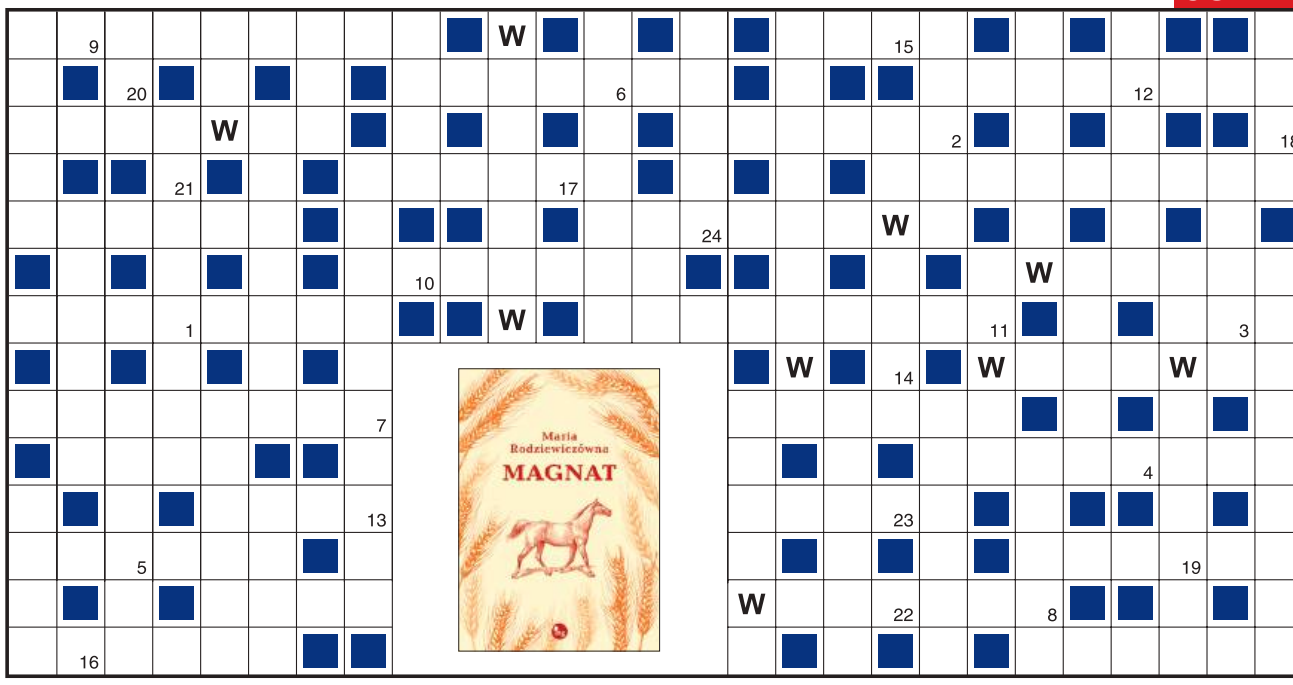

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- z jedwabnego kosztowne ubiory
- badawcza, pomiarowa lub pojęciowa
- gdy z bożej łaski, to beztalencie
- powód, zachęta do zrobienia czegoś
- energia z niego w Polsce nie tak szybko
- przyda się mocny w ręku
- potężne drzewo afrykańskie
- duża bryła chleba
- tam rzeźba siusiającego chłopca
- skórzany worek dla spragnionych
- z zachwytu, na konia, w policzek
- bibliofilski znak własności
- strofy o miłości
- ...Edessy – państwo krzyżowców
- pieczony na Święto Dziękczynienia
- gadatliwa papuga z czubem
- pomocny w obliczeniach
- ślepa bywa wycinana
- ma pod opieką laikat
- główny bohater „Potopu”
- do niego i trochę – bardzo dużo
- o długim, jednostajnym wyliczaniu
- wskrzeszony brat Marii i Marty
- tłuszcz zwierzęcy
- ...Miśnieńska założona w 966 r.
- grająca pani lub lekka włączana
- kwota doliczana do ceny podstawowej
- pasza dla koni
- kropka na kostce do gry
- „Balon” lub „Do Mądrości” Naruszewicza
- taka opalona ta kaczka?
- ósmy alkan
- do zdjęcia kapsla
- drobna moneta brytyjska
- berylowiec odkryty przez Skłodowską
- dawny urzędnik dokonujący kontroli
- ...krwi – zabijanie
- biegłość dzięki długiej praktyce
- zielony placyk
- przedstawienie na scenie
- osiągnięcie, ale nie za wielkie
- niezależność, luz, wolność
- z niego biały puder, zasypka
- zespół podobnych komórek
- trąba powietrzna zza oceanu
- maszyna do przecierania kłód
- ...wodny w Wenecji to vaporetto
- włączany głośnomówiący
- rodzaj lub indywiduum
- San Andreas przebiegający przez Kalifornię
- pokrywka
- ćwiczenie muzyczne lub literackie
- miasto gitarowego rekordu świata
- tam Śląskie Centrum Chorób Serca
- marynata
- z górskiego schodzi lawina
- imię Sośnickiej
- cyfra jak nic
- krwi lub natury
- złośliwa, zrzędząca kobieta

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1153”. Do rozlosowania książki „Magnat” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 stycznia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1150” z nr. 1: ***Nie ma życia bez przyjaźni.***
Nagrody otrzymują: Ewa Cichońska z Pyskowic, Wojciech Lubomski z Krakowa, Ireneusz Wanecki z Bielan Wrocławskich.

eprasa.pl 7642fd1618

Najważniejszy dyrektor

Nie tak dawno temu, gdy PiS przygotowywało ustawę o służbie zagranicznej, Zbigniew Rau wymyślił, że można rozdzielić funkcję dyrektora generalnego MSZ na dwie – na dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej. W ten sposób chciał bezboleśnie pozbyć się Andrzeja Papierza. Intryga okazała się bez sensu, bo Papierz zdążył wylecieć, ale struktura została.

Raczej nie na długo. Wszystko zmierza do tego, by dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej znów stopić w jedno, aby jedna osoba kierowała kadrami i pomocniczymi biurami. Zresztą personalnie to już się stało. Obie te funkcje pełni Rafał Wiśniewski.

Związek Sikorski-Wiśniewski sięga ubiegłego wieku! Czasów koalicji AWS-UW, gdy szefem MSZ był Bronisław Geremek i AWS wcisnęła mu na wiceministra Sikorskiego. Geremek nie był tym zachwycony, w efekcie powierzył Sikorskiemu mniej ważne zadania, m.in. nadzór nad Departamentem Polityki Kulturalnej. A tam działał skromny hungarysta, Rafał Wiśniewski. Tak zaczęła się ich współpraca, owocna, choć przerywana latami, kiedy Sikorskiego w MSZ nie było.

Nie było go np., gdy MSZ kierowała Anna Fotyga. Wtedy Wiśniewski wrócił z Węgier, gdzie był ambasadorem, i natychmiast został wiceministrem. Zasłużył się, był z tej ekipy, która z radością w roku 2005 witała w resorcie PiS. A później wyrzucała, pod haniebnymi zarzutami, zasłużonych dla Polski ambasadorów. Witold Waszczykowski też był wtedy wiceministrem.

W tamtym czasie Wiśniewskiemu wiatr wiał w żagle, ale zawiał trochę źle, bo Wiśniewski skłócił się z Andrzejem Sadosiem, totumfackim Fotygi, awansowanym z rzecznika na wiceministra. Chodziło o wpływ na Departament Promocji. To znaczy, kto lepiej potrafi promować panią minister i pana premiera (zgadnijcie, o kogo chodziło). Kto to dziś pamięta… A kto pamięta dziką awanturę obu panów w obecności pani Fotygi? Słowa padały wówczas mało eleganckie.

Wiśniewski zapłacił za to dymisją dosłownie dwa miesiące przed wyborami. I Bogu za to później dziękował, bo gdy w 2007 r. PO wygrała wybory, mógł się zameldować u boku Radosława Sikorskiego jako męczennik i antypisowiec. Został wtedy dyrektorem generalnym i tak rozwinęła się jego kariera.

Sikorski i Wiśniewski dokonali wspólnie bodajże trzech reorganizacji MSZ, robili to co parę miesięcy, można więc rzec, że w tych roszadach mają wprawę. Na przykład w roku 2009 działali tak: był Departament Konsularny i Polonii z jednym dyrektorem? Zrobiono dwa departamenty. Jeden – Konsularny, drugi – Współpracy z Polonią. I było dwóch dyrektorów. Było Biuro Administracji i Finansów? Zrobiono Biuro Finansów i Biuro Infrastruktury. I tak to się toczyło.

Potem, w roku 2011, Wiśniewski wyjechał na ambasadora do Danii. Bardzo zresztą za tą nominacją chodził, aż co poniektórzy śmiali się, że prawicowiec, a tak zabiega o wyjazd do lewicowego kraju. Do Warszawy wrócił na samą końcówkę rządów PO. A gdy przyszło PiS, u Waszczykowskiego i Sadosia nie miał już czego szukać.

Teraz znów jest górą. I jeńców, jak ktoś niedawno nagadał, brać nie zamierza. Bo zna MSZ i ma rachunki krzywd. No to zobaczymy…

Attaché

Ryzykowna gra. Indonezyjski klimat rozleniwia?

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 7642fd1618

PENETRACJE

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Z punktu widzenia części świata uważającej się za ostoję demokracji Ormianie z Karabachu, Palestyńczycy z Gazy i Pasztunowie z Peszawaru nie zasługują na prawo do samostanowienia, wsparcie wojskowe i solidarność polityczną. Wszyscy oni zawinili, bo znaleźli się po niewłaściwej stronie geopolitycznej rozgrywki. Nie z własnej winy co prawda, ale dlatego, że stoją na drodze do kolonialnej lub nacjonalistycznej ekspansji naszych przyjaciół. Bądź co bądź nawet rzeź 14 tys. cywilów w Gazie nie skłoniła Unii Europejskiej do rewizji specjalnych stosunków z Izraelem.

Plus Minus

JOANNA SZCZEPKOWSKA,
AKTORKA

Oczywiście w dziwnym świecie można zrównać ułaskawienie z niewinnością. W przestrzeni dziwnego świata skazany może wyrokowi pokazać gest Kozakiewicza i zasiadać w Sejmie. W dziwnym świecie można też skazanych za przestępstwo uznać za więźniów politycznych. W dziwnym świecie może to zrobić prezydent, pod warunkiem że on sam jest dziwny, a co do tego akurat nie ma wątpliwości.

zwierciadło

DARIA ZAWIAŁOW,
PIOSENKARKA

Mam w sobie wiele męskich cech, takich jak bezpośredniość, prostolinijność, zdecydowanie, zawsze trzymałam się raczej z chłopakami. Nie dogadywałam się z dziewczynami. Relacje z nimi kojarzyły mi się z plotkowaniem, z owijaniem w bawełnę, z gierkami, z byciem dla siebie wrednymi. Niektóre koleżanki w okresie nastoletnim mocno mnie przeorały – często okazywały się dwulicowe. Musiałam dojrzeć do kobiecych relacji, dziś mam przyjaciółki i bardzo to sobie cenię. Z chłopaczarstwa przeszłam w dziewczyńskość. Nigdy nie będę, jak śpiewam w „Supro", „sexy nie do zdobycia", nigdy pewnie nie będę hiperkobieca, zawsze będę miała w sobie jakiś element męski – i to dla mnie jest właśnie dziewczyńskość.

VIVA!

KATARZYNA BOSACKA,
DZIENNIKARKA

Kluczowa była dla mnie wizyta u psychiatry. Mamy nowoczesną medycynę, świetnie rozwiniętą psychoterapię, wspaniałych lekarzy i leki nowej generacji, a wstydzimy się z tego korzystać. Kolejne tabu, które należy obalić. Terapia czy antydepresanty naprawdę pomagają zrozumieć świat, szczególnie jeśli stoimy pod ścianą. Kiedy porzucona kobieta zostaje sama z dziećmi i rozpacza całymi dniami… Ja poszłam po pomoc. Od tego momentu jest coraz lepiej. Oczywiście to jest proces, czasami robię trzy kroki do przodu i pół kroczku do tyłu, ale bez pomocy fachowca nie dałabym rady.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), PIS NA KSIĘŻYC, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 7642fd1618

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

	A		

* hotelowy z receptą

				S	

* święty od źrebaków

		L				

* trudny wyrób

ROZWIĄZANIA: HALL, ALEKSY, DYLEMAT

Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O MĘCZENNIKACH

PiS miało nadzieję, że uczyni z Kamińskiego i Wąsika męczenników. Ale cóż… ułaskawiony męczennik nie jest już męczennikiem.

PROF. KRYSTYNA SKARŻYŃSKA
O ANDRZEJU DUDZIE

Mówi, że jest „wstrząśnięty" interwencją policji na terenie pałacu, ale przez kilka lat był obojętny wobec brutalnego traktowania przez policję protestujących kobiet.

PROF. MAGDALENA ŚRODA
O EKSHIBICJONIZMIE

Dawniej ludzie chwalili się sukcesami, a dziś swoimi problemami, depresjami, chorobami psychicznymi, defektami cielesnymi lub zwykłymi łajdactwami.

PROF. WOJCIECH SADURSKI
O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Trybunał Przyłębskiej – kompletne nieróbstwo i działanie na zawołanie władzy wykonawczej.

KINGA DĘBSKA O CZYTANIU

Bez książki, tej prawdziwej, pachnącej farbą drukarską i papierem, nie ruszam się nigdzie. „Cegły" po 800 stron uwielbiam.

KATARZYNA PUZYŃSKA
O TRADYCYJNEJ KSIĄŻCE

Nie wyzbyłam się „papierowego nałogu". Lubię moment, gdy się rozsiadam, biorę książkę do ręki i… zapominam o tym, co dookoła.

MAREK KOŹMIŃSKI O CEZARYM KULESZY

Ludzie, którzy dzisiaj stanowią o PZPN, nie są na poziomie, na jakim powinni być.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 7642fd1618

PRZESTRZENIE OŻYWIONE

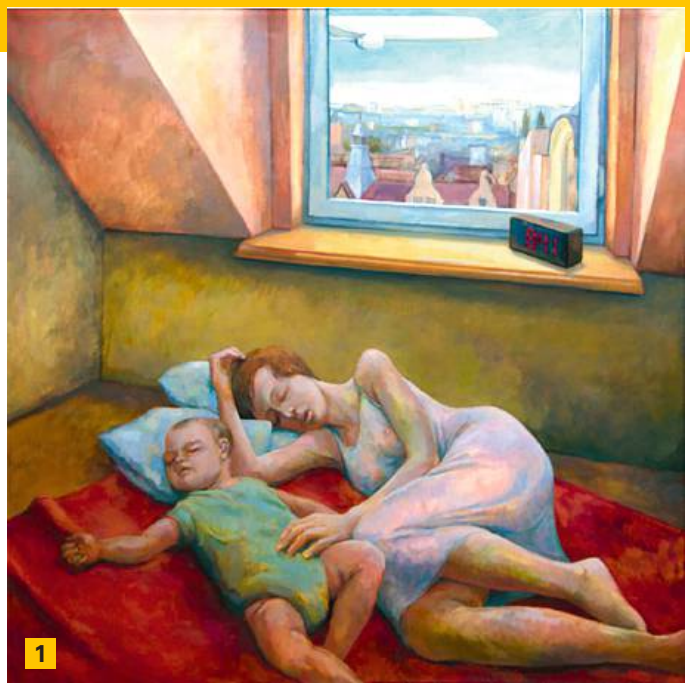

Obrazy składające się na wystawę „Przestrzenie ożywione" powstały w ciągu 23 lat. Tylko niektóre były sporadycznie pokazywane, a wiele, jako bardzo prywatne „pamiętniki" z obserwacji codziennego życia, powstawało latami. „Po ciężko przeżytych studiach i po zmaganiach z tzw. sztuką współczesną, którą szczerze próbowałem zgłębić i praktykować, dziś nie znajduję dla siebie innych środków i metod tworzenia obrazu niż figuralna, mimetyczna i klasyczna formuła narracji – tłumaczy **Piotr Paweł Drozdowicz**. – Smarowanie mazistymi substancjami na płaskiej powierzchni to zmaganie o przestrzenie wolności, to walka ze zgiełkiem ducha czasu". Malarstwo to dla artysty „opowieść symfoniczna, dojmująco konkretna, a przede wszystkim dotykalna".

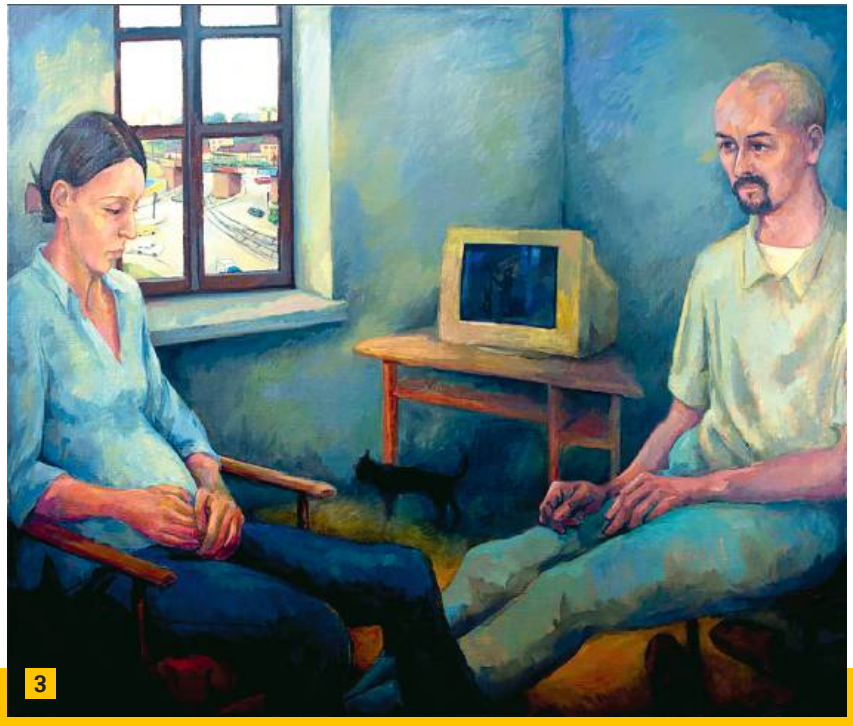

Małopolskie Centrum Kultury Sokół
Nowy Sącz, ul. Długosza 3

do 11 lutego

1. Sen – sobotni poranek 8:41, 2020
2. Martwa natura w sztucznym świetle, 2007
3. Małżonkowie Arnolfini, 2008

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7642fd1618

KORONACJA

TEKST **MAREK MODZELEWSKI** | ADAPTACJA TEKSTU I REŻYSERIA **IZABELA KUNA** | SCENOGRAFIA **JAKUB ZWOLAK**
RUCH SCENICZNY **ANNA HOP** | KOSTIUMY I CHARAKTERYZACJA **MONIKA KALETA** | REŻYSERIA ŚWIATŁA **JACQUELINE SOBISZEWSKI** | MUZYKA **MATEUSZ DĘBSKI**
ASYSTENTKI **ANNA JAROSIK, MACIEJ ŁĄCZYŃSKI** | WYSTĘPUJĄ **JULIA BUKAŁA** | **JAKUB DMOCHOWSKI** | **JULIA FLISIŃSKA** | **LUCYNA FRĄCZEK** | **MARIA KŁUSEK**
ALEKSANDER ŁYŚ | **ADAM STASIAK** | **JESSICA WALECKA** | **KAROLINA ZAWISTOWSKA**

PREMIERA 9 LUTEGO 2024

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM | Miodowa 22/24
kasa czynna stacjonarnie: wt. do pt. w godz. 15:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 15:00 – 17:00 lub do rozpoczęcia spektaklu
telefonicznie: wt. do pt. w godz. 11:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 13:00 – 17:00 pod numerem telefonu 662 155 960
e-mail: kasa@e-at.edu.pl | tel. 22 635 99 39 lub 662 155 960 | tcn.at.edu.pl | kicket.com

Spektakl dyplomowy studentów IV roku Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie. Kierunek aktorstwo, specjalność aktorstwo dramatyczne

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni
chilli zet
Przegląd

Partnerzy Teatru
kicket

POCOŚ Marta Łuchowska

MAGICZNY! FASCYNUJĄCY, ZJAWISKOWY CUDOWNY!

Hollywood Reporter FILM.ORG.PL THE TIMES

La chimera

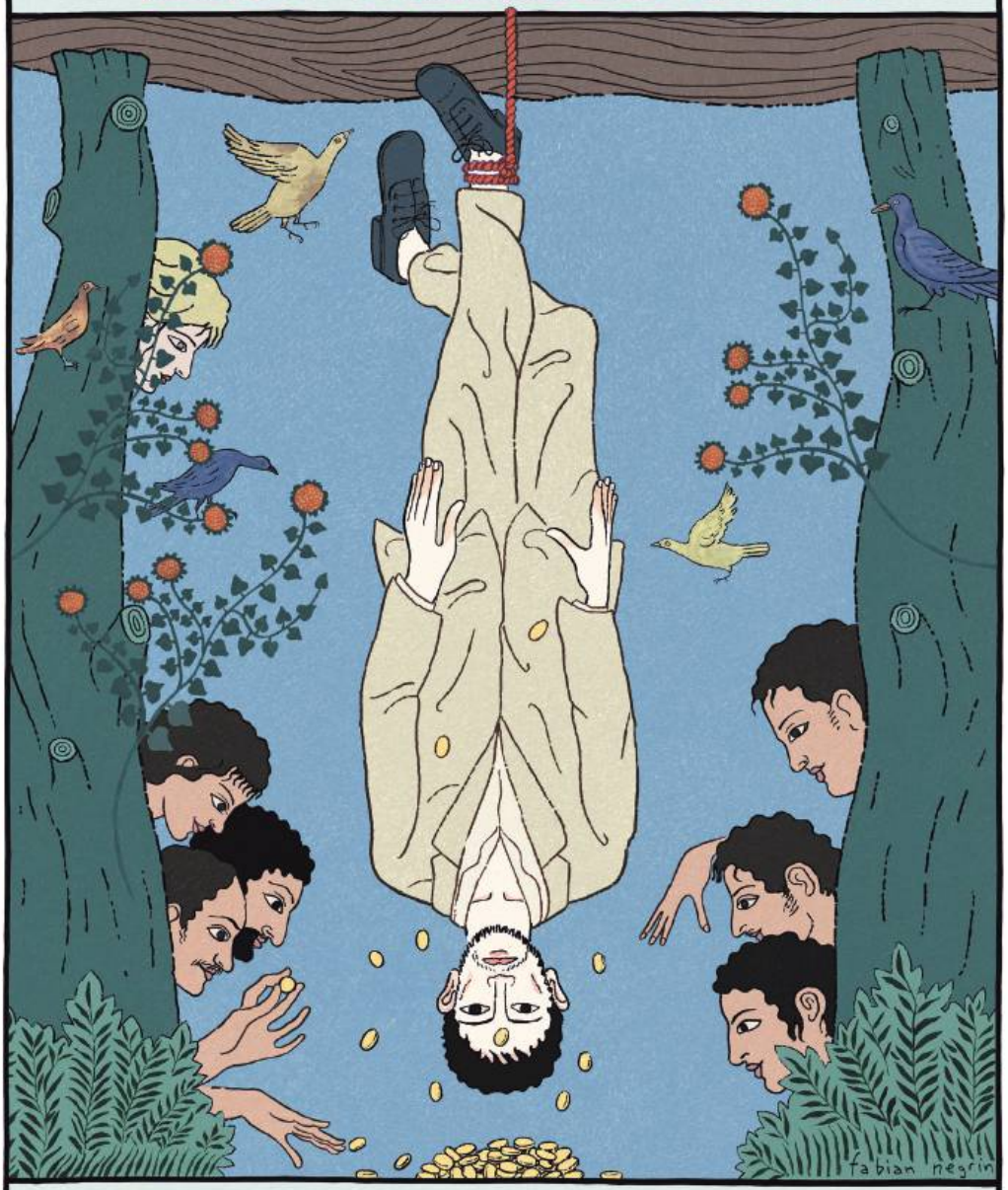

FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY

REŻYSERIA **ALICE ROHRWACHER**

(„SZCZĘŚLIWY LAZZARO")

W KINACH OD 19 STYCZNIA

AURORA

Direzione Generale CINEMA e AUDIOVISIVO MiC

Kreatywna Europa MEDIA

eprasa.pl 7642fd1618